

Odgłosy

NUMER 42 (1594)

ROK XXXI

15 PAŹDZIERNIKA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

- **Kobiety w bitwie pod Lenino** — str. 3
- **Salvadore Dali za ponad dwa miliony** — str. 4
- **Włamanie do nawróconego recydywisty** — str. 5
- **Osobiście znał Gabriellę Zapolską** — str. 6

Rewaloryzacja nie zna zmęczenia.

Kraków o szóstej rano i później

EUGENIUSZ IWANICKI

Zbudziło mnie walenie młotem w kamień. Dochodziła szósta rano. Wyjrzałem z okna Hotelu Saskiego: w dole, na podwórzu kamieniarze ociosywali kawałek ni to granitu, ni to bazaltu. Zakląłem. Ze też im się chce tak wcześnie rozpoczynać tę swoją rewaloryzację!

Przyjechałem do Krakowa, by odnaleźć tu ciekawych ludzi, przyręczyć się trwającej ponad dziesięć lat odnowie miasta, a także aby zobaczyć jak wygląda Kraków w upalne dni letnie, kiedy z całej Polski wala tu wycieczki, kiedy częściej tu się słyszy obce języki niż nasz własny, i kiedy wiadomo, że przedzie dostanie się wino i wódka niżli wodę sodową.

Pierwsza niespodzianka: pociąg nie dojeżdża do Dworca Głównego tylko zatrzymuje się w Płaszowie i konduktorzy wysiądają podróżnych w pustkę wiejskiego krajobrazu. Ludziska biegają nierzem mrowki w rozwalonym mrowisku. Nikt nie wie. Pytaniom i nawoływaniom nie ma końca. Dopiero pojawienie się niebieskiego tramwaju dodaje otuchy: może dojedzie się do Krakowa. Najzwyklej wyglądały wycieczki dzieci: niewyspani, obłądowani, pragnący napić się bodaj czegośkolwiek. Wychohawcy — jakby porażeni chorobą świętego Wita — dreczcza w miejscu zaczepiając kolejarzy i pytając, jak stąd dojechać do centrum.

Ponieważ w moim hotelu nie da się dłużej pospać (to cholerne walenie młotów w ka-

mień!) przeto szybko kończę poranną toaletę i wychodzę „na miasto”. Pomny na swoje dolegliwości gastryczne idę do edynego baru mlecznego na ulicy Siennej, jaki znajduje się w pobliżu Rynku Głównego. Jak przystało na ten rodzaj placówki, z dań mlecznych jest jedynie mleko, którego nie cierpię. Więc kupuję zupełną jarzynową i bułkę. Oczywiście mógłbym zjeść śniadanie w restauracji hotelowej, ale tam serwują potrawy dla ludzi o strasich żołądkach. Mogłbym skoczyć do Wierzyńska lub Hawelki czy do Jamy Michalikowej, lecz mój szef w redakcji nie uznałby rachunków to raz, a dwa nie uwierzyłby, że zamówiłem sobie na śniadanie bigos na winie, pieczoną gęś z truflami oraz Milder Kaffee.

Kraków latem, w upalne tygodnie, kiedy o ósmej rano termometr wskazuje plus 23 st. C, jest piękny i przerażający. Ma się wrażenie, że cała Polska, ba, cała Europa naznaczyła sobie rendez-vous na Rynku Głównym. Tysiące, a może dziesiątki tysięcy ludzi z trudem przemierzają ten ogromny plac podzielony Sukiennicami, obok których grają orkiestry podwórzowe ku rozweseleniu przybyłych. Długie gasienice wycieczek z trudem torują sobie drogę w pobliżu kościoła Mariackiego. Potem stoją z zadartymi głowami czekając, aż w okienku na wieży ukaże się trąbka i rozlegnie się hejnał.

Przeważa obca mowa: Hala! liwi Niemcy, krzykliwe Angiel-

ki, solenni dostojni Hindusi, grupka roześmianych Francuzów. Największy tłok jest przy skarbonce, do której zbiera się datki na odnowę Krakowa.

»SCENKA I«

Trójka Amerykanów. Dwaj kowboje i dziewczyna. Szczera zęby, pstrykają zdjęcia. Ona trzymając banknot jednodolarowy nad szczeliną skarbanki uśmiecha się do obiektywu. Wokół nas! Ktoś mówi: Ech, kurwa, przydałby mi się zielony. Głos obok: Powiedz jej to. Głos pierwszy: W morzę z nią, podnieca człowieka na pustym żołądku, a potem i jak muszę płacić po dwa i pół za papierek przed „Pewexem”.

Rynek Główny — to papek Krakowa, a teraz wygląda jak by był pępkiem Polski. Im wyżej słońce, tym więcej golizny. Młode dziewczyny — staram się ciągle pamiętać o tym, że szef przysłał mnie tu do pracy, a nie na podryw — chodzą ubrane w kuse spodniki i obcisłe koszulki gimnastyczne. A jest tego tyle, że trudno zmusić się, by oglądać rusztowania oplatające Sukiennice.

Pełno kontrastów: owe długonogie dziewczyny liżące lody i grupka zakonnic. Czekają na hejnał, przysyłając dlonie oczy. Obok pięciu kleryków z seminarium duchownego udających, że oglądają przez szczyby zawartość skarbanki, ale

tak naprawdę, to zerkają na nogi śmiejących się i nieświadomych swojej nagości i piękna dziewczyn. O, jakże potrzebna jest siła Szatana i jak słodka bywa ziemski grzech!

Tuż obok, pod nr 17, od niedawna usadowiło się Muzeum Historii Fotografii, a w nim salon „Venus '88”. Moje związki z tym muzeum, oraz z jego prezesem Władysławem Klimczakiem, datują się od lat siedemdziesiątych, więc postanawiam schronić się przed palącym słońcem we wnętrzu chłodnego salonu. Niestety, prezesa nie ma, przyjmuje mnie dyrektor Andrzej Panasiewicz.

»SCENKA II«

— Zwiedził pan naszą „Venus '88”?

— W taki upał? — chrypie konającym głosem.

— Prawdziwego mężczyznę nie odstrasza ani mróz, ani ogień — mówi pan Andrzej.

— Mało jakoś tu u was tych prawdziwych mężczyzn — replikuje. — Widziałem zaledwie trzech zwiedzających. Czyżby „Venus” już się opatrzyła?

— Za duża konkurencja chodzą po Rynku! — kwituje pan Andrzej, mając na myśli owe półnagie dziewczyny.

6



Foto: Grzegorz Gałasiński

Wycug

(2)

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Wiesć o ucieczce Mikołajczyka powtarzano sobie z ust do ust. Ludzie gadali, uciekł, bo miał nieczyste sumienie. I postawili na nim krzyżyk. Nikt jednak nie znał całej prawdy o Stanisławie Mikołajczyku. I nikt nie próbował jej dociec. Ludziom wystarczyło to, co mówiła jego teściowa, Jadwiga Dzięgielewska. A mówiła im straszne rzeczy.

Półki mieszkali razem pod strzechą, jakoś było. Jak tylko ten nowy dom postawili, tak się zaczęło, że nie do opisania. A poszło głównie o pieniądze, chociaż nie tylko.

Zeszłego roku w kwietniu, na dwa dni przed pierwszym majem Zięć dostał przydział na cement, żeby zaraz wykupić. Pamięta dobrze, kiedy, bo akurat chodziła do doktora ciśnienie w oczach mierzyć. No więc dostał i mówi, że chce pożyczyc pieniądze. Ile? Trzydzieści tysięcy. Miała dziesięć, a on — że musi trzydzieści, bo przepadnie. Dobrze, ale skąd mu tyle da? To się wziął i obraził. Zaraz potem zabrali jej ten pokój od południa. Na złość, że nie chciała pożyczyc.

Trudno: zabrali, to zabrali. Popłakała, popłakała, pojechała do Raciąża na posterunek. Jak wróciła, mówi:

— Stasiu, niech ja posiedzę jeszcze w tym tygodniu, dwa, do miesiąca, a potem całkiem sobie od was pójdę, bo mam już dosyć tego ciągłego przygryzania.

Zięć — że nie. I meble przenosi do pokoju od północy. Pokój niby ładny duży, ale okropnie zimny, bo garaż pod nim, a ona na stawy chora, to jak jej w takim siedzieć? Ale bo to młody starego zrozumie?

We wrześniu powiedziała sobie: pójdę trochę do ludzi, żebym się uspokoiła, odpoczęła. Poszła. Przychodził kiedyś — drzwi zamknięte. Ale nie te od dworu, tylko od jej pokoju. Nawet klucza w zamek włożyć nie idzie. Zepsuli, pomyślała, specjalnie zepsuli. Całą noc przesiadziła na schodach przed domem, bo córka do siebie nie zaprosiła. O piątą rano, jak Zięć sztykował się do roboty, wzięła kaptcie w rękę i za bez się schowała, żeby jej nie widział. Dopiero kiedy poszedł, ona — lasem do szosy, a szosą do Raciąża, do ludzi. Tyle była u dzieci.

Potem kalerfyer jej w pokoju odłączyli. Zięć poucinał rury. Po co? Tylko, żeby ją zamrozić. Nawet milicja to widziała. Wtedy to już i sam komendant był.

W zimie bawiła dzieciaka u jednej pani w Raciążu, bo obojętnie żadnego siedzieć w domu przecież nie miała. Idzie kiedyś kolo rzeki, a spótyka ją znajmy i mówi:

— Wiesz co? Ty masz drzwi rozerwane w domu.

— Nie wyglądał się. A kto by mi miał te rozerwać?

— Jak to kto? Przecież wiesz, że on ci wszystko zrobi.

Nie uwierzyły, ale poszła. Patrzy — faktycznie, zamek rozerwany. Pęta córki:

— Eluniu, dlaczegoście mi to znowu zrobili?

— Bo byli, trzeba!

Dobrze. Weszła do pokoju, posiedziła, popłakała, jeszcze odkurzaczy sprawdziła, czy chodzi, bo miała czysto nowy. I — z powrotem do Raciąża, na milicję. Później, jak zamek wymieniać kazala (osiemset złotych kosztował), to już jej nawet do domu nie wpuszczali. Sąsiedzi mogą poświadczyć, bo do nich zachodziła.

A ile razy Zięć ją poblił, ile wyszamotał, wyzwał... Toż powiedział kiedyś prosto w oczy, że tak będzie robił, żeby ją wygnać. I prawdę to była, bo przecież w maju złożył z córka do urzędu o jej wymeldowanie, że niby od pół roku w domu nie mieszka.

Nie mieszka, bo nie dają. Zresztą — strach. Córka przy milicji na głos krzywała, że ośce tysięcy będzie płacić, żeby się tylko wyprowadziła. Jakby płaciła, to pewnie, że poszłaby sobie, bo już tam dla niej miejsca nie ma. Jedyna córka, a tak się z matką obchodzi! Wstyd ludzi. A ludzie nieślepi — widzą, jak jest. Ale to wszystko jego sprawa. To on tak córkę nastawił. Już dawno jej to mówiła, ostrzegala. Z tymi dziećmi po bracie też... Powiedziała

4



Foto: Grzegorz Gałasiński

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretnarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Czajka Olechnowicz.
Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gebarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl

Kocznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasiewicz, Karol J.

Strwiński, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5,
tel. 36-59-11.

Akwizycja: Andrzej Bartosiewicz
tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwo-
nej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych reklam i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wieda.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kane na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysy-
łki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00 958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658-201045 139 11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
począta zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następnego —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 3263. S-10.

Przegląd prasy

Anthony Polonsky urodził się
w Republice Południowej Afry-
ki, obecnie mieszka w Londy-
nie, jest profesorem historii,
wykładowcą Economic School,
specjalistą od zagadnień Euro-
py Wschodniej. Napisał książkę
o dziejach Polski, wydaje przy
Instytucie Studiów Polsko-Zy-
dowskich w Oxfordzie czasopi-
smo poświęcone Żydom pol-
skimi („Polin. A Journal of Po-
lish-Jewish Studies”). Ciekawą
rozmowę z nim przeprowadził
dla miesięcznika „WIEŻ” (nr
7-8) Andrzej Gorzala.

Prof. Anthony Polonsky za
najistotniejszy w historii Polski
uważa problem kontynuacji.
Zgadza się z poglądem Norma-
na Davisa, że Polska kilka
razy zaczęła się jakby od no-
wa. O sytuacji Żydów w na-
szym kraju tak mówi:

„Pan zna zapewne to słynne
powiedzenie, że dawna Polska
to był raj dla szlachty, niebo
dla Żydów, piekło dla chłopów.
W powiedzeniu tym jest wiele
przesady, ale również coś z
prawdy. To był kraj budowany
przez przyjeżdżających i bogaczą-
cych się na handlu zbożem Wiską. W okre-
sie jego rozkwitu tolerancja była
prawdziwa, zwłaszcza na tle
stosunków panujących w XVI
wieku w innych krajach Euro-
py. Obejmowała nie tylko inne
wyznania chrześcijańskie, zwa-
żając protestantów, ale także i
szczególnie Żydów. (...)”

Mieli oni swoje własne auto-
nomiczne organizacje, mieszkali
razem, tworzyli własne regula-
miny, zbierali sami podatki.
Status, jakim cieszyli się w
Polsce, był unikalny w skali
europejskiej. W kilku krajach
dążono do podobnej autonomii,
np. w Czechach, ale nigdzie się
to nie udało. Parlament żydow-
ski w Rzeczypospolitej — Sejm
Czterech Ziem (Waad Arba
Araoth) — to w Europie jedyna
tego typu instytucja regulująca
wszystkie aspekty życia wew-
nętrznego Żydów, podatki itp.
A jeśli tak, to nie można zro-
zumieć historii Polski bez hi-
storii Żydów, z kolei zaś o hi-
storii Żydów nie można mówić
bez znajomości dziejów polskich.
Faktem jest też, że poza Izrae-
lem (czyli Ziemią Świętą, Pa-
lestyną), być może Babilonem,
a dziś Stanami Zjedzonymi,
żaden kraj nie jest tak ważny
dla tej historii, jak właśnie
Polska.”

Z dużej tolerancji w Polsce
korzystali Żydzi do powstania
Chmielnickiego (1648 r.) Dlate-
go przybywali tu nie tylko z
krajów Cesarstwa Niemieckiego,
lecz także z Włoch, Hisz-
panii, Turcji. Pogorszenie sytu-
acji nastąpiło po zwycięstwie
kontroreformacji. Kościół rzyms-
kokatolicki nakazywał bowiem
segregację ludności żydowskiej.
„Niemniej jest faktem, że aż
do końca XIX wieku i nawet
później wzrost ludności żydow-
skiej jest bardzo silny. Słynny
historyk żydowski Salo Baron
mówił, że historia Żydów za-
cyna się od demografii. Jest
to ważne stwierdzenie. Mimo
braku dokładnych danych lic-
bowych wydaje się pewne, że
przynajmniej naturalna ludność
żydowska w Polsce od początku
XVII wieku aż po wiek XX był
większy od ogólnego przyrostu
ludności. Może to dowodzić, że
mimo pogorszenia, sytuacja Ży-
dów pozostała nadal zadowala-
jąca.”

Antysemityzm pojawił się w
Europie w latach siedemdziesią-
tych XIX wieku (przedtem by-
ły różne odmiany antyjudajzmu).
W tym okresie szybko
rozwinęła się gospodarka, pow-
stały ruchy nacjonalistyczne.
Żydów obarczano winą za u-
jemne skutki kapitalizmu i gło-
szono, że wraz z masonami chcą
zrządzić światem. W oczach
Żydów, którzy dysponowali ka-
pitalem, lecz większość stano-
wiła biedota.

W tym samym miesięczniku
katolickim opublikowano inte-
resujące wspomnienia Marii
Perlberger-Schmuel. Urodziła
się w 1933 roku w Polsce, oku-
pację przeżyła ukrywana przez
Polaków pod nazwiskiem Maria
Teresa Nowakowska (urodzona
rzekomo w Pińsku z Jana i
Ludwika Gajewskich). W 1946
roku wyjechała z Polski, od
1947 r. mieszka w Izraelu.

Autorka wspomnień tak przy-
wiązała się do polskości i ka-
tolicyzmu, że zaraz po wojnie
złe czuła się w Domu Dziecka
dla sierot żydowskich. Z pogar-
dą nawet patrzyła na nowe o-
toczenie.

„Razity mnie ciemne, kędzie-
rzawe włosy, semicki wygląd
tych dzieci. Tygodnie miały,
powoli przyzwyczaiłam się do
nowych warunków, ale — nigdy
nie wychodziłam na miasto z
koleżankami, które wyglądały
na Żydówki. Od czasu do czasu
chodząc jeszcze do kościoła
i nagle odkryłam, że mnie już
on tak bardzo nie pociąga.”

Trzynastoletnia Marysia od-
szukała wujka przebywającego
w Belgii. Na jego polecenie zabrał
ją ktoś do Cieszyna i przepro-
wadził przez most. Po czeskiej
stronie czekał brat matki, Maria
Perlberger-Schmuel zachowa-
wała w Izraelu sentyment do
okupacyjnej Warszawy i żywa
pamięć powstania warszawskie-
go.

HLASKO W IZRAELU

W dwu ostatnich odcinkach
drukowanej w „ŻYCIU LITE-
RACKIM” (nr 39 i 40) powieści
autobiograficznej „Piękni dwu-
dziestoletni” Marek Hlasko re-
lacionuje swój pobyt w Izraelu.
Bardzo ciężko było wówczas
(1959-1961) dostać pracę, po-
niważ przyjechało mnóstwo
nowych emigrantów. Na poważ-
ne trudności natrafili przyby-
scze z naszego kraju.

„Widziałem wtedy wielu ludzi
religijnie żydowskiej, którzy chie-
li wrócić z powrotem do Polski,
ale nie wpuszczono ich. Komu-
niści przyznający sobie prawo
do omyłek odmawiali tego sa-
mego prawa ludziom, którzy
przejechali do Izraela tylko po-
to, aby przekonać się, że nie
mają nie wspólnego z żydo-
stwem, z żydowskimi obyczajami
i z państwem Izrael. Ludzie
ci wyjechali z Polski w okresie,
kiedy fala antysemityzmu prze-
szła przez kraj... Ludzie ci,
przeważnie już starzy, nie mogli
znieść ani ciężkiej pracy, ani
niechęci ze strony Izraelczyków
urodzonych w Izraelu; tak więc
postanowili wrócić. (...)”

Pomogli mi ludzie, świeżo
przybyli z Polski, choć sytu-
acja ich nie była dobra i mieli
pełne prawo nienawidzić każ-
dego, kto pochodzi z Polski.
Wielu z nich przejechało tylko
po to, aby przekonać się, iż są
Polakami, a nie Żydami; ale
comiesię nie pozwolili im na
powrót. (...)”

Kiedy zapytałem ludzi: po co
żeszcie tu przyjeżdżać — odpo-
wiedzieli mi zawsze: bo upu-
szczali. Ich asymilacja nie była
sprawą łatwą; Sabry nie bardzo
lubią przybywców ze Wschod-
niej Europy, wstydzą się ma-
sakrai Żydów i ich bezwzględności
w czasie wojny. (...) Oni sami,
wychowani w pogardzie do ży-
cia i gotowi każdej chwili zgi-
nąć za Izrael, nie byli w stanie
wzruszać się obrazem bezbron-
nych ludzi idących bez oporu
na śmierć. Ludzie przybywają-
cy z Europy nie zyskali ich
sympatii; oni sami przyzwyczaje-
ni do ciężkiej pracy fizycznej
patrzyli z politowaniem na tych
wszystkich, którzy usiłowali u-
rządzić się w sklepach, biurach
czy szpitalach.”

W państwie żydowskim zda-
rzały się paradoksalne sytuacje.
Pewien lekarz, kiedy usłyszał,
że Marek Hlasko jest z Polski,
powiedział mu:

„A to zabawne. Wczoraj mia-
łem pacjenta, który pracował w
włoskiej policji politycznej i u-
ciekł tutaj. I tutaj go pokra-
jał nożami tamci, których on
piniował, a którzy uciekli wcz-
śniej. Teraz on pewnie z kolei
gdzieś ucieknie, a tam już będą
czekać na niego inni, którzy
uciekli przed innymi. I tak bez
końca.”

Przed drugą wojną światową
było w Polsce 5 mln 500 tys.
Żydów, w chwili zakończenia
wojny — około 40 tysięcy, w
połowie 1946 roku — 245 ty-
sięcy (w tym 136 tys. repatrian-
tów z ZSRR), a 1 stycznia 1947
roku już tylko 100 tysięcy (w
tym 70 tys. na Ziemiach Odzy-
skanych). Żydzi masowo opu-
ścili Polskę. Pozostali zaś czę-
sto zajmowali wysokie stano-
wiska państwowe. Związane z
tym problemy przedstawił cze-
tery lata temu w miesięczniku
„ZDANIE” (nr 10 i 11) Marian
Stepień. Przytaczał m.in. rap-
orty ambasadora włoskiego w
Warszawie z lat 1945-1946. W
jednym z nich Eugeniusz Reale
przytoczył odpowiedź Żyda za-
pytanego, dlaczego wyjechał z
Polski:

„Kiedy w Polsce Żydzi han-
dlowali a nie-Żydzi rządząli
można było w niej żyć, lecz
teraz, gdy Żydzi rządzą, a nie-
Żydzi handlują to lepiej z niej
wyjechać.”

Marian Stepień cytując wyda-
nia

W Paryżu książkę Anieli Stein-
bergowej, która napisała, że
wielu wyższych funkcjonariuszy
Ministerstwa Bezpieczeństwa
Publicznego było Żydami. Kie-
dy ubecy ci emigrowali później
za granicę, przedstawiali się ja-
ko ofiary antysemityzmu pol-
skiego. W innej książce George
J. Flemming podaje, że na sto
dzienników, tygodników i mie-
sięczników wychodzących w o-
kresie stalinizmu w Warszawie
było tylko dwóch redaktorów
naczelnych nie-Żydów.

Podobnie jak Marek Hlasko,
prof. Stepień twierdzi, że emi-
granci żydowskie czują się
związani z polskością — nawet
ci, którzy krytykowali Polskę i
Polaków. Tę nostalgiczną po-
jawiają się w ich utworach.
Przykładem może być wiersz
Henryka Grynberga pt. „Świe-
to nad Wisłą”. W zakończeniu
czytamy:

„Kraju / podziwiam cię twoją
rzekopłynną mową / wolę życia
przekorną utyskąrotnioną /
ja też żyję tylko na przekór
moim wrogom / z miłości nie-
zdrowej już mnie wytrzebił
i nie-tuom piałem pościelą
mi pod głową / lecz ja nawet
w grobie / nie przestanę mó-
wić wierszami o tobie.”

Marek Hlasko dwukrotnie za-
znacza, że nie umie być obiek-
tywny wobec Izraela, ponieważ
tamtejsi Żydzi ocalili mu życie.
Pomogli mu rodacy tych, któ-
rych wymordowali ludzie jego
religii.

Utalentowany pisarz polski
nie znalazł dla siebie miejsca
w żadnym kraju. Kiedy wyje-
dzał z Polski, nie wiedział o
tym — jak pisze — „że świat
dzieli się na dwie połowy, z
tym jednak, że w jednej z nich
jest nie do życia, w drugiej nie
do wytrzymania”.

POLSKA I IZRAEL

Pięć lat temu ukazało się spe-
cjalne wydanie „ZNAKU” (nr
2-3) poświęcone problematyce
żydowskiej. Podobny charakter
ma najnowszy numer (5-6)
miesięcznika katolickiego. Ed-
mund Jan Osmańczyk pisze w
nim o stosunkach polsko-izrae-
lskich, które nawiązano już 15/
16 maja 1948 roku. Wymienili
wtedy depesze ministrów
spraw zagranicznych obu kra-
jów: Moshe Shertok i Zygmunt
Modzelewski.

„Nawiązanie stosunków dy-
plomatycznych poszerzone zo-
stało wkrótce o wymianę han-
dlową. W Warszawie 20 V 1949
podpisane zostały umowy han-
dlowe i płatnicze, przewidujące
co roku. Ostatni protokół po-
pisany został 14 maja 1966. O-
bie umowy wygasły formalnie
30 września 1968, co notyfiko-
wała w Warszawie w imieniu
Izraela ambasada Holandii, któ-
ra stała się reprezentacją inte-
resów Izraela w Polsce (na
przełomie 1968/69 przybyli pier-
wsi po 20 latach przedstawicie-
le konsularni Izraela do War-
szawy i zainstalowali swe biura
w przedstawicielstwie Holandii).
Obroty handlowe w pierwszych
dwóch dekadach osiągnęły w
sumie około 20 mln dolarów.
Import Izraela z Polski obej-
mował głównie mięso, cukier,
chemikalia, różne artykuły
przemysłowe, drzewo, motocy-
kle, skutery, szyny kolejowe,
meble, fortepiany, książki, pły-
ty gramofonowe. Polska impor-
towała w zamian: sole potaso-
we, owoce i soki cytrusowe,
orzęski ziemne, fosfaty i che-
mikalie, opony, włókna synte-
tyczne, rury stalowe, bawełnę
i diamenty przemysłowe. Izrael
brał w tym czasie udział w
Targach Poznańskich.”

Oceniając stosunki polsko-
izraelskie nie można zapominać,
że Polacy i Żydzi w latach
II wojny światowej byli skaza-
ni przez ludobójców hitlerow-
skich na zagładę. Na terenach
opanowanych przez Niemców
straty narodu polskiego i ży-
dowskiego rosły prawie jedna-
kowo. Zginęło 6 mln Polaków
i 6 mln Żydów.

Edmund J. Osmańczyk pod-
kreśla, że nie stawia znaku
równiania i nie podejmuje licy-
tacji co do rozmiarów ofiar obu
stron. Podczas II wojny świa-
towej Żydzi ponieśli najwyższe
straty ze wszystkich narodów
europejskich (w liczbach bez-
względnych i względnych). Za-
glądę narodu polskiego przewi-
dziano na lata powojenne.

— Kiedyś ubzdurali sobie, że pod
pretekstem wychodzenia do
pracy, żona spotyka się z kochankiem.
Nie pozwolił jej iść do
fabryki. Kiedy pod wieczór wydawało
się, że maż usnął wycień-
czony całonocnym grzezieniem,
spróbowała wymknąć się z
domu — reportaż BOGUMILA A. MAKOWSKIEGO.

— Czasem dochodzi tu do tragedii.
Są tacy, po których nikt
by nie przypuszczał, że mają
pieniądze, a grają naprawdę wy-
soko. Spokojnie obstawiają
po kilkadziesiąt tysięcy, a później
zrzucają w ścieki kłosa pęczki
przeigranych bileto-
w — reportaż JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO.

— Życie miałem ciekawe, barwne
i pełne przygód. Robiłem co
chciałem. Na długo przed wojną
marzyłem o wojnie, a kiedy
wybuchła wstąpiłem ochotniczo do
wojska. Czynniami na polu
bitwy chciałem wtargnąć do
historii — mówi KAROL OBID-
NIAK.

— Stan naszego kraju jest wielkim
skandalem w Europie,
który trwa już stanowczo zbyt
długo i kompromituje naród
polski. W innych czasach sąsiedzi
nie ścierpieliby takiego bala-
ganu i niegospodarności w
środku kontynentu — artykuł
EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO.

— Dla inwestorów zagranicznych
jesteśmy krajem o dużym
ryzyku polityczno-ekonomicznym
— pisze WITOLD KASPER-
KIEWICZ.

— Ośrodek Karma Kagyu mieści
się w Drobinie koło Płocka.
Miejscowa ludność bardzo chętnie
tłumaczy jak dojść do dwor-
ku zajmowanego przez polskich
buddystów, w którym niedługo
Helena Mniskówna pisała „Trędo-
wą” — reportaż MARKA
BLASZKOWSKIEGO.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

TADEUSZ J. ŻÓLCIŃSKI — krytyk literacki.

Nareszcie odpoczywałem od Olimpiady.
Na temat wielkich
wydarzeń natury politycznej na świecie i
w kraju nie chcę się
wypowiadać, jako że od lat przyjąłem
postawę sceptycznego ki-
bica. Natomiast za ważne wydarzenie,
choć mocno dyskusyjne,
uważam decyzję powołania aż trzech
nowych pism literackich.
I to pod auspicjami (czyli odpowiedzial-
nością?) ZLP. Nie bar-
dzo rozumiem inicjatorów tych poczy-
nań. Najpierw sprawa pisma
młodzieży literackiej. Przed rokiem
zlikwidowano „Radar”
— tygodnik młodzieży twórczej, jako
nierentowny, a nie nie-
czytany. Zadając przeto sobie pytanie:
czy stać nas na niszczenie
pisma i środowisk młodych pisarzy
tylko po to, żeby po ja-
kimś czasie zaczynać od nowa? A
przecież nie nam nie gwa-
rantuje, że nowe pismo będzie
zarabiać na siebie. I jeszcze je-
dno — kto je ma robić? Czy młodzi
dla młodych, czy starzy dla
młodych? Historia „Radaru”
udowadnia, że tego rodzaju pismo
powinni robić wspólnie starzy i
młodzi, ale powinna obowiązywać
rotacja.

Co do tygodnika Związku Literatów
Polskich dla środowiska
pisarskiego — jestem jak najgorszy
myśli. Ostatecznie mamy
w tej chwili kilka pism, które
zajmują się literaturą i dru-
kuje pisarzy, a odbioru czytelniczego
nie mają. Podejrzewam,
że będzie to jeszcze jeden, kolejny
nieudany eksperyment.

A już na zakończenie: ilekroć
na moim biurku recenzentem
znajdzie się książka łódzkiego
pisarza, natychmiast odzyska
od mnie Łódź. Akurat jestem po
lekturze tomu wierszy Tade-
usza Chrościelewskiego „Jasień i
jesień”. Z warszawskiego gra-
dola pozdrościć jedynie mogę, iż
żaden z warszawskich dzie-
siejszych poetów nie wpadł na
pomysł opisać Warszawę w
cyklu wierszy, który układałby
się w malarski, niesłychanie o-
sobisty portret tego miasta.

JAN KOPROWSKI — literat.

Żyjemy w kraju i czasach, kiedy
życie osobiste człowieka,
jego dążenia i osiągnięcia łączą się
w sposób nierozdzielny z
ogólną sytuacją społeczną. Wydarzenia
pomyślne lub niepo-
myślne wpływają bezpośrednio na
nasze poczynania i naszą
pracę. Dlatego, myśląc o minionym
tygodniu, nie mogę nie roz-
ważać tego, co stało i dzieje się
w Polsce. Zarysowały się moż-
liwości pomyślnych rozwiązań
spraw ogólnych. Nie znaczy to,
naturalnie, że od razu wszystko
ułoży się dobrze i wydarzenia
potoczą się bez zgrzytów. Ale
trzeba mieć nadzieję na lepsze
tygodnie, miesiące i lata. Roz-
wiązanie podstawowych spraw
gospodarczych i politycznych
będzie decydować również o
stanie naszej kultury i literatury.
Trzeba wierzyć, że będzie wię-
cej papieru i w lepszym kształcie
i szybciej ukazywać się będą
nasze książki. A właśnie w
minionym tygodniu podpisałem
umowę z oficyną szczecińską „Glob”
na nowy tom opowiadań
„Małgorzata z Malmö”, który
został już przyjęty do druku.
W roku bieżącym ukończym 70 lat
życia i coraz więcej czasu
mam za sobą, a coraz mniej przed
sobą. Dlatego każdy, nawet
drobny sukces cenię sobie
bardziej niż kiedykolwiek przedtem.
Oczekuję też z niecierpliwością
wydania przez Wydawnictwo
Łódzkie tomu „Wierszy z podróży”,
a przez Wyd. „Pomorz”
tomu esejów i felietonów „Za
między i dalej”. Ponadto mam
nadzieję, że „Czytelnik” wyda mi
„Opowieść o mojej matce”,
która, napisana w czterdziestu
lat po „Opowieści o moim ojcu”,
zamknie sagę o losach mojej
rodziny i moich własnych. Każdy
przeżyty tydzień, również ten
miniony, jest czasem darowanym
trzeba się z tego cieszyć.

ANTONI SALEZY PARODY — esteta, globtroter.

W ubiegłym tygodniu najbardziej
ubawiłem się przed witrą
Księgarni Powszechnej przy ul.
Piotrkowskiej 147. Leża tam
różne pozycje, m.in. „Gospodarka
pasieczna”, „Choroby król-
ków”, „Kozy domowe”, „ABC
pszczelarza”. A pomiędzy nimi
Maurycy Maeterlincka „Życie
pszczoły”. Kierując się zna-
ciem dosłownym tytułu „Stad
do wieczności” Jonesa powinno
się sprzedawać w księgarniach
Veritasu.

Notował: MAREK KOPROWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Georgia postanowiła pracować.
Chciała mieć własne pie-
niądze, posyłać paczki do rodziny.
Obejrzyjmy jej krzątanie.
Jan Duch zastanawiał się, jak
wielką próżnością tkwi w ludzich,
dokonyjących pozornie dobrych
czynków. Jej rodzina była
przecież zamożna — najnowsza
książka ANDRZEJA BRYCHTA.

— Jan Kurzawa nie sprawia
wrażenia chłopca z urodzenia.
Ma pogodną szarą ocy. Mówi
łagodnym głosem, wydaje się
człowiekiem zrównoważonym,
ale w kontaktach z adminis-
tracją nie jest taki tolerancyjny
— reportaż RYSZARDA BINKOW-
SKIEGO.

— Kiedyś ubzdurali sobie, że pod
pretekstem wychodzenia do
pracy, żona spotyka się z kochankiem.
Nie pozwolił jej iść do
fabryki. Kiedy pod wieczór wydawało
się, że maż usnął wycień-
czony całonocnym grzezieniem,
spróbowała wymknąć się z
domu — reportaż BOGUMILA A. MAKOWSKIEGO.

— Czasem dochodzi tu do tragedii.
Są tacy, po których nikt
by nie przypuszczał, że mają
pieniądze, a grają naprawdę wy-
soko. Spokojnie obstawiają
po kilkadziesiąt tysięcy, a później
zrzucają w ścieki kłosa pęczki
przeigranych bileto-
w — reportaż JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO.

— Życie miałem ciekawe, barwne
i pełne przygód. Robiłem co
chciałem. Na długo przed wojną
marzyłem o wojnie, a kiedy
wybuchła wstąpiłem ochotniczo do
wojska. Czynniami na polu
bitwy chciałem wtargnąć do
historii — mówi KAROL OBID-
NIAK.

— Stan naszego kraju jest wielkim
skandalem w Europie,
który trwa już stanowczo zbyt
długo i kompromituje naród
polski. W innych czasach sąsiedzi
nie ścierpieliby takiego bala-
ganu i niegospodarności w
środku kontynentu — artykuł
EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO.

— Dla inwestorów zagranicznych
jesteśmy krajem o dużym
ryzyku polityczno-ekonomicznym
— pisze WITOLD KASPER-
KIEWICZ.

— Ośrodek Karma Kagyu mieści
się w Drobinie koło Płocka.
Miejscowa ludność bardzo chętnie
tłumaczy jak dojść do dwor-
ku zajmowanego przez polskich
buddystów, w którym niedługo
Helena Mniskówna pisała „Trędo-
wą” — reportaż MARKA
BLASZKOWSKIEGO.

W końcu maja 1943 r. przyjechałam do Siele nad Oką, gdzie formowała się 1 Dywizja imienia T. Kościuszki. Miałam zamiar pracować jako sanitariuszka w szpitalu wojskowym. Po przybyciu rozczarowałam się, jak wiele moich koleżanek. Powiedziano nam bowiem, że zostaniemy wciągnięte do formacji kobiecego batalionu im. E. Platera i że będziemy szkolone tak samo jak męskie oddziały wojskowe.

Z każdym dniem batalion nasz powiększał się. Zaczęło przybywać coraz więcej kobiet. Ustawiano nowe namioty. Teren zakwaterowania zmienił się nie do poznania. Długo pracowałyśmy nad jego oczyszczeniem. Pośrodku przeciągnęłyśmy tak zwaną linię, oddzielającą poszczególne namioty. Ozdabialiśmy je różnymi hasłami i dekoracjami.

Nadeszła oczekiwana przez nas radosna chwila umundurowania batalionu. Na wieczornym apelu stanęłyśmy jedna obok drugiej, ubrane w granatowe berety, zielone bluzki i spodnie oraz w żołnierskie buty. Dużo kłopotów miałyśmy z dopasowaniem mundurów. Dla jednych były za małe, zaś dla innych za duże. I właśnie w tym czasie, kiedy klóczyłyśmy się z szefem zaopatrzenia o dopasowanie mundurków, ułożyłyśmy piosenkę, zaczynającą się od słów: „Nasz mundur jest zielony, tylko trochę źle skrojony”.

Od tego czasu poczułyśmy się prawdziwymi żołnierzami. Zaczęły się regularne ćwiczenia. Gdy o godz. 5 rano dyżurna batalionu ogłaszała pobudkę, wybiegałyśmy z namiotów w białych koszulkach i stąd biegiem udawałyśmy się najpierw do rzeki, która przypominała nam Wisłę. Po kąpielach w zwanym szeregu maszerowałyśmy do miejsca zakwaterowania. Po apelu i spożyciu śniadania odbywałyśmy ćwiczenia. Najwięcej uwagi początkowo zwracano na prawidłowe maszerowanie w szyku zwanym. A było z tym kłopotu co niemiara. Wydawało się, że u miemy chodząc, boć przecież tyle lat chodziłyśmy w harcerstwie i w szkole i nikt nam uwagi nie zwracał. A tu w wojsku, na każdym kroku poprawiano nas, krzyczano, że źle chodzimy, że mamy dwie prawe nogi.

Zaczęło się też pełnienie wart. A było przy tym śmiechu wiele. Stałyśmy na tych wartach — jak wtedy mówiono — z rękami w kieszeni, bez broni. Nieraz zdarzały się śmieszne sceny w nocy, gdy na ogłos spadającej szyszki z drzewa, wartowniczką wszechyła alarm, krzyząc: — Stój! Kto idzie! — Wtedy zjawiał się jak mara nocna groźny dla naszego batalionu zastępca dowódcy do spraw liniowych por Mac Zbadałszy przychylnie alarmu, wyzywał fizylierkę od oferm i niedorajd.

Gdy już dostatecznie byłyśmy przeszkolone, w dniu 15 lipca 1943 r. odbyła się uroczystość złożenia przysięgi żołnierskiej. Dnia tego oczekiwali wszyscy kościuszkowcy w wielkim napięciu.

Z rana, o godz. 10, cała dywizja zebrała się przed polowym kościołem. Po wysłuchaniu mszy świętej żołnierze wyruszyli na plac gdzie na trybunie ustawili się sztab dywizji z zaproszonymi gośćmi. Każdy z nas wznosząc palec do góry powtarzał słowa przysięgi, spoglądając z dumą na stojących obok nas żołnierzy, że przypadł też i nam zaszczytny udział w walce z wrogiem o wyzwolenie ojczyzny.

Po przysiędze poczułyśmy się naprawdę żołnierzami. Zaczęło wydawać nam broń, z początku kilka sztuk na kompanię, a potem każda fizylierka otrzymała swój własny karabin. Zaczęło teraz pilnie nas uczyć o broni.

Pewnej niedzieli przybyła do nas Wanda Wasilewska. Cały batalion wystąpił na spotkanie z nią. W kilku słowach określiła powód swego przybycia. Oznajmiła między innymi, że z naszej jednostki wybrana zostanie jedna kompania, która wyruszy razem z dywizją na front. Ku wielkiej mojej radości zostałam przydzielona również do tej kompanii. Od razu zostałyśmy podzielone na plutony i drużyny. Dotychczas osobne palatki i wieczorem po apelu, gdy przyśpiłyśmy do namiotów, poznawaliśmy nowe koleżanki. Wtedy właśnie spotkałam po raz pierwszy Anielę Krzywoń. Była to waleśka dziewczyna, o niepozornym wyglądzie, niskiego wzrostu, o okrągłej twarzy i młodym wy-

kroju ust, trochę piegowała, blondynka. Była bardzo nieśmiała i zawsze zamyślona. W czterech rozmowach ze mną opowiadała o ciężkich przeżyciach w dzieciństwie. Pocho-dziła z biednej rodziny chłopskiej, której materialny byt nie zapewniał dostatecznego życia. Bardzo pragnęła uczyć się, lecz ubóstwo rodziców nie pozwoliło jej zdobyć pełnego wykształcenia podstawowego. Była bardzo zadowolona z przydziału do frontowej kompanii fizylierki, gdyż tą drogą — jak zapewniała mnie — przed jej będzie mogła dostać się do kraju i rodzinnego domu. Szczególnie pragnęła zobaczyć Warszawę, której nigdy dotąd nie widziała.

Nasza jednostka, znana pod nazwą 1 kompanii fizylierki, dostała pepeski i cały wojskowy ekwipunek. Byłyśmy dum-

wiedliwi, ale generał podziękował Anieli za dobre wypełnienie swego zadania na warcie, mówiąc: — Oby takich żołnierzy, jak Krzywońówna, było jak najwięcej!

Po 10 dniach postoju nasza dywizja wyruszyła w dalszą drogę, w kierunku Smoleńska. Marsz ten odbywaliśmy w bardzo ciężkich warunkach atmosferycznych. Przez cały dzień padał deszcz, wiał gwałtowny wiatr. Wyruszyliśmy późnym wieczorem. Droga była bardzo uciążliwa i trudna do przejścia. Po kilku kilometrach niektórzy żołnierze zaczęli padać ze zmęczenia. Pod koniec marszu zaczęłyśmy również odczuwać zmęczenie. Byłyśmy przemoknięte do nitki. W butach miałyśmy pełno wody.

Dnia 10 października 1943 r.

WŁADYSŁAWA WYSOCKA

Brałam udział w bitwie pod Lenino

ne, że mamy broń, że idziemy na front, że wkrótce spotkamy się z wrogiem. Zaczęło teraz uczyć nas kopania rowów strzeleckich. Przechodziliśmy bojowe szkolenie.

Nadszedł wreszcie dawno oczekiwany dzień: ostre strzelanie z własnych karabinów. W tych ćwiczeniach najbardziej odznaczała się w naszej kompanii Aniele Krzywoń. Najlepiej z nas strzelała. Została wyborowym strzelcem-snappe-rem. Była to dla niej wielka radość.

Pewnego dnia dowódca naszego plutonu podporucznik Charytonowa zapowiedziała nam, że tematem ćwiczenia, na które wyruszymy, będzie szkolenie zwiadowczego plutonu w akcji bojowej. W krótkich słowach przedstawiła plan tego ćwiczenia. Wzięło w nim udział 5 fizylierki, które zamaskowane w lesie miały stanowić zasadzkę wroga. Ja i Aniele zostałyśmy wysłane do lasu w celu odszukania wroga i wskazania plutonowi bezpiecznej drogi w jego marszu. Aniele w tych ćwiczeniach spisała się najlepiej. Najpierw odkryła „wroga” siedzącego na drzewie. Była nim fizylierka, nasza koleżanka Hela Figura. Okrzyknęłyśmy to drzewo. Aniele krzyknęła: — Rece do góry! Rzuć broń! — Hela przerażona krzykiem spadła z drzewa, akurat nam na głowę. Krzywońówna, jako dowódca zwiadu, dała mi rozkaz odstawienia „wroga” do plutonu, a sama ruszyła dalej.

Nadeszła wreszcie od dawno oczekiwana chwila wyjazdu na front. Dnia 1 września 1943 r. rano batalion kobiecy pożegnał naszą kompanię, wyruszającą wraz z innymi jednostkami dywizji pieszo z miejsca postoju do stacji kolejowej Dziwowo. Tam załadowałyśmy się do wagonów i wieczorem wyruszyłyśmy w drogę. Jechaliśmy przez 5 dni. W ciągu podróży byłyśmy w ciągłym pogotowiu, gdyż linie kolejowe były stale bombardowane przez samoloty hitlerowskie. Dojeżdżałyśmy do stacji kolejowej Wiaźma, gdzie wydładowaliśmy się i maszerowałyśmy do nowego miejsca postoju. Było to wzgórze pokryte ziemiankami, wybudowanymi przez żołnierzy Armii Czerwonej. Nasza kompania dostała zadanie ochrony sztabu dywizji. Od razu — już w pierwszym dniu po przybyciu na miejsce — przystąpiłyśmy do pełnienia służby wartowniczej. Aniele tego dnia miała wartę przy sztabie dywizji, ja zaś uczestniczyłam w patrolu.

Po godzinie 23 dowódca dywizji generał Zygmunst Berling wyszedł ze sztabu dywizji, i po kilku minutach wrócił, a powrotem, Aniele słysząc kroki, wydała rozkaz: — Stój! Kto idzie! — Generał odpowiedział: — Swój! — Podaj hasło! — zawołała fizylierka. — Jestem dowódcą dywizji — odpowiedział generał. — Przed chwilą wyszedłem z dowództwa dywizji. — Aniele nie usłyszała jego hasła wydała rozkaz: — W tył zwroć! — Padnij! — Generał spełnił rozkaz. Krzywońówna zawezwała wtedy dowódcę wart, który sprawdził, że jest to rzeczywiście dowódca dywizji. Fizylierka zmieszana stanęła na baczność przed generałem, nie wiedząc, jak ma się uspra-



Władysława Wysocka

dywizja znalazła się we wsi Mikołajewo, położonej 8 kilometrów od głównej linii frontu. Do naszych uszu docierały już odgłosy kanonady artyleryskiej. Po obiedzie tegoż dnia poszczególne pułki zaczęły zajmować pozycje frontowe.

Wkrótce odbyła się zbiórka naszej kompanii. Nasz dowódca porucznik Orłowski zapowiedział, że nasz trzeci pluton zostanie podzielony na 3 drużyny. Pierwsza zostanie przy naszej kompanii, druga zostanie przydzielona do 1 pułku, a trzecia włączona do 3 pułku. Drużyny te będą miały za zadanie przede wszystkim odprawianie jeńców na tyły frontu. Ja i Aniele postanowiłyśmy również przyłączyć się do drugiej lub trzeciej drużyny. Zwrociłyśmy się więc z prośbą w tej sprawie do naszego dowódcy ale mimo naszych błagań porucznik Orłowski nie zgodził się na naszą propozycję. — Dostaniecie o wiele ważniejsze zadanie — oświadczył nam. — Pożegnajmy się więc z koleżankami obu drużyn, które następnie zostały odprowadzone do przydzielonych pułków.

O godzinie 8 wieczorem w sztabie dywizji ogłoszono alarm. Wyruszyłyśmy wraz z dywizją w kierunku wsi Budy Front był już bliski. Słychać było strzały i wybuchy pocisków artyleryskich. Zadana z nas nie poddawała się nastrojowi strachu lub paniki. Po cichu nuciłyśmy słowa naszej piosenki: „Z nas będzie kompania wyborowa taka, że najlepszy Niemiec da przed-

nią drapak”. Im bliżej byłymy celu, tym bardziej dawałyśmy upust wesołości. Szczególnie Aniele miała świetny humor, opowiadając ku ogólnemu zadowoleniu chłopskie kawały. Zbyt wesoły nasz dowódca kompanii. Denerwował się i uspokajał nas: — Uspokójcie się do jasnej cholery! — krzyczał. — Musimy zachować jak największą ciszę i ostrożność! — Ale na te uwagi nie reagowałyśmy jakoś. W dalszym ciągu wybuchaliśmy śmiechem, gdy któraś — jakby na przekór porucznikowi Orłowskiemu — potknęła się o cokolwiek na przykład o rozciągniętą pod nami sieć telefoniczną i padała jak długa na ziemię. Zniecierpliwiony naszym zachowaniem dowódca kompanii wyprowadził mnie i Krzywońównę z szeregu i zapowiedział, że po wycofaniu się

się u kapitana Lubezyka, który wyda dalsze rozkazy. Zgodnie z poleceniem dowódcy kompanii zabrałam wyznaczone 3 fizylierki i pożegnałyśmy się z pozostałymi. Cała nasza czwórka należała do wyborowych strzelców-snapperów dywizji. Ruszyłyśmy w drogę.

Dzień zapowiadał się pogodny. Na horyzoncie zaczęło wschodzić słońce. Przed nami coraz częściej rozrywały się pociski artyleryskie. Nie odstraszało to nas jednak. Maszerowałyśmy spokojnie, bez okazywania strachu.

W sztabie dywizji zameldowałam się u kapitana Lubezyka. Powiedział mi, że naszym zadaniem będzie w nocy ochrona ważnych dokumentów sztabowych, a w dzień będziemy spełniać rolę sanitariuszek. Od razu przystąpiłyśmy do pracy. Zaczęłyśmy opatrywać

rannych kościuszkowców. Udzielałyśmy im pierwszej pomocy. Trudno było o wodę, której spragnieni byli ranni. Aniele z menażkami kilkakrotnie udawała się po nią do najbliższego źródła.

Przed obiadem kapitan Lubezyk wezwał mnie i dał rozkaz załadowania wszystkich dokumentów sztabowych do samochodu. Dywizja miała ruszyć naprzód, a my miałyśmy podążyć za nią. Załadowałyśmy paczki z dokumentami tak, że wiele miejsca w woźnie nie było. Do tego zajęli w nim miejsca telefonistki oraz pisarze sztabowi. Z nas tylko Krzywoń znalazła się w środku samochodu dla bezpośredniej ochrony dokumentów, a ja z pozostałymi dwiema koleżankami stałam na błotnikach wozu. Ruszyłyśmy w drogę. Przejeżdżaliśmy przez tyralieri maszerujących wojsk. Żołnierze pozdrawiali nas okrzykami: — Niech żyją fizylierki! — My z kolei pozdrawialiśmy ich, zycząc powodzenia na froncie.

Dojeżdżałyśmy do pałacy jakiejś wioski przed kilku minutami — opuszczonej przez Niemców. Widziałyśmy liczne trupy zabitych żołnierzy. Za wioską wjechaliśmy w wązów do ziemianek, skąd wyprowadzono wziętych do niewoli hitlerowców. Kapitan Lubezyk polecił nam — czterem fizylierkom — roztoczenie ścisłego nadzoru nad samochodem z dokumentami, a sam udał się w poszukiwaniu dogodnego miejsca dla sztabu dywizji.

Zostałyśmy same z wozem. Nad nami wisiały kule, co chwila nadlatywały niemieckie samoloty, bombardując nasze pozycje. Samochód z dokumentami zamaskowałyśmy, pokrywając go gałęziami. Obok nas zaczęli przechodzić ranni żołnierze udający się na tyły frontu. Z braku bandażów powyciągałyśmy z plecaków bielelinę, daliśmy ją i opatrywałyśmy rannych. W trakcie tej pracy — ku wielkiemu naszemu zdumieniu — zobaczyłyśmy Stefę Jeżykowską, odprowadzającą jeńców na tyły frontu. Z dumnie podniesioną głową popędzała hitlerowców, krzyząc na cały głos: — Schnell, schnell! — Zamieniła z nami naprędce kilka słów i pożegnała nas.

Miejsce naszego postoju zaczęło coraz bardziej ostrzeliwać. Groziło nam niebezpieczeństwo. Przybiegli kapitan Lubezyk i rozkazał, żebyśmy natychmiast ruszyły na stare miejsce postoju, które niedawno opuściłyśmy. Sytuacja była bardzo niebezpieczna, gdyż Niemcy zaczęli rzucać wciąż nowe siły do walki i coraz intensywniej bombardować nas.

Ruszyłyśmy więc w powrotną drogę. Dojeżdżałyśmy do dawnego miejsca postoju. I tu — jak okazało się — groziło nam również niebezpieczeństwo. Samoloty wroga co chwila nadlatywały i bombardowały. Jeden pocisk trafił w nasz zamaskowany samochód z dokumentami. Odczułam bardzo silny wstrząs, który powalił mnie na ziemię. Poczułam, jak przypięta do pasa łopatka wyrwała się wraz z nim, odrzucając mi kawał płaszcza. Podniosłam się nieco i ujrzałam gesty dym, unoszący się nad samochodem. Palił się brezent wewnątrz. Widziałam coraz bardziej rozprzestrzeniający się ogień. — Aniolo! — krzyknę-

łam do siedzącej wewnątrz wozu Krzywońówny. — Wyrzuć dokumenty! — Aniele zaczęła wypychać paczki z dokumentami. Odbierałyśmy je i zanosiliśmy obok. Prócz trzech wyrzuconych paczek, pozostało w woźnie jeszcze sześć. Aniele wyrzuciła pozostałe paczki. Wtem nagle usłyszałyśmy detonację następnej bomby, spadającej na samochód. — Aniolo! — krzyknęłam z całych sił. — Ratuj się! Opuść samochód! — Ale nie było już ratunku. Ciężko ranna próbowała wydostać się z szoferki, ale w tej samej chwili spadła na nią gałąź. Ogień objął wkrótce całe wnętrze samochodu i znajdująca się w nim Krzywońówna.

Na ten widok dostałam szoku. Na próżno biegałam z miejsca na miejsce, krzycząc i wzywając pomocy. Niestety, w pobliżu nie było nikogo. Padłam prawie nieprzytomna na ziemię. Po chwili obudził mnie warkot powtórnie nadlatujących samolotów niemieckich i huk spadających w pobliżu bomb. I wtedy dostrzegłam kilka rannych postaci. Przede mną leżała nieruchomo ciężko ranna Lida Karczewska, u której wąskim strumykiem ze skroni spływała krew. Rana jej okazała się śmiertelna. Przeniesiona do szpitala wkrótce zmarła. Trochę dalej jęczała z bólu ciężko ranna w nogę Hela Figura. Na wprost mnie w ogarniętym ogniem samochodzie płonęło ciało Anioli.

W pewnej odległości na wzgórzu ujrzałam zbliżającego się dowódcę 1 Dywizji generała Berlinga. Reszkami sił, wyczerpana do ostatnich granic, zbliżyłam się do generała. Próbowałam stanąć na baczność. Przez pewien czas patrzył na mnie w oczach, nie mówiąc. Po chwili ktoś z tyłu położył rękę na moim ramieniu. Odwróciłam się i zobaczyłam dowódcę naszego plutonu podporucznika Charytonową. Obie odeszłyśmy od generała i powróciłyśmy do miejsca, gdzie dopałyły się szczątki samochodu wraz z ciałem Anioli. Charytonowa z odkrytą głową stanęła na baczność. Ja starałam się uczynić to samo. Po poleceniu dowódcy plutonu spływały łzy. Ja nie mogłam płakać. Z zaciśniętymi pięściami, stojąc przed spalonymi zwłokami Anioli, ślubowałam, że pomścimy jej śmierć na wrogu. Następnie podeszłyśmy do rozciągniętej na ziemi Lidy Karczewskiej i obok niej leżącej Heli Figury.

Do kompanii nie mogłam iść o własnych siłach. Charytonowa prowadziła mnie pod rękę. Fizylierki na nasz widok zbiegły się i powitały mnie serdecznie. Po moim wyglądzie poznały, co się stało. Porucznik Orłowski wziął mnie za rękę i uściślał serdecznie, pytając o przebieg wydarzenia. Byłam jednak tak mocno osłabiona, że nie wykrztusiłam ani słowa.

W nocy dywizja ruszyła na nowe miejsce postoju, na zastłony odpoczynek. Dwa dni temu, tą samą drogą, szłyśmy razem z Anielą Krzywoń.

W grudniu tegoż roku za bohaterki swój wyczyn Aniele Krzywoń została pośmiertnie odznaczona orderem „Bohatera Związku Radzieckiego”. Ja otrzymałam Krzyż Walecznych. Inne koleżanki odznaczone zostały również wysokimi odznaczeniami radzieckimi i polskimi.

Władysława Wysocka-Wojciechowska była w kompanii fizylierki, biorącej udział w bitwie pod Lenino w dniach 13-15 października 1943 r. Rekopis swoich wspomnień wręczyła mi na spotkanie z redakcją gazety frontowej „Głos Żołnierza” w Zytomierzu w 1944 r., prosząc o zamieszczenie ich po powrocie do Polski w prasie krajowej.

Po zakończeniu wojny Wysocka przez pewien czas pełniła służbę wojskową w Wojsku Polskim. Odznaczona została Krzyżem Walecznych.

Jej wspomnienia dotychczas nie były drukowane. Ukazują się po raz pierwszy na łamach „Odgłosów”.

Opracował i podał do druku
FRANCISZEK LEWANDOWSKI

wtenczas, bo się radzić przyszła:

— Eluniu, ja ci nie doradzę, ani nie odradzę. Ty sama najlepiej wiesz, czy ci będzie z nimi lepiej, czy gorzej.

A gdzie tam! Nie posłuchała. Poleciała na państwowe pieniądze. Widać ważniejsze one dla niej niż rodzona matka.

W pierwszych dniach września pojechałem do Raciaza. W podróży towarzyszył mi Stanisław Mikołajczyk, którego przekonałem, że powinien odwiedzić dzieci i żonę. Nie widzieli się od miesiąca. Ani ona nie wie, co w Łodzi, ani on — co na Półkach. Dlaczego do siebie nie piszą? Przecież latwiej by im było przetrwać tę rozłąkę. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego. Po prostu nie przyszło mu to do głowy.

Na posterunku milicji w Raciazu przypadkowo spotkałem Jadwigę Dziegielewską. Chętnie przystąpiła na propozycję dłuższej rozmowy, którą nagrałem na taśmę magnetofonową. Natomiast Jerzy Kotodziej, posterunkowy na Półkach nie miał mi nic do powiedzenia, choć nie krył, że zna dobrze sytuację i — po czyjej stronie jest jego sympatia. Wyjaśnił, że bez pozwolenia przełożonych nie może udzielać informacji prasie, a komendant posterunku jest akurat na urlopie.

Spalili się prawie do cna, równo. Równo też prawie dostali z „fajerkasy” po około sto tysięcy. Bardziej — jak to się mówi — na czepnego, bo pieniądze żaden, a gołi przecież wyszli. Samych łachów za więcej chyba w szafach było. Ale niech tam już. Dość że oni te pieniądze potem głównie w nowy dom wiozli, a teściowa — w nowe meble. Na siebie imo patrzyła.

Wycug

(2)



Foto: Autor

Przy budowie też nie za wiele, jak wspomnieć, pomogła. Najwięcej z drutami chodziła, nitki wiązała, a jak ją kiedyś jego mama przycisnęła o to, wyrzekła jej:

— Toż nie dla mnie, a dla siebie i swoich dzieci budują.

Prawda niby, ale i nieprawda, bo z rejentnego zapisu jej też się należało. Zresztą i tak i tak kat by przecież dali. Psa grzech wyrzucić, a co dopiero matkę. Tylko że jak dzieci płach przesiewały i do innej roboty zawsze były skore, aż się sąsiedzi nad nimi litowali, to ona nie mogła więcej? Żeby chociaż chciała! Chcieć!

Tak samo później z tymi zamkami. Przyjechała milicja, że zięć jej popsuł i do swojego pokoju nie może wejść. Wziął mundurowy od niej klucze, otworzył, zamknął, znowu otworzył.

— Musiała pani może źle włożyć — mówi.

Nie dała sobie wytłumaczyć:

— On taki spec — na zięcia pokazała — że najpierw zepsuł, a potem naprawił.

Obejrzelni zamek — niemożliwe, wszystkie trzy klucze tylko u niej, córka i zięć nie wejdzie, to jak mógł popsuć, kiedy „lucznik” od srodka założony? Nie wiedziała, co powiedzieć. Ledwie odjechali, poszła do kuchni, tej na dole i z nerwów zwie, ubliża, zaczepia...

— Ja cię i tak zniszczę, skurwysynu! — krzyczy.

A jego mama przy tym była. Popłakała się zaraz, bo jak tego słuchać. Syn widzi — matka płacze, to każe teściowej iść do jej pokoju i tam sobie krzyczeć. Co przy dzieciach awantury weszyna! Gdzie tam — jeszcze pomidorami zaczęła w niego ciskać, gotującą wodą z czajnika chciała poparzyć, za saganek z kartoflami chwyciła...

Pobiegły dwie najstarsze córki do Juskiewiczów po milicję, dzwoniły, że teraz przyjadą i zobaczą, jak z babcią Jadzią jest naprawdę. Nie chcieli. Poszedł drugi raz sam Mikołajczyk:

— Do zamka, to żeście z teściową przyjechała, a sagankami jak rzuca, zwie, że niemożliwością, to was nie ma?!

— My się w rodzinne sprawy nie mieszkamy — znów odmówili.

Aha, pomyślał, już coś się na niego szykuje. Widać kto z kim trzyma. I faktycznie w poniedziałek nowa awantura, że z żony chce głupia zrobić, w szpitalu zamknąć, dzieci wszystkie do sierotki poddać, a na Półka sprowadzić swoją rodzinę. Już przyjeżdża ciągle to działo się z Półka i po domu się panoszy. Za to we wtorek — wezwwanie na posterunek, bo teściowa doniosła, że ją znieważił i pobić znowu chciał.

Przypomniał im:

— No, jak tak można, panowie?

Elżbieta Mikołajczyk nie spodziewała się przyjazdu męża. Zapłakana stała w drzwiach i musiała minąć dłuższą chwilę zanim nikły uśmiech przebił się przez łzy. Dzieci też płakały — z radości, że tatę wreszcie wrócił. Obstąpili go kolem i nie chcieli puścić. Gdzie jest? co robi? czy je ze sobą zabierze? — pytały jedno przez drugie.

Spod domu po drugiej stronie drogi z niezdrówną ciekawością przyglądała się tej scenie Krystyna Kalman. Następnego dnia już pół wsi wiedziało, że „Mikołaj” wrócił do żony, przywoząc za sobą dwóch takich (to kierowca i ja), co się podają za dziennikarzy, a są z rodziny tej ich ciotki Teresy, co mieszka w Łodzi.

Sąsiedzi ani do młodych, ani do teściowej właściwie nie miały, ale...

Jak oni mogli tak z matką zrobić? Żeby do domu nie wpuszczać, wody i jedzenia załować, bić ją... Nie przystoi. A ona porządna przecież i zgodna kobieta. Tyle lat już tu mieszka, to znają. Teraz siedzi u Kamińskich, będzie już ze trzy tygodnie. Wcześniej, chyba z rok — w Raciazu, głównie u Chmielewskich, no bo jak „Mikołaj” tych dzieci nabawił, to dla matki miejsca brakło i musiała iść precz, a co tam kiedy poszła, to ją gnali.

Nad pokrzywdzoną przez dzieci matką każdy się ułtuje: szklankę herbaty czy talerz zupy da, umyć się pozwoli, ogrzać, wysłucha jej narzekania, pocieszy. Jakby wszystko spisać, co ona, biedna, naopowiadała, to — prawdziwy kryminał, że i w telewizji lepszych nie odgrywają. A Eika, znaczy się — córka, to znowu słowa dziurki nie powie. Zamknięta siedzi w domu, psa wielkiego uwiązła, nocą po oknach światło pali... Boi się ludziom w oczy spojrzeć, za to, że tak się z matką obchodzi.

Nie chciało się jej robić, to sobie dzieciaków nabawiła i państwo jej teraz płaci. Podobnie coś sto tysięcy. A jeszcze jak pójdzie czasem do opieki społecznej i napłacie, to i w naturze jej co dadzą. Każdy by tak chciał za darmo. No bo przecież, jakby jej nie płacili, to by sobie chyba sama takiego kłopotu na głowę nie ściągala, no nie?

Dzieci, nie można powiedzieć, czysto ubrane chodzą, dobrze się uczą, ale kto wie, co z nich jeszcze będzie. Tak tam się tak narobiło. Milicja co rusz zajęcza, bo te zamki psują, wpuszczać i chca, prokurator śledztwo prowadzi... Przecież utopił matkę chciała! Wody do wanny napełniła, na rekach — czarne rekawiczki do łokci, żeby śladów nie było... No za to to już powinni ją zamknąć i chyba zamkną. Kara musi być i to nie byle jaka. Każdy powie.

Prawda, że widział, nikt nie widział, bo same były, ale jak się w tej lazie odbywało. Dziegielewska szczegółowo opisywała, pokazywała. Nawet to, że sztuczna szcękę zgubiła i dopiero milicja pod wanną znalazła. No i Kalmanka może potwierdzić, że wargę miała rozciętą, sińce, guzy, ubranie poszarpane, bo jak z domu z krzykiem wybiegła, to prosto do niej, Kalmanka zaraz tam mieszka, to wszystko najlepiej wie.

Nie wszyscy mieszkańcy wsi Półka pod Raciażem, z którymi rozmawiałem, skłonni są winić Mikołajczyków, czy — tylko Mikołajczyków, wbrew temu, co na polecenie Prokuratury Rejonowej w Płońsku ustaliła miejscowa milicja, zdania na temat tego głośnego w okolicy konfliktu są podzielone, choć głosy potępienia istotnie przeważają. Branią też donoszą.

U Bienkowskich i Kalmanów na przykład nikt nie ma najmniejszych wątpliwości. Kowalscy niemalże widzą już wyrodną córkę na szafocie.

Zofia Juskiewicz uchyliła się od ocen. To nie jej sprawa. W garnki sąsiadom nie zagłada. Pamięta tylko, że gdy ongiś leżała w szpitalu, to po wsi rozeszła się plotka o jej śmierci i sąsiedzi zaczęli już nawet mężowi składać kondolencje. Potem niektórym trudno było u wierzyć, że jednak żyje.

Broniła jej długo. Kiedy nierzaz syn skrzył się, że taka, czy taka, skarciła go:

— Stasiu, nie wymawiaj, ona też jest matką i na pewno nie chce dla was źle, a że może czasem co w nerwach powie, to takie jej prawo.

Broniła uparcie. Ale jak raz przed nią kłękła i obiecała, że zniszczy, zgnoi, wykończy... — więcej się nie dało. Bo jakie to tak, żeby jedzą matkę do drugiej. Jeszcze o czymś takim w życiu nie słyszała, a lata swoje już ma.

Po ucieczce syna płakała całe noce. Nie mogła przeboleć. A mąż to zaraz na Półka pojechał — synowej pomóc, a i przypilnować, bo przecież strach tam teraz jej choćby na podwórko wyjść. Parę razy ktoś kręcił się koło domu, kamieniami w psa rzucał... Kiedyś było nawet kilku. Sam widział, jak spod płotu uciekali, ale poznać by nie poznali. Dość, że Eli spokoju nie daje. A ona już ledwo ducha z tego wszystkiego, pigułki na uspokojenie bierze i jakby całkiem sama z dziećmi została: jeszcze by sobie co, nie daj Boże, zrobiła. Już raz przecięła przez matkę się trula!

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Dokończenie w następnym numerze.

Do pierwszego odcinka reportażu pt.: „Wycug” zakradł się przyszykły błąd. Otóż najstarsza córka Mikołajczyków, Grażyna urodziła się nie w 1983, a w 1973 roku. Za pomyłkę przepraszamy zainteresowanych oraz wszystkich Czytelników.

S. Dali w „Grandzie” czyli kłapa po łódzku

Zapowiadało się wytwornie, wieczorowo, nieco snobistycznie, krótko mówiąc — Europa... A wszystko za sprawą spółki akcyjnej HAND, firmy, która w ostatnich miesiącach była stałym tematem rozmów największych łódzkich plotkarzy i wólbów. Mnożyły się, dyskretnie sączone przez prasę, pikantne szczegóły. Sensacyjnie zgola brzmiały zapowiedzi wystawienia pod aukcyjny młotek nieznanego obrazu Juliusza Kossaka czy Salvadore Dali. Bo też firma HAND zapraszała na pierwszy raz po wojnie w Łodzi aukcję dzieł sztuki!

W wyznaczony wieczór niżej podpisany wbił się odważnie w garnitur „muchy” podczepił i udał się do Grand Hotelu. Europa powitała już w głównym hallu. Dwie blondynki w wyraźnie wieczorowym makijażu krewały się w pobliżu recepcji, takującą spojrzeniem obrzucając wszystkich bez mała mężczyzn (pozwólcie mi z FBI...), kilku smagłolichy młodzieńców rozsiadło się w fotelach, oczekując swej szansy, to znaczy — okazji, a w szatni królowały „Extra mocne z filtrem”.

Pnę się po schodach na pierwsze piętro, słysząc dobiegającą z tyłu kobiecy szept:

— Chyba rzucił trochę hajcu?...

— Wziąłem, spokojnie... — mruczy dystyngowanie on.

Rzeczywiście, w większości jest „wieczorowo”, choć gdzieś niedaleko błyska również sweter. Około setki ludzi, może nieco mniej, sporo znanych twarzy, ale dajmy spokój nazwiskom, dziś nikt nie wie kto służbowo a kto prywatnie. Jest i prasa, są chłopaki z telewizji.

Nastroj jakiś dziwny, niecodzienny, nie bardzo wiadomo, czy siadać czy raczej podziwiać wystawione dzieła. Totż obserwuję w wielu lekkie podenerwowanie, pewnie i scenarię, i towarzysztę wytwornym i cenami, które w większości wypadków, przynajmniej trzeba, zdecydowanie wyprzedzały naszą galopującą inflację. Jeszcze ostatnie rozmowy, dyskretnie powitania, parę kolejnych uśmiechów rozdawanych sobie na lewo i prawo przez prezesa spółki — Lucjana Zelera, który na dziś przybrał wyraz twarzy a la „Mona Liza” z lekką domieszką „Damy z lasiczką”. Jeszcze kilku spóźnialskich pośpiesznie zajmujących nieliczne wolne krzesła i — zaczynamy! W swiatłach „rampy” ukazują się...

Stanisław Kwaśniak, aktor Teatru Powszechnego. W kilku słowach wita zebranych, spółki akcyjnej bliżej nie przedstawia, natomiast prezentuje regulamin aukcji. Zartów nie ma: nie wolno zgłaszać cen niższych od wywoławczych, licytujący oferują cenę w języku polskim, a HAND jako komisant nie ponosi odpowiedzialności za wady i niezalety zezwolen na wywóz dzieł za granicę...

Rozpoczynamy aukcję — Kwaśniak wyciąga jeden ze swych najbardziej czarujących uśmiechów i zgrabnie deklamuje: — Na sztalugach grafiki „Marzenie sennie”, autor — Salvatore Dali, pięćdziesiąt pięć na siedemdziesiąt, cena wywoławcza — dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych...

Podnosi młotek i — nic, cisza. No, pierwsze wrażenia czasem są piorunujące. Wiele prowadzący powtarza formułkę. I nic, jak makiem posiał. Niezręczna sytuacja przedłuża się. Kwaśniak dowcipkuje: — Wciąż nie widzę, nie słyszę...

Lekka konsternacja, zerkam w kierunku prezesa Zelera, który szybko wyciągnął jak z rekawu uśmiech a la „Madonna wśród skał” i dyskretnie skłonił głowę. Prowadzący prosi o zmianę dzieła na sztalugach. Dali wędruje na zaplecze, a młodzieniec w białych rekawiczkach taszczy spory obraz zdjęty ze ściany. Kwaśniak dokonuje prezentacji:

— Stefan Krugier, olej, sto dwadzieścia na sześćdziesiąt, „Tancerki egipskie”, cena wywoławcza — dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy złotych...

Cisza. Goście w strojach wieczorowych dyskretnie popatrzą na sąsiadów, „telewizory” czynią to bez żenady, by nie

uronić tego pierwszego, który uniesie dłoń i krzyknie... Ale nikt nie nie podnosi i po chwili prowadzący rad nierał prosi o zmianę. Trzeba rozruszać publiczność, więc na sztalugi wędruje linoryt Krygiera za jedynę 80 tysięcy złotych. I też cisza?! Wiele uderzeniowo, kolejne dzieło Stefana Krygiera za równo pół miliona. I następne, „Dolina królów”, za jedynę 75 tysięcy. Wciąż cisza, żadnej reakcji, nawet nerwowych szeptów nie ma. Prezes Zeler mógłby śmiało pozować Matejce do wizerunku. Kilku bardziej rozszerzonych królów polskich. Ale tylko przez chwilę, bo znów jest to tajemnicze uśmiechnięte oblicze Mony Lizy... Chyba czas na zmianę autora...

— Erna Rozensztajn, olej, „Bardzo groźna chmura”, 1977 rok, cena wywoławcza — Kwaśniak czytelnie każde słowo, zagadkowo zawieszając głos: — dziewięćset trzydzieści tysięcy złotych...

No i nic! Bez efektu. Młodzieńcy w białych rekawiczkach krążą bez przerwy, zmieniają się techniki, zmieniają się autorzy dzieł. I nic! Publiczność jak skamieniała. Nie reaguje ani na „Pejzaż” nieznanego autora za dwieście tysięcy złotych, ani na „Temat 111”, też olej, utytułowanego Andrzeja Gierę za 1 milion 150 tysięcy złotych. Nawet „Płenka krowa” Edwarda Dwurnika za sześćdziesiąt sześć i pół tysiąca złotych przepływa bez echa.

To już chyba dwunasta pozycja. Może teraz „coś drgnie”.

— Rzeźba, autor nieznanym — Kwaśniak nieznacznie zmienia ton, sama barwa głosu chce zaciękawic, skruszyć lodowatą spokój tych wszystkich elegantów — postać osoby duchownej, dziewiętnasty wiek, cena wywoławcza — sześćdziesiąt pięć tysięcy złotych...

Cisza, nikt nie reaguje. Jeszcze sekunda i nagle gdzieś z prawej strony, spokojnie:

— Siedemdziesiąt... Wszystkie chyba głowy jak na komendę odwracają się w kierunku młodego człowieka w „wieczorowym”, ostrozielonym kombinzonie, który jakby skurczył się, przywalony odpowiedzialnością za to jedno słowo, a tymczasem Kwaśniak, radośnie:

— Siedemdziesiąt po raz pierwszy! Po raz drugi! Siedemdziesiąt po raz trzeci!!!

Nastroje poprawiają się, no, teraz pójdzcie „z górki”. Młodzieńca od razu proszą na zaplecze, pewnie bojąc się by, ochłoniawszy nieco, nie salwował się ucieczką. A prowadzący, wyraźnie radośnie:

— Oto kolejna praca, Edward Dwurnik, grafika, „Droga na wschód”, osiemdziesiąt pięć tysięcy złotych...

Znów ta przynęcająca cisza. O co tu chodzi? Wiele szybko olejny, zniszczony obraz nieznanego autora „Matka Boska karmiąca”, za jedynę pięćdziesiąt tysięcy. Cisza. Może więc dla odmiany „Śliczka” Dobkowskiego, za 600 tysięcy. Cisza. No to inny jeszcze linoryt Krygiera. Raptem 70 tysięcy. Cisza.

Stanisław Kwaśniak to do bry aktor: tylko przez ułamek sekundy zauważam na jego twarzy lekką konsternację, gdy czyta:

— Miśnia, figurka ptasieka, przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku, cena wywoławcza — dwieście sześćdziesiąt tysięcy złotych... I patrzy po twarzach wokół z rozbraniem, trochę — niedowierzaniem: no może teraz? Nie. Ani teraz, ani za chwilę. Za ptaszkim wędrują na zaplecze drzeworyty, linoryty, olejki, akwarele, a także osiemnastowieczna figurka porcelanowa i „Lwica pijąca wodę” z brązu.

Prawdziwie europejski nastrój (a może bliższy?) gdzieś odpłynął, zniknął. Wyszli już elegancyści chłopcy z kamerami, z ostatnich rzędów początkowo chłwikom, później już prawie demonstracyjnie zaczęli wymykać się kolejni goście. Choć wciąż było wesoło, bo pozostałe towarzystwo, przynajmniej w ostatnich rzędach, zachowało się jakby wiatru w żagle. Nie żeby zaraz coś kupować, ale komentarzki różne zaczęły

ły salkę przebiegać, niby dreszcz.

„Kolega Krugier z rodziną prawdziwą wyprzedził nam tu zaszerował...” — eichy chichot gdzieś z lewej pobudził towarzystwo do uśmiechu. — „Kilkanastie zielonych kresek za milion prawie! Mają czelność...” — do szczygłego szepu starszy pan dokłada jeszcze obfita gestykulacja.

A na rampie, w świetle ju-piterów, wyraźnie już skonfundowany Stanisław Kwaśniak, jakby z wyrzutem dodaje przy kolejnym dziele, iż Grzegorz Sztabiński, jako jedyny z polskich artystów umieszczony został w albumie wydanym w roku bieżącym przez UNESCO.

— No to co?... — ripostuje podchmielony młodzien z dynadającą przy kluczu „blacha”. Ow gość hotelowy zjawiał się nieczym duch, obudzony wyrażnie niedawno i niedoarty, też wyraźnie. Nikt już nikomu zaproszeń nie sprawdzał, ślad więc opodał i kolejne propozycje cenowe kwitowało przeważnie krótkim: — O jasny gwint! Zapewne miał na myśli urodę dzieła.

Chyba zbliżamy się do finału, na ścianach coraz większe pustki: jeszcze tylko kilka „krugierów” jak uśmiałem gdzieś od frontu. Prezes Zeler chmurą, niezmym Guernica, choć wężymniej nie w nastroju kręgi Skargi.

Towarzysko bardzo efektowna kłapa, prawda kochanie? — starszy pan w doskonałym skrojonym, wieczorowym garniturze z szarej flaneli podaje z uśmiechem dłoń swej towarzysze. Wychodzą, choć niezmordowany Stanisław Kwaśniak namawia, do udziału w kolejnej aukcji. Już wkrótce, za trzy tygodnie, tym razem w stolicy w siedzibie Towarzystwa im. Fryderyka Chopina, a magnesem ma być nieznanym ponoc obraz Juliusza Kossaka z atestem również sławnego syna — Wojciecha Wycienionym na 2 miliony 400 tysięcy złotych oraz relief z brązu za 10 milionów.

Biore obadwa... — kwituje zabawę gość hotelowy, ziewa malowniczo i wolnym krokiem (trzeba przyznać jako jeden z ostatnich) udaje się do bardziej przyziemnych zajęć.

Prezes Lucjan Zeler, znów uśmiechnięty, nieczym nie zrażony, wręcz przeciwnie — daje się namówić na krótką rozmowę. O spółce akcyjnej HAND nie bardzo chce jednak mówić, podobnie nie zraża, ileż to osób przybyło na bezpłatne zaproszenia firmy.

Generalnie jesteśmy zadowoleni, przecież pierwsze kroki zostały zrobione, a że ludzie jeszcze nieprzyswajają, no cóż, przez te 40 lat po wojnie wyrządzone zostały w ich umysłach takie szkody, że potrzeba nieco, nim zaczną żywiej reagować na dzieła choćby jak dziś prezentowane. Na pewno przebieg dzisiejszej aukcji nas nie zniechęci. Co więcej: nawiązać chcemy bezpośrednie kontakty z wieloma znanymi salonomi aukcyjnymi...

Jakimi? Gdzie? — No, na świecie. Propagować będziemy polską sztukę współczesną również za granicą, zapraszamy nas wkrótce do Wilna i Leningradu artystów radzieckich...

Nie przeraża pana fakt, iż z 65 dzieł wystawionych prac sprzedano jedno dzieło, o wartości, powiedzmy dyskretnie, dyskusyjnej?

Nie tylko nie przeraża, ale jak już mówiłem — jesteśmy zadowoleni. Mam wrażenie, że pierwsze lody zostały skruszone...

Mnie też się podobało, cała impreza trwała chyba godzinę, a tyle wytrzymuje w sztywnym kołnierzyku w dobrym humorze... A co sądzą inni? De gustibus...

Impreza w założeniu bardzo interesująca i potrzebna — Wojciech Walczak, wojewódzki konserwator zabytków wyjątkowo jest oszczędny w słowach. — Dobór dzieł też raczej staranny, choć rzadziej musiało chyba zbyt dobre samopoczucie wielu autorów, wyrażające się w większości cen. Imprezę zaliczyłbym do ciekawych zdarzeń natury towarzyskiej, a nie handlowej.

Też tak myślę. Tylko po co nazywać takie spotkanie szumną aukcją i dlaczego nie podano żadnych drinków?...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

PS. A gdybym miał parę „grozy”: to kupiłbym jedno tylko dzieło: akwafortę „Uroczysko” Leszka Różgi.

Kiedy nowy trafia pod celę, pytają go: — Czy grypujesz? Jeśli zaprzeczy, jest odtąd frakcjonowany jak frajer. Frajer nie jest człowiekiem. Musi dzielić się papierosami, oddawać część swoich papierosów, a mimo to ludzie nie szanują go. Nawet fest, który potrafił pobić człowieka, a potem moczyć mu głowę w kiblu, stoi w hierarchii więziennej wyżej od frajera.

Prawidłowa odpowiedź brzmi: — Ja nie wiem, co to znaczy? Wtedy pada następne pytanie: — Chcesz być w porządku? Jeśli nowy chce, zostaje pouczone: — Nie wolno kapować! Nie wolno podać ręki funkcjonariuszowi ani wziąć od niego papierosa, nie wolno podać ręki frajerowi, festowi, cwelowi.

Po tym pierwszym pouczeniu następuje bardziej mozolna nauka mająca na celu wyprowadzenie nowego na wolność bez zmian. I jest odporna na wszelkie działania resocjalizujące. Ludzie dotrą do wypuszczonego na wolność kołegi prędzej niż kurator, a frajerzy po starciu mają krzywo.

Wszyscy ludzie są równi, powinni sobie pomagać. Jeden człowiek nie może rządzić drugim człowiekiem. A najważniejsze jest to, że inni to nie ludzie!

Git-ludzie, frajerzy i cweli żyją nie tylko za murami. Stworzona w więzieniu struktura zostaje przeniesiona na wolność bez zmian. I jest odporna na wszelkie działania resocjalizujące. Ludzie dotrą do wypuszczonego na wolność kołegi prędzej niż kurator, a frajerzy po starciu mają krzywo.

Zbigniew Z. to przestępca zresocjalizowany. Termin „resocjalizacja” jest jednak w jego wypadku trochę mylący, gdyż mówi o powrocie do społeczeństwa. Zbigniew Z. nigdy do społeczeństwa nie należał, nie mógł więc do niego powrócić. Kiedy pięć lat temu po raz ostatni opuścił zakład karny, miał za sobą dwadzieścia lat izolacji. „Zwiedził” domy wychowawcze, domy poprawcze, więzienia. Nie istniał poza strukturami drugiego życia.

Z ostatniego wyroku odsiedział cztery lata. Resztę, w lipcu 1983 roku darowała mu amnestia. Sędzia penitencjarny zapytał:

— Panie Z., kiedy pan tu do nas wróci. Bo ja myślę, że za pół roku najdalej.

Zbigniew Z. dokonał jednak wtedy najważniejszego odkrycia w swoim życiu. Odkrył, że jest społeczeństwem potrzebny tak samo jak i inni, że wcale nie jest mniej wart. Nie ma więc potrzeby, by wracał do więzienia. Może być przecież wolny! Podjął pracę, dorabiał po godzinach, założył rodzinę.

— Zrobiłem zawód sędziemu — mówi z satysfakcją.

Dni płynęły, a Zbigniew Z. odnajdywał się w nowym życiu coraz bardziej. Kiedyś dokonywał przynależnych groszówkę zyski włamań, za które musiał pokutować latami. A teraz pracując na kilku etatach, mógł odkładać setki tysięcy, kupować drogi, zachodni sprzęt muzyczny. I nie musiał się bać, że w każdej chwili może to wszystko stracić, nie musiał się ukrywać. Był przecież wolny!

Wkrótce Zbigniew Z. stał się gorliwym obrońcą porządku prawnego, dużo bardziej stanowczym niż ludzie, którzy nigdy nie weszli w konflikt z prawem.

Kiedyś na przykład został na korytarzu podciągnięty przez kilka osób.

— Niech pan dalej nie idzie — ostrzegli go — Tam jest niebezpiecznie. Jakichś dwóch chce wyrzucić przez okno matkę z dzieckiem.

Natychmiast ruszył na pomoc. Po kilku minutach dwaj „podziargani” zostali oddani w ręce milicji.

Zbigniew Z. jest więc frajerem. Jak się na to wszystko zapatrują „ludzie”? Jeśli idąca ulica grupa git-ludzi spotka na drodze frajera może mu sprawić smród, czy pobić. Zbigniewa Z. jednak raczej nie zaczepiano. Pamiętano go przecież jeszcze z czasów, kiedy był przestępcą. Nie bał się waleczyć, przeciwko kilku naraz. I potrafił chwycić za nóż. Tak. Zbigniewa Z. lepiej było omijać z daleka.

A co Zbigniew Z. myśli o „ludziach”?

— Większość więźniów ma słabą psychikę — mówi — Potrzeba im kogoś kto by ich wsparł. Chcieliby komuś imponować. Nie mają czym, to imponują kradzieżą, rozbojem. Jeśli ktoś podał im rękę, nie popielaliby przestępstwa.

W 1983 r. Zbigniew Z. spotkał swojego przyjaciela Jerzego L., który właśnie opuścił zakład karny po odsiedzeniu pięciu lat za rozboj.

Znali się i przyjaźnili już od wielu lat. W ciężkich chwilach jeden na drugiego mógł zawsze liczyć.

Kiedyś Zbigniew Z. zapukał w noy do drzwi Jerzyka. Uciekał przed milicją. Była zima, a on miał na sobie tylko koszulę. Wtedy Jerzyk dał mu swoją kurtkę i pomógł się ukryć.

Sposobność do rewantu nadarzyła się po kilku latach. Jerzyk wdał się w pechowy w bójkę. Przewrócono go i zaczęto kopać. W ostatniej chwili nadbiegł Zbigniew i przepędził napastników.

Jerzyk ma na ręce wytatuowaną „piątkę”. Jego pierwszą żoną była kieszonkowcem i stał ten znak. Jest doświadczonym git-człowiekiem.

— Najtrudniejsze są chwile tuż po wyjściu z kryminału — mówi — trzeba całe życie zaczynać jeszcze raz. Wszystko od początku.

Wtedy, w 1983 r., spotkał Zbigniewa. — Co ci to da? — tłumaczył Zbigniew. — Do czego ty dążysz? Trzeba skończyć z przestępstwem. Mieć jakiś cel w życiu.

Zbigniew Z. zaprowadził przyjaciela do swojego domu. Chwalił się pieniędzmi, które zarabiał, pokazywał zwitki banknotów.

— Uciekciecie zarobione — mówił — Tego mi nikt nie może zabrać. To jest tylko moje i nie czyje więcej. Uciekciecie życie bardziej się opłaca finansowo, niż przestępstwo.

Dał Jerzykowi klucz od mieszkania. — Możesz przychodzić, kiedy będziesz chciał. Postarał się też o zorganizowanie przyjacieli w życiu po tej stronie muru. Chodzili razem malować i tapetować mieszkania.

Człowiek, który opuścił zakład karny, na początku nie potrafił się odnaleźć na wolności. Nie wytrzymał długo w zamkniętym pomieszczeniu. Jeśli już jest w domu, to spędza czas na chodzeniu od ściany do ściany. W głowie ma pustkę. Towarzystwo stanowią kumple z więzienia. Tematem rozmów jest więzienie. O więzieniu można mówić całymi godzinami. A mówi się w grypserze. Wyrabac — to znaczy dokonać włamania. Zrobić kwadrat — to już jest poważne włamanie, na przykład do willi. Rozpoczynają się duże bajery. To znaczy przechwałki. Kto zrobił większy kwadrat. Kto miał więcej dziwek. Trzeba się też oduczyć z lata seksualnej abstynencji. No i nie może się obejść bez wódki. Kiedyś brakowało pieniędzy sięga się po wynalazki, to znaczy autowidol i inne tego typu specyfiki, albo... Albo idzie się zrobić jakiś kwadrat. Potem jest kolejny wyrok. I znów trzeba wszystko zaczynać od początku.

Zbigniew Z. uważa, że w eks-więźniach należy koniecznie rozbudzić jakieś zainteresowania. Muszą zająć się czymś, co pozwoli im zapomnieć o latach spędzonych w „puszce”. Muszą też zrozumieć, że mają dla kogo żyć na wolności, że komuś są tutaj potrzebni.

Gosia, żona Zbigniewa, próbowała zainteresować Jerzyka czytaniem książek. Sama jest wielbiczką Kraszewskiego. Niestety, po jakimś

Byłemu przestępcy niełatwo żyć na wolności

Ludzie i frajer

MAREK BŁASZKOWSKI



Rys. Janusz Szymański-Glanc

czasie okazało się, że Jerzyk nie zostanie fanem tego typu literatury. Więc może znaczki? Miała dwa klasy. Jeden z polskimi znaczkami, drugi z zagranicznymi. Oba dużej wartości. Jerzyk obejrzał znaczki, ale filatelista nie został.

Dla Zbigniewa Z. przełomowym momentem w życiu było poznanie Gosi, a potem małżeństwo. Miłość buduje, przemienia psychikę. Dla tego starał się jak mógł, ułatwić Jerzykowi poznanie kobiety życia. Kiedy rodzina Z. wyjeżdżała, Jerzyk całkowicie dysponował ich mieszkaniem. Chodził nawet jakiś czas z koleżanką Gosi. Niestety, nikt z tego związku nie wyszło.

Trzeba przyznać, że postępowanie Zbigniewa na początku zaimponowało Jerzykowi.

— To obrotny chłopak — mówi o nim do dziś.

Zorientował się jednak, że Z. nie cieszy się szacunkiem okolicznych git-ludzi. Miał mu za złe neoficką nadgorliwość. Pewnego razu i Jerzyk mógł na własne oczy zobaczyć, jak teraz postępuje Zbigniew Z. Szli wtedy ulicą Broniewskiego. W pewnej chwili zauważyli, że trzech facetów okłada pięściami chłopaka. Zbigniew interweniował natychmiast. Zdążył uderzyć tylko jednego z tych trzech. Pozostali dwaj uciekli.

Doszło już do tego, że kiedy Z. był świadkiem rabunku, nie musiał nawet aktywnie występować w obronie napadniętego. Wystarczyło, że podchodził i pytał:

— Co się dzieje?

Samo takie pytanie płoszyło napastników.

Czy takiego frajera można lubić?

Zbigniew Z. niewiele sobie robił z opinii. Trochę bolało, że mówili o nim frajer, ale wiedział, że jest bardzo silny i poradzi sobie nawet z czterema naraz.

Jerzyk pozostawał pod wpływem Zbigniewa. Do czasu jednak. Zakochał się, a potem ożenił. Ten krok, który Zbigniewowi pomógł odnaleźć się w normalnym życiu dla Jerzyka okazał się pechowy. Małżeństwo nie ułożyło się.

— Zła dziewczyna nie jest — mówi o swojej żonie — tylko w złe towarzystwo wpadła. Robiła w MPK za kontrolera. Codziennie przychodziła nagrzana. Wiedziała w ten wir.

Nieudane małżeństwo załamało Jerzyka.

— Ja już taki jestem, małżeństwo mi się nie uda, czy coś innego, wpadłem w ciąg. Gorzała. Kryminał.

Zaczął od gorzały. Coraz częściej pił z kumplem żony — Tadeuszem P. Ten git-człowiek naprawdę zaimponował Jerzykowi. Umiął bajerować, był pewny siebie, grypsował. Dużo mówił o więzieniu.

— Co to dla mnie więzienie! Mogłbym całe życie siedzieć.

Opowiadał o dotychczasowych wyrokach za gwałt, za rozboj.

Na początku Zbigniew Z. uznał, że Tadeusz P. jest jeszcze jedną osobą potrzebującą jego pomocy. Pomógł mu załatwić mieszkanie, znalazł pracę. Później spostrzegł jednak, że Tadeusz P. niweluje jego wpływ na Jerzyka, że psuje całą robotę.

— Nie możesz się z nim więcej spotykać — powiedział przyjacielowi — on ma na ciebie zły wpływ.

Odtąd Jerzyk ukrywał przed Zbigniewem Z. swoje spotkania z Tadeuszem P.

I coraz bardziej przedkładał towarzystwo „człowieka” nad towarzystwo „frajera”.

W październiku ubiegłego roku Gosia zabrała dzieci i pojechała z nimi na wieś. Zbigniew Z. został sam na gospodarstwie.

Pewnego dnia wrócił wieczorem do domu i zobaczył, że na wycieraczce pod drzwiami spi kompletnie pijany Jerzyk. Wyglądało na to, że przyszedł z towarzyską wizytą, ale zastał drzwi zamknięte i już nie miał siły pójść gdzie indziej. Zbigniew Z. wciągnął nieprzytomnego przyjaciela do mieszkania, wykąpał go i położył do łóżka.

Rano, gdy tylko Jerzyk się obudził, usłyszał umoralniającą pogadankę.

— Przeszła się zadawać z tym P., skończ z chłaniem. Ja nie chłam, pracuję. Żona, praca mnie nie hańbi. Mam forszę. Zobacz, kupiłem magnetofon „Sony”.

Jerzyk kolejny raz zobaczył zwitki banknotów, znów usłyszał, że uczciwie można zarobić więcej niż przestępstwem.

— Pozwól mi zostać u ciebie — poprosił. — Muszę się wypaść. Przyjdiesz z pracy, to mnie obudzisz.

— Nie ma mowy. Masz iść do roboty, a nie spać.

Wyszli razem do pracy. Z tym, że Jerzyk tam nie dotarł. Poszedł do mieszkającego po sąsiedzku Tadeusza P.

U P. już od samego rana piło towarzystwo złożone z kilkunastu git-ludzi. Jerzyk nie bardzo miał siłę na kolejną libację. Postanowił odespać poprzedni dzień.

Obudzili go podniesione głosy.

— Trzeba rąbnąć wreszcie tego Z. — krzyczał ktoś — przecież to frajer!

— Ma forszę — poparli krzyżującego inni — sam się chwali.

— Może lepiej kogoś innego — nieśmiało zaproponował Jerzyk. Ale w odpowiedzi usłyszał tylko:

— Siedź cicho!

— Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego — przewrócił się na drugi bok — róbcie, co chcecie.

Jeden z „ludzi” pracował na budowie. Szybko przyniósł liny. Postanowiono zejść po linie z dachu na balkon, wybić szybę i w ten sposób dostać się do mieszkania Z.

— Czy mogłem ich jakoś powstrzymać? — zastanawia się dzisiaj Jerzyk — chyba mogłem. Ale jak bym wtedy wyglądał w oczach tamtych?

Kierownictwo akcji przejął „człowiek” o imieniu Darek. To on spłądował mieszkanie. Szukał złota, dolarów i tych zwitków banknotów, którymi tak często chwalił się Z., namawiając znajomych do uczciwej pracy. Gotówki nie znalazł. Lupem „ludzi” padły tylko klasy i „Sony”. Nie licząc takich drobiazgów jak kryształ czy radio „Śnieżnik”. W ten sposób oprócz celu doraźnego w postaci zdobycia pieniędzy na alkohol, osiągnięto też w stosunku do Z. cel wychowawczy. Udowodniono mu, że dobra zdobycie uczciwą pracą też można stracić. I że przestępstwem zdobywa się w jeden dzień to, co inni gromadzą latami.

Później okazało się, że cała akcja pod względem wychowawczym fatalnie zawiodła. Mieszkanie Zbigniewa Z. było ubezpieczone! Zaś pieniądze i biżuteria żony Z. rzeczywiście tam się znajdowały, lecz schowane na tyle przemysłnie, że pijany włamywacz nie mógł ich znaleźć.

Jerzy L. nie chciał okazać się tchórzem, nie mógł pokazać to sobie, że jest miękki. Wziął udział we włamaniu. Odegrał jednak rolę drugoplanową. Stał na lipku. Zresztą w ogóle było to dziwne włamanie. Rabował jeden, a przyglądało się jedenastu!

— Tam była prawie cała ulica! — mówi Jerzyk — nikt nie lubił Z. Po włamaniu wróciliśmy do mieszkania Tadeusza P. Ja patrzę, sekundę pięć, a wszyscy się zmyli. Zostaliśmy sa-

mi z Tadeuszem. Tego klasyra i „Sony” to ja właściwie nawet na oczy nie zobaczyłem!

Kiedy Z. wrócił z pracy i zobaczył, że mieszkanie jest spłądowane, natychmiast wezwał milicję. Milicjant pisał protokół, a Z. chodząc nerwowo po pokoju i palił papierosa.

W tym czasie Jerzy L. i Tadeusz P. zdążyli nieco otrzeźwieć. A jak otrzeźwieli, to ruszyło ich sumienie.

— Ja tam wcale nie chciałem iść — mówi Jerzyk — głupio wyszło. Ja przecież wiedziałem, gdzie są schowane pieniądze. Ale nie powiedziałem im.

— Nie wiedział, gdzie są pieniądze — mówi Zbigniew Z. — dopiero potem powiedziałem mu, gdzie były schowane. Dobrze, że Jerzyk już nie miał klucza do mojego mieszkania.

Jerzy L. i Tadeusz P. postanowili pójść do Z., przeprosić, może załatwić sprawę jakoś polubownie? Niestety, realizując ten szlachetny zamiar weszli prosto na spisującego protokół milicjanta. I nie potrafili odpowiedzieć na jedno, proste pytanie:

— Skąd panowie wiedzieli, że do Zbigniewa Z. było włamanie?

Na miejscu zostali skuci i odprowadzeni na komisariat.

W trakcie dochodzenia Jerzy L. wziął całą winę na siebie.

— Mnie i tak było wszystko jedno — mówi — ja byłem recydywistą. Co by mi pomogło, gdybym zaczął kapować? Wyrok ten sam.

Zbigniewowi Z. zrobiło się żal przyjaciela. Był gotów jakoś załatwić sprawę, wybaczyć. Niestety, machina wymiaru sprawiedliwości już została puszczona w ruch. W tej sytuacji prosił, żeby chociaż zwolniono Jerzego L. z aresztu.

— Zwolniono go dzięki moim prośbom — mówi.

— Nieprawda — komentuje Jerzyk. — Zwolniono mnie, żeby trafić na ślad reszty. W ten sposób milicja chciała się dowiedzieć, kto jeszcze brał udział we włamaniu.

Bez względu na to jak było, zwolnienie z aresztu nie wyszło Jerzemu L. na zdrowie. Uznał, że nie ma już właściwie nic do stracenia i zaczął dokonywać kolejnych włamań.

W tej sytuacji Zbigniew Z. postanowił się zabawić w Sherlocka Holmesa. Sam wytropił Jerzyka i doprowadził do jego ujęcia.

— Prosiła mnie matka Jerzyka — tłumaczy — bała się, że w końcu dokona on jakiegoś naprawdę poważnego przestępstwa.

— To trochę boli, że złapał mnie akurat on — mówi Jerzyk — ale nie mam żalu.

Na rozprawie sądowej przeciwko dwóm włamywaczom Zbigniew Z. pełnił rolę oskarżyciela posiłkowego.

— Wywiał się z tej roli znakomicie — oceniają zawodowi prawnicy — zadawał bardzo rozsądne i wyważone pytania.

Natomiast oskarżenia Jerzy L. i Tadeusz P. głośno protestowali.

— Jak to?! On ma być oskarżycielem? A w czym on jest od nas lepszy? Przecież to były przestępcy!

— To prawda — mówi Zbigniew Z. — Byłem przestępcą. I za swoje czyny byłem karany surowo. Bez skrupułów. Ktoś by powiedział, że były przestępcy jest już do niczego, że nie do brego z niego nie będzie. Zwłaszcza z takiego przestępcy jak ja, z recydywisty. To nieprawda. Podjąłem się roli oskarżyciela posiłkowego, żeby im pokazać, że istnieje jeszcze inne życie. Były recydywista może usiąść obok prokuratora i domagać się kary. Jest pełnoprawnym członkiem społeczeństwa!

Recydywista Jerzy L. otrzymał surowy wyrok — 4 lata pozbawienia wolności. Tadeusza P. skazano na 2 lata.

Wypada opowiedzieć jakie były dalsze losy bohaterów.

„Frajer”, Zbigniew Z. właśnie kupił większe mieszkanie. Niedługo się przeprowadzi. W lecie tego roku był pierwszy raz za granicą. Jest dumny z tego powodu. Marzy o otworzeniu jakiegoś prywatnego warsztatu. Poza tym jest udziałowcem Fundacji Na Rzecz Pomocy Ofiarom Przestępstw.

— Nie zamierzam zrywać przyjaźni z Jerzykiem — mówi — to przecież dobry chłopak, tylko za bardzo ulega wpływom. Chętnie mu pomogę, jak wyjdzie z więzienia.

„Człowiek”, Jerzy L., może liczyć na warunkowe zwolnienie najwcześniej w czerwcu 1990 roku.

— Znowu trzeba będzie zaczynać od początku — mówi. — Ale tym razem już fajerant. Nie wróce do przestępstwa. Będzie pracował na budowie, brych więźniów tylko tam przyjmują. Jeśli Zbyszek nie ma do mnie żalu o to włamanie, to niech napisze. Posłałem do niego list, ale mi nie odpowiedział. I proszę mu koniecznie powiedzieć, że z Tadeuszem P. już się nie spotkam. To bajeran. Chwalił się, że miał ciężkie wyroki, a tak naprawdę siedział tylko raz za jakiś drobiazg. I zaraz go wypuścili. Bo była amnestia.

Prawie miesiąc temu obchodził pan dziewięćdziesiątą trzecią rocznicę urodzin oraz spóźniony nieco jubileusz sześćdziesięciopięcioletnia pracy twórczej.

— Urodziłem się 19 września, roku 1895, we Lwowie. W roku 1914 we lwowskim gimnazjum zdałem maturę, razem z Janem Paradowskim. Paradowski zdał maturę celując, ja zdałem ledwie z dostatecznym stopniem. Już od ósmej klasy chodziłem do Ossolineum dwa razy w tygodniu na darmową praktykę, z czystej miłości do książki. Opiekował się mną prof. Ludwik Bernacki.

— Spotkał pan w swoim długim życiu wielu sławnych ludzi.

— Znałem tysiące wybitnych, znakomych ludzi. Z wieloma się przyjaźniłem. Wszyscy są mi bliscy, chociaż wymarła już cała moja generacja. Znałem wszystkich pisarzy Młodej Polski, wszystkich poetów Skamandra (te formacje w polskiej poezji cenię najwyższej), z wszystkimi byłem w przyjacielskich stosunkach. Pamiętam doskonale Gabriellę Zapolską. Któregoś dnia Karol Jasiński, kierownik drukarni Ossolineum wysłał mnie do niej z korektą jej powieści „Córka Tuśki”. To była genialna kobieta. Nie była piękna, ale niesłychanie zgrabna, o twarzy bardzo charakterystycznej. Pisarka znakomita! W roku bodaj 1911 poznałem w Ossolineum Kornela Makuszyńskiego. Pomagałem mu robić korektę jego dwóch tomów recenzji teatralnych. Często zapraszał mnie do swojego domu albo po drodze na pierogi ruskie do „Cioci Funi” (był amatorem specjalistą od ruskich pierogów). Darzył mnie serdeczną przy-

jem dyrektorem drukarni akademickiej w Koszarach Błoha oraz naczelnym dyrektorem Spółki Akcyjnej „IGNIS”, która wydawała wszystkie książki Skamandrytów. Kilka lat później w Lipsku redagowałem Bibliotekę Laureatów Nagrody Nobla, Bibliotekę Autorów Polskich, Cuda Polskie oraz Bibliotekę najsłynniejszych powieści kryminalnych.

— Jak długo trwał wtedy cykl wydawniczy.

— Pan żartuje, „cykle wydawnicze” wymyślono dużo później. Kiedy w roku 1920 zostałem zamianowany kierownikiem literacko-wydawniczym w Wydawnictwie Polskim Rudolfa Węgnera, w Poznaniu, ul. Zwierzyniecka 5, to miesięcznie wydawaliśmy 30–35 książek. Miałem do pomocy osiem albo dziesięć osób.

— Po wojnie pracował pan w „Czytelniku”.

— Najpierw, w roku 1945 zostałem zamianowany dyrektorem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych. Pojechałem do Szczecina z poleceniem zorganizowania wielkiej drukarni na całe Wybrzeże. Nic nie wyszło z tego projektu. Potem w „Czytelniku”. To Julian Tuwim polecił mi Jerzemu Borejszy. Byłem zastępcą naczelnego redaktora redakcji Wydawnictw Książkowych. Redaktorem naczelnym był prof. Jan Muszkowski. Redakcja broszury o Bolesławie Bierucie i wydanie jej w nakładzie 200.000 egzemplarzy, to pierwsza moja praca w tej oficynie. Kiedy „Czytelnik” przeniósł się do Warszawy, zostałem w Łodzi.

Najpierw zorganizowałem Polską Agencję Wydawniczą, potem założyłem Spółdzielnię Wydawnictw Artystycznych „Poziom”. Te wydawnictwa miały pewne osiągnięcia.

— Ile ma pan własnych książek?

Zapisz w pamięci

Znałem tysiące wybitnych ludzi

Rozmowa z KAZIMIERZEM PASZKOWSKIM — pisarzem, bibliotekarzem, wydawcą.



Foto: Grzegorz Gałasiński

jażnią do końca życia. Po latach w Warszawie, w „Bibliotece Saffony”, wydałem dwie jego książki z moimi przedmowami.

Z Kazimierzem Tetmajerem przez cały rok jadaliśmy częste obiady. Było to z mojej strony pewnego rodzaju poświęcenie. Tetmajer cierpiał na manię prześladowczą. Wydawało mu się, że Tadeusz Boy-Zeleński jego krewny i Włodzimierz Tetmajer jego brat przyniósł spiegiągają go i chcą mu wsadzić nóż w plecy albo w restauracji wlać do zupy truciznę.

Tadeusz Boy-Zeleński w roku 1922 zwrócił się do mnie z prośbą, abym objął jego Wydawnictwo, bo on wchodzi własnym kosztem „Bibliotekę Boya”, znalazł się na granicy bankructwa. W roku 1918 trwała jeszcze wojna, zacząłem pracować w księgarni „Gebethnera i Wolfa”, jako kierownik działu zagranicznego, znałem nieledwie dwa, trzy języki. Polecił mi tam księgarz lwowski, z którym służyłem w Legionach, Gustaw Szyling. W sutenerze pałacu księżna Potockiego przyjmowałem codziennie zaplombowane worki z prasą zagraniczną. Przychodził tam Władysław Reymont po dzienniki i tygodniki.

Znałem Stanisława Przybyszewskiego. Kosztowała mnie ta znajomość kilka tysięcy franków szwajcarskich, ale proszę nie pytać o szczegóły. Znałem jego córkę Stanisławę Przybyszewską...

Z Józefem Beckiem ukończyliśmy w Wiedniu w roku 1915 szkołę artystyczną, przeszliśmy razem cały kurs rekrutacji. O prośbie spojrzeć na tę fotografię, tu ja, a tu Józef Beck, trzyma w dłoni szcztokę do czyszczenia koni. Ludzie mi najbliżsi to Jan Paradowski, Józef Witlin, światowej sławy profesor Roman Ingarden i Melchior Wańkowicz.

Wańkowicza poznałem także w księgarni Gebethnera i Wolfa, jesienią roku 1918. Melchior był ode mnie o trzy lata starszy, blondyn o niebieskich oczach, silnie zbudowany, zadziorny. Pracował wówczas jako referent prasowy MSW. Planowaliśmy założyć wspólnie księgarnię wydawniczą. Przyjaźnił się do końca jego życia. Jeszcze na dwa dni przed śmiercią przysłał mi telegraficzne zaproszenie na „czwartkowy” obiad do siebie do Warszawy. Leżałem wtedy w łóżku z grypy. Nazajutrz wieczorem żona przyniosła mi wiadomość o śmierci Melchiora. Zmarł po kilkunastogodzinnej pobycie w szpitalu na zapalenie płuc. To ja mu gotować poleciłem na sekretarkę Aleksandrę Ziolkowską, która teraz pisząc przeróżne wspomnienia o Wańkowiczu, ani razu, ani słowem nie wspominała o mnie. Ale to nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

— Był pan też wydawcą.

— W roku 1925 byłem udziałowcem firmy wydawniczej na ul. Kruczej 42, u Edwarda Hulewicza (razem tę firmę założyliśmy). By-

— Wydałem do tej pory 26 książek. Dwie-tętnastę w latach międzywojennych (pierwsze dwie własnym sumptem), po wojnie tylko dwie. Na kilkanaście, w tym kilka tłumaczeń, nie znalazłem wydawcy. Ostatnia moja książka, nad którą jeszcze pracuję nazywa się „Gwiazdy i meteory kultury i literatury polskiej w moich wspomnieniach, lata 1905–1985”. Praca ma ponad tysiąc stron, przedstawiam w niej tysiące postaci historycznych. Wiele mam z tą robotą trudności, od kilkunastu lat nie piszę na maszynie, mam bardzo słaby wzrok, a trudno dzisiaj o rzetelną sekretarkę. A ponadto kto zechce wydać tę książkę?

— Jedną z pańskich broszur znajduje się w zbiorach specjalnych Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi. Nazywa się to „Krzyk Legionistów”. Jakże były jej losy?

— Byłem jednym z pięciu, obok Walerego Ślawka, organizatorów Związku Legionistów. Czcilem Józefa Piłsudskiego jako narodowego bohatera, ale miałem mu za złe, że otoczył się kliką... Broszura „Krzyk Legionistów” ukazała się w nakładzie 2000, i od razu została skonfiskowana. Jerzy Jędrzejewicz, pracownik Komisarjatu Rządu, cenzor, kazał ją symbolicznie spalić na podwórzu drukarni. Dzięki znajomości z właścicielem drukarni udało mi się ocalić 500 egzemplarzy, trzysta bodaj zaniosłem do Sejmu do generała Bolesława Roja, u niego służyłem w Legionach w czwartym Batalionie (front w Karpatach Wschodnich). Bolesław Roja był piłsudczykiem, ale był w opozycji w stosunku do sanacji. Zabrał część ocalałych książek na Jazdę Legionistów do Radomia. Legioniści grozili mi śmiercią. Legionowy szowinista pułkownik Rusin rozgłaszał, że jak zobaczy Paszkowskiego na ulicy, to go na miejscu zastrzeli.

— Jaki jest pański stosunek do polskiej literatury współczesnej?

— Z polską literaturą straciłem kontakt kilkanaście lat temu.

— Czy dla pana jest wiek dziewiętnasty i jak z perspektywy długiego życia ocenia pan mijający wiek dwudziesty?

— Wiek dziewiętnasty do wybuchu pierwszej wojny światowej to był złoty wiek Europy. O tym złotym wieku Europy pisał słynny włoski historyk G. Ferraro w swoim dziele „Przemowa do głuchych”. Jest to głębokie studium o istocie demokracji.

Z wojny wyszedłem z okaleczoną ciężko nogą. W czasie wojny spalił mój księgozbiór, moje prace, ponad siedemdziesiąt obrazów muzealnej wartości, malarze Młodej Polski, impresjoniści.

Przez kilka lat nie mogłem dostać w Łodzi mieszkania... Poza tym mnie, człowieka wychowanemu na pewnych wzorcach moralnych trudno było pogodzić się z nowym porządkiem, z nową formą demokracji. Demokracja może być trysną, wszyscy powtarzali słowo „demokracja”, a wokół rozrastała się bzdura, niesprawiedliwość i nonsens. Słowem — uważam, że mogłem dużo, dużo więcej zrobić dla polskiej książki niż zrobiłem, ogromnie dużo zmarnowało się mojej wiedzy, doświadczenia, rzetelnych umiejętności i zapału.

— Muszę pana zapytać o tajemnicę długowieczności.

— Nie posiadam żadnej tajemnicy. Cała filozofia polega na miłości życia. Kochałem wszystkich, co żyło. Starłem się każda, nawet najgorszą sytuację przeżyć godnie, zachować równowagę duchową. Tylko miłość może ludzkość zbawić, miłość, zgoda i harmonia, bez tego nie z człowieczeństwa nie zostanie. Nie jest to mój nazbyt odkrywczy, ale jestem człowiekiem już niemal wiekowym, więc powtarzam odwieczną mądrość.

— Serdecznie dziękuję panu za rozmowę. Życzę panu jeszcze długich lat twórczego życia w dobrym zdrowiu. I chciałem umówić się z panem na następną rozmowę za siedem lat.

Rozmawiał:

JÓZEF STANISŁAW KMECIAK

Kraków o szóstej rano i później

ze str. 1

A ja ciągle pamiętam, że muszę koniecznie porozmawiać z ciekawymi ludźmi, muszę dla „Odgłosów” przeprowadzić rozmowę z kimś, czyje nazwisko jest znane nie tylko w kraju, lecz i daleko poza jego granicami. Poteż kilkakrotnie wykręcałem numer telefonu profesora Mariana Koniecznego, najsłynniejszego dziś rzeźbiarza i twórcy pomników. W słuchawce każdorazowo odzywa się przytłumione buczenie oddalonego sygnału.

Tymczasem w Muzeum Historii Fotografii zjawia się starszy, lisy pan o postawie kawalerzysty. Dyrektor Andrzej Panasiiewicz przedstawia nas sobie:

— Panie redaktorze to doktor Julian Fajfara, człowiek, dla którego Kraków nie ma tajemnic.

— Znakomicie — atakuję natychmiast. — Czy może mi pan pokazać zabytki, które niedawno zostały odkryte, a o których prasa jeszcze nie pisała?

Panowie patrzą na siebie ze zdziwieniem i zaskoczeniem, potem na mnie, znów na siebie.

— Szybki pan jesteś — mówi dyrektor Panasiiewicz ni to z uznaniem, ni to z naganą — Jestem dziennikarzem.

— Ale tak od razu...

— Po co odkładać do jutra? Pan doktor zapewne ma wiele interesujących spostrzeżeń, a pan, o ile się orientuje, ma klucz do piwnic, których odkrycie jest sensacją, a ich wykorystanie w najbliższych miesiącach stanie się rewelacją dla Krakowa... — Biegnij bez czelnie, bo coś tam istotnie słyszałem o piwnicach w dawnej mennicy królewskiej, ale na zasadzie, że dzwonili, tylko nie wiem gdzie.

— No, skoro pan już wie... — rozkłada ręce dyrektor, a dr Fajfara nagle mówi, że ma czas i bardzo chętnie wszystko mi pokaże i wyjaśni.

Wychodzimy na Rynek Główny, w obezwładniające słońce. Właśnie strażak trąbi hejnał i tysiące ludzi tkwi z zardziotkami do góry głowami. Parę dni przed moim przyjazdem do Krakowa, kiedy usłowałem położyć płyty chodnika na stronie południowej Rynku Głównego, odkryto późnogotycki portal z XIV wieku. Wejście do piwnic od rynku należy do rzadkości, w ogóle wejście do piwnic od ulicy to ewenement. Może nawet w skali Europy.

Schodzimy po stromych schodach. Po nie piwnice, to niemal podziemne salony zajmujące tysiące metrów kwadratowych, wchodzące aż pod Rynek. W ścianach — fragmenty murów z początku XIII w., grand appareil czyli wielka warstwa typowa dla budownictwa trzynastowiecznego z kamienia wapiennego (wapien jurajski), z typowymi bułami krzemienistymi. Na tych schodkach w późniejszych wiekach wzniesiono inne mury. W jednym z przejść do późnogotyckiego portalu włączono fragment renesansowego i XVII-wiecznego obramowania okiennego z typową dekoracją ornamentałą. Piwnice zostały stałanniej odrestaurowane i wkrótce — jak powiada dyrektor Andrzej Panasiiewicz — ożyją.

Przed wszystkim znajdują tu miejsce sale ekspozycyjne Muzeum Historii Fotografii, sala konferencyjna, klub-kawiarnia. Tak więc życie kulturalne w starym grodzie Krakowa po małym zaczyna schodzić pod ziemię. Ma to swój smak i urok. Istniejąca zabudowa — a każdy budynek wokół Rynku Głównego posiada metrykę starszą niż niejedno miasto w Polsce — została dokładnie i bez reszty wykorzystana i zagospodarowana. (Dla przypomnienia: UNESCO sporządziło rejestr najstarszych i najpiękniejszych zabytków kultury na świecie. Do rejestru trafiło 12 obiektów. Wawel znalazł się wśród ośmiu najpiękniejszych królewskich rezydencji świata. Tym samym Kraków stał się prawdziwą perłą w koronie PRL).

Wracając do kamienicy nr 17 na Rynku Głównym: kiedy budynek zaczęto przysposabiać do potrzeb Muzeum Historii Fotografii odkryto sporo ciekawych architektonicznych rzeczy. Oto natrafiono na oryginalny portal z XIV w. wraz z drzwiami obitymi blachą, z dwoma żelaznymi pasami i



Foto: Adam Wojnar

guzami oraz z dwoma zamkami: jednym wielkim, żeby nie powiedziałem ogromnym, drugim tajnym. Były to drzwi wiodące do mennicy królewskiej. Zarządcą mennicy był w owych latach Piotr Borek (dziś na Wawelu można zobaczyć fundamenty domu Borka, a pozostałe szczątki w sąsiedztwie kościołów św. Michała i św. Jerzego zburzonych przez Austriaków w połowie XIX w., kiedy to zamek wawelski przeznaczono na koszarę dla wojska. Wtedy właśnie zburzono miasteczko wawelskie — 250 budynków m.in. wspomniane kościoły i dom Piotra Borka — gdyż był potrzebny plac do ćwiczeń dla wojska). Budynek nr 17 na Rynku Głównym to dawna Stara Mennica względnie Kamienica Hetmańska. Dlaczego hetmańska? Bo w XVII wieku należała do hetmana Jana Klemensa Branickiego herbu Gryf ożenionego z córką hetmana Stefana Czarnieckiego. Ale dopiero wnuk Branickiego, także Jan Klemens, nazwał ją Hetmańską. Przed Branickimi jej właścicielem był potężny ród (równy Medyceuszom) książąt włoskich Sodeini, którzy popierali kandydaturę Henryka Walezy na tron Polski. A w czasach nam bliskich, godzi się wspomnieć, mieszkał i umarł w tej historycznej kamienicy pierwszy prezydent miasta Krakowa dr Józef Dietl.

W Kamienicy Hetmańskiej (wejście z salonu „Venus”) jest także sala po byłej „Desie”, w której trwały prace konserwatorskie. Otoż odkryto tam ni mniej ni więcej tylko wspaniałe polichromie gotyckie. Sama sala posiada najbogatszy zbiór zworników gotyckich sklepiennych z drugiej połowy XIV wieku. Jest ich 12, wykonanych przez Konrada, syna Alpodryka, ulubionego rzeźbiarza Kazimierza Wielkiego. Zworniki są heraldyczne i symboliczne. M.in. wirujące trzy głowy męskie związane ze sobą splecionymi bród, suka karmiąca szczeniętami... A tuż obok, na innym zworniku, portret Kazimierza Wielkiego jednocześnie będący herbem Ziemi Dobrzyńskiej. Inny zwornik przedstawia Elbietę Łokietkówną uwaną też za Adelaide, jedną z żon Kazimierza Wielkiego, w typowym kruczerze, która była matką Ludwika Węgierskiego.

Dla uzupełnienia mojej wiedzy o rewaloryzację odwiedziłem sekretarza Komisji Programowania i Realizacji Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa Antoniego Ruska. Rozmawiamy długo, z czego powstaje tekst dla naszej stałej rubryki pt. „Rozmowy z ciekawymi ludźmi”. Tu jedynie odnotowuję sprawy najistotniejsze: nikt nie wie kiedy waloryzacja tego pięknego miasta zostanie dokończona, a sądząc ze stanu prac i stanu zabytków — w tym stuleciu na pewno nie. Może dokończy zaczęte dzieło dzieci, ale na pewno nie, ale potrzeby wcale nie maleją. Odnowione parę lat temu budynki już wymagają kolejnej odnowy. Nie można zapomnieć, że tuż obok znajduje się Nowa Huta, że pyły ze Śląska nadal zatruwają powietrze nad Krakowem. Krakowianie pytają: skoro pyły, kwaśne deszcze, zważki chemiczne w powietrzu niszczą najbardziej kamień, to co dzieje się pod ich wpływem z ludźmi? Miasto jest światowym dziedzictwem kultury, jest dumą i chlubą narodową, więc może by UNESCO także i mieszkańców grodu Krakowa wpisało do swoich annałów polecając ich szczególniej pieczy i ochronie?

Po południu z Antonim Rus-

kiem czekamy na postój taksówek. Udało mi się bowiem porozumieć z profesorem Marianem Koniecznym, który zgodził się udzielić wywiadu dla „Odgłosów”. (Wywiad ten ukazał się w numerze 37 naszego pisma). Mieszka profesor na ulicy Ukrytej 29 i trafić tam, szczególnie obcemu w mieście, nie jest łatwo.

»SCENKA III«

Na postoju taksówek grupka mężczyzn. Podjeżdża taksówka, kierowca wychyla się przez okienko i pyta:

— Julego?

Nie rozumiem, więc zwracam się do pana Ruska:

— Czego on chce?

— Skoro nie Julego — mówi taksówkarz — to mi nie po drodze.

— Julego — wyjaśnia mi pan Rusek — to obcokrajowiec z drugiego obszaru płatniczego. A my z państwem tutejsi, czyli gołnina, dla nas on nie będzie nawet drzwi otwierał.

— To co — pytam — nie pojedzie?

— Owszem, ale moim samochodem, choć benzyny mam na lekarstwo.

Ulica Ukryta rzeczywiście jest ukryta na obrzeżu Krakowa trochę błądziśmy. Dom słynnego rzeźbiarza robi wrażenie jakby był wkomponowany w skalę zamykającą wąską uliczkę. Gospodarz chętnie mówi o sobie, o swojej pracy, o sukcesach i porażkach. Mój „Philips” pracuje intensywnie, nagrywam każde słowo profesora. Nagle w trakcie rozmowy profesor mówi o wzięciu i upadku, o wizji, którą nie zawsze może urzeczywistnić nadając jej kształt materialny.

— Chodźmy lepiej do pracowni, pokażę panu wyniki moich zmagani, właściwie zderzenia wizji z twarzą brzyd. Pragnę stworzyć cykl rzeźbiarski wyrażający symbol wiotkości i upadku, a jednocześnie będący potwierdzeniem wiotkości i upadków samego artysty.

Wychodzimy na taras podparty kolumnami i przyglądamy się ogrodowi. Leżenie na niebie jest nadal gorące i płuca z trudem chwytają rozgrzaną powietrze. W pracowni jest także duszno, pachnie jakby gipsem, a może wapnem i jeszcze czymś drażniącym. Ogłdam sześć projektów pomnika Jana Matejki, kilka nie ukończonych rzeźb, figurę zapaśnika oraz wysoką czarną rzeźbę przedstawiającą splecione ze sobą dwie postacie: jedna jakby nurkowała, druga natomiast jest wyprostowana, wyciągnięta niczym struna rwie się do lotu.

— To Ikar — mówię.

Wziół i upadek.

— Tak — odpowiada profesor. — Musiałem to wyrzeźbić. Jest tu wszystko: zachwyt i radość zbywania oraz dramat upadku. Realizacja marzenia i niemożność realizacji do końca własnej idei...

Długo stoimy przed Ikarą, a potem wychodzimy w senną i duszną noc.

W hotelu rzucam się na tapczan, wiedząc, że o świcie zbudzi mnie ponownie walenie murarskich młotów w kamienie.

Rewaloryzacja nie zna zmęczenia.

EUGENIUSZ IWANICKI

Pd rozpoczęciem studiów na Wydziale Reżyserii PWSTwT w Łodzi zebrał pan wiele interesujących doświadczeń życiowych związanych z wyborem zawodu. Jakie okoliczności złożyły się na tak kręłą drogę do profesji reżysera?

— Atmosfera domu rodzinnego pozornie tylko hamowała poważniejsze zainteresowania sztuką. Ojciec, co prawda, nie lubił artystów i manifestował swoją postawą dość ostentacyjnie. Walezył w sposób bezwzględny z matką i starszym bratem, którzy przejawiali takie skłonności. Ale dzięki temu problem „stosunku do sztuki” — był tu stałe obecny. Na walkę z mną zabrakło już ojcu energii... A do tego przypadkowo sam popełnił błąd wychowawczy...

Wracając z jakiejś zagranicznej wycieczki, nie mając wiadać lepszego pomysłu przywiózł mi w prezencie najtańszy typ kamery — „Kwarc” Super 8. Zaczęłam patrzeć na świat przez jej obiektyw i tak zostało do dzisiaj. Zmieniając się tylko kamery. Kiedy zdawałam do

Dla mnie jedyną wartością tej uczelni było spotkanie dwóch artystów, dwóch wspaniałych pedagogów, a zarazem przyjaciół — Wojciecha Hasi i Jerzego Bossaka. Dzięki nim zacząłem naprawdę myśleć o uprawianiu zawodu reżysera. Wcześniej ciągle mi się wydawało, że jest to zajęcie niemęskie, niegodne intelektualisty, za jakiego się uważałem. Mogłem być nauczycielem, dziennikarzem, pisarzem. Pisałem dla tygodnika „Kultura” recenzje, eseje. Zawód reżysera? Nie bardzo wiedziałem, co to jest. I czy to jest zawód? Czy tylko hienacja...?

— W jaki sposób udało im się skoncentrować uwagę pana tylko na filmie?

— W przypadku Wojciecha Hasi zaczęło się od rozmów, szkolnych, potem półprywatnych, wreszcie prowadzonych w szkole, przy stole montażowym, w wirtuorii, na ulicy, a w końcu u niego w domu. Można pania to dziwić, że wymienił Wojciecha Hasi — wychodzi on za twórcę hermetycznej strażnicy swoich tajemnic warsztatowych, a mimo to, to właśnie on rozwinął we mnie zainteresowanie narracją i je-

nauczycielem, miał kontakt z młodzieżą i może nie tyle uczył, ile zachęcał do większego wysiłku intelektualnego i estetycznego.

— A nie myślał pan o „uwróżliwieniu” polskich studentów z łódzkiej czy katowickiej szkoły filmowej?

— Myślę, że moi koledzy pracujący w Łodzi czy na Śląsku robią to rewelacyjnie. A poza tym — wierzę w sztukę europejską. Nie ma większego znaczenia, gdzie zostanie posiany ferment myślowy, bowiem wcześniej czy później przeniknie on do innych miast, innych państw. Polska jest na szczęście, spośród krajów wschodnich najbardziej otwarta. Zresztą pracuję również z młodzieżą w Polsce. Jestem na stałe, od lat, związany ze Studium Filmowym im. Karola Irzykowskiego. Tu próbuje sprawdzać się w nowej dla siebie roli (nie bliskiej mojemu temperamentowi) — w roli doradcy i „menadżera”. Zobaczymy...

— W swoich filmach broni pan praw uniwersalnych, przyznając bohaterom prawo pozostawania w zgodzie z własnym sumieniem, jako jedyną

cele peletonu. A Zbigniew Zapisiewicz objął dyrektorem nowo powstałe Teatr Dramatyczny. Przedtem w telewizji wypowiadał się, jak ten teatr powinien wyglądać. Mówił to samo w filmie. Zatem na taśmach „Maskarady” mógł zostać zarejestrowany jego prawdziwy stan emocjonalny. Choć odtwarzana przez niego postać jest absolutnie fikcyjna Owe „zbieźności” podnoszą często wiarygodność kreowanych postaci. Nie jest to jednak jedyne kryterium doboru aktorów do ról; podstawowymi pozostają: smak i wyuczucie. I jest to zawsze ogromne ryzyko pomyłki. Mnie na ogół los oszczędzał, a wyspaniali aktorzy pozwalali wybrnąć z niejednej dramatycznej opresji...

— Zadałam poprzednie pytanie ponieważ oglądając pańskie filmy odnosi się wrażenie, że aktorzy wypowiadają pewne kwestie zacierając granice pomiędzy filmową fikcją a prywatnością, nam na myśl scenę z „Kung-fu”, gdy Piotr Fronczewski zwraca się do Zygmunta — granego przez Daniela Olbrychskiego „słuchaj Danielu”, czy też kilka scen z „Maskarady”.

— W każdym moim filmie staram się o zacieranie granic pomiędzy fikcją i prawdą. To interesuje mnie w kinie najbardziej. Docieranie do prawdy poprzez fikcję; docieranie do głębokich, wewnętrznych porządków prawdy ludzkiej, kiedy już aktor nie jest w stanie grać, nie jest w stanie oddzielić swej prywatności od postaci, w którą się wcielił. Wtedy jest to prawdziwe wydarzenie artystyczne. Nie umiem opanować swej radości. Stoję za kamerą jak oczarowany — i patrzę, patrzę. Zapominam powiedzieć „Stop”. Aktorzy także przeżywają coś bardzo wznieśliwego. Razem czujemy, że nasza praca ma głębszy sens niż tylko robenie jakichś obrazków i opowiadanie mniej lub bardziej zgrabnych historii.

— Z tych fragmentów chyba także płynie największa satysfakcja dla widzów. Spodziewam się, że lubi pan kino Antoniego, Bergmana... Kogo jeszcze?

— Antonini był moją młodzieńczą fascynacją. On właśnie potrafił perfekcyjnie zacierać granice między filmową fikcją i rzeczywistością. Pamiętam spotkanie z nim w „Kwancie”, kiedy sam opowiadał o realizacji filmu „Zawód: reporter”. Z jego relacji wynikało, że razem z Jakiem Nicholsonem pogubili się w skonstruowanym przez siebie labiryncie.

Poza tym Kubrick ma ten wspaniały dar „inscenizacji” prawdy ukrytej w grze. Dob Foss, Altman, a we Francji, bliżej nas, Alain Resnais. Czy widzieli pan jego ostatni film: „Melo”? Arcydzieło.

Także Tarkowski owo zacieranie granic umiejętnie stosował w swej inscenizacji. Był bardzo sensualny. Oglądając „Stalkera”, po raz pierwszy w życiu w kinie odczułem prawdziwą wilgoć, czyli takie doznania fizyczne, którego na ogół nie odbiera się z ekranu.

Do Bergmana dośrołem trochę później, ale dośrołem... Po „Fanny i Alexander”.

— Jakże ma pan plany realizacyjne?

— Mam kilka starych pomysłów, które chciałbym przenieść na ekran. Myślałem o filmach fabularnych, których tematy byłyby bolesne wydarzenia z naszej historii, jak np. „Pogrom Kielecki” z 1946 r., poważny film o „marcu 1968 r.”, ale tak, by ten marzec wpisać w ciąg wydarzeń, które ogarnęły wtedy całą Europę; żeby to był marzec w Warszawie, maj w Paryżu i sierpień w Pradze — na przykład. Był to przecież kluczowy rok, ustalający nowy, moralny i polityczny podział Europy. Coś się wtedy skończyło, coś się zaczęło.

Poza tym chciałbym sięgnąć do epoki średniowiecza. Do momentu narodzin nowego społeczeństwa europejskiego z równo na naszych terenach jak i bardziej oddalonych na zachód. Jesteśmy przecież w Europie, no nie?

— Chyba tak. Życze powodzenia i dziękuję za rozmowę.



Mówi: Waldemar Zmacyński

— Był pan jednym z pierwszych, którzy w swoim zakładzie zaczęli wprowadzać pierestrojkę...

— Zaczęłam od zaprzeczenia, bowiem ja nigdy niczego nowego nie rozpoczynałam ani nie wprowadzałam. Ja po prostu kontynuowałam to, co zawsze uważałam za słusze. Jestem ekonomistą, absolwentem katowickiej Akademii Ekonomicznej. Co prawda w początkach lat osiemdziesiątych różnie się o niej mówiło, bo różni ludzie ją „kończyli” w dekadzie lat siedemdziesiątych, uważam jednak, że jest to solidna uczelnia. Byłem i jestem zwolennikiem ekonomizacji życia, a więc zwolennikiem tego, by w gospodarce narodowej rządziły prawa ekonomiczne. A wprowadzając rzecz do przedsiębiorstw i zakładów, żeby mogły one same gospodarować.

— Jednakże w latach siedemdziesiątych nie miał pan możliwości wprowadzać tych swoich przekonań w życie.

— Wówczas nie pozwalały na to przepisy, ramy systemu nakazowo-rozdzielnego były zbyt sztywne. Dziś zapominamy o tym systemie, kiedy to każde przedsiębiorstwo miało wytyczony z góry dokładny plan określający, co i ile ma wyprodukować, komu to sprzedać, jakie ma mieć koszty, jakie place itp. To był gorset, w którym nie można było się poruszać.

— Jak pan miewał się w tym gorsecie?

— Skoro takie były realia, więc musiałem jakoś się poruszać. Jednak mimo tego gorsetu, zawsze starałem się prowadzić w miarę racjonalną gospodarkę. A kiedy tamten system runął, byłem jednym z pierwszych, którzy poparli odnowę. Jestem niepoprawnym optymistą, jeśli chodzi o reformę gospodarczą. Tak więc cała moja pierestrojka, to nie innego jak dążenie do tego, by w polskiej gospodarce, a w przedsiębiorstwie w szczególności, panowały zawsze zdrowe ekonomiczne stosunki...

— A jak to jest z tym w kierunku, w którym pan Przedsiębiorstwem Materiałów Izolacji Wodoszczelnej „Izolacja” w Zdunskiej Woli?

— Chciałbym bardzo, by takie stosunki już były, ale proszę pamiętać, że nie jesteśmy wydzieloną enklawą, że jesteśmy uzależnieni od innych: od dostawców surowców, energii elektrycznej, mediów ciepłych... Natomiast co do spraw wewnętrznych zakładu: dziś dla ludzi najważniejsze są place. Nie jest dobrze, gdy pyta mnie robotnik dlaczego on tak mało zarabia. Dlatego też u nas jest odwrotnie: to ja pytam pana Kowalskiego, dlaczego on w tym miesiącu tak mało zarobił. Od ubiegłego roku mamy brygadowy system pracy 43 procent załogi jest objęte tym systemem. Udało się nam uzależnić place od wydajności pracy. Zawieramy z brygadą umowę na określoną wielkość i jakość produkcji. Zrobia — to zarobia.

— Ile zarabia w „Izolacji” członek takiej brygady?

— Około 50 — 60 tys. zł miesięcznie.

— Wyrobami z „Izolacji” pokrywa pan dachy niemal w całym kraju...

— Nie wszystkie, jakieś 40 proc. W połowie sierpnia wysłaliśmy pierwszą partię papy do Austrii, a więc chcemy wejść na rynki zagraniczne.

— Czym zajmuje się dyrektor pracujący „w smole, papie, bit-gumie”, kiedy opuszcza zakład?

— Czynnym uprawianiem sportu: jogging, biegi, tenis. Niedługo byłem prezesem polskiej „Odry”, kiedy była ona jeszcze w Lidze. Znajdowała się na czele tabeli, a nasi ciężarowcy zdobywali mistrzostwo Polski. Było to lata 1973 — 1977.

— I pan zrezygnował z tak intratnej posady?

— Znajac kulisy naszego sportu — odszedłem. Sport ma wówczas sens, gdy się go uprawia samemu. Dla mnie działacz sportowy, to ktoś taki, kto jest fanatykiem i tak jest zakochany w sporcie, że nie widzi owych fatalnych realiów, w których wypadła mu praca.

— Może jednak trzeba było przejąć którąś z drużyn, nawet drugoligową. Bo to i spore pieniądze, i wyjazdy zagraniczne...

— Nigdy! Za żadne skarby! Nawet działając w dobrej wierze popada się w konflikt z prawem.

— W czasie pańskiego przesłuchania w „Odrze”, kto ze znanych piłkarzy i trenerów był tam wówczas?

— Z Bielska kupilem za bardzo mało pieniędzy Józefa Młynarczyka, sprowadziłem Antoniego Piechnickiego, który trenował drugoligową drużynę w BBTU U nas wyrósł na trenera o najwyższych umiejętnościach i walorach W „Odrze” grali Roman Wojcicki, Bogdan Masztaler i Wojciech Tyc...

— Czynne uprawianie sportu sprawiło, że ma pan sylwetkę sportowca, a to podoba się kobietom. Jaki jest zatem pana stosunek do płci pięknej?

— Bardzo kocham kobiety, szczególnie te ładne.

— A napoje uchodzące za czyste męskie?

— Odrzucam zdecydowanie. Natomiast palę papierosy i lubię kawę.

— Pan sam nie używa alkoholu, a jak to jest w przypadku robotników zatrudnionych w „Izolacji”? Wychował ich pan na abstynentów?

— Nasi robotnicy wiedzą, że nie toleruję pijaństwa. Jeśli zdarza się, że ktoś zjawi się pijany, natychmiast takiego człowieka pozbawiamy się z zakładu. Wie pan, mnie zawsze przerażało to, że dla większości Polaków picie wódki jest sposobem na życie.

— Zapewne ma pan działkę...

— Mam, pracuję głównie sam, czasem pomaga mi żona. Obecnie kończę tam domek letniskowy, który wybudowałem w ciągu dwóch miesięcy.

— Oczywiście dach jest pokryty papą lub bit-gumem z „Izolacji”?

— Ale tak, są to najlepsze materiały izolacyjne.

— Nie wymawiając panu lat, sądzić, że dorobił się pan już wnuków...

— Jeszcze nie. Córka jest na czwartym roku psychologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, ale o wnukach jakoś nie mówię.

— Pięć lat temu zapytałem pana, jak długo zamierza pan dyktorować w „Izolacji”, i pan odpowiedział, że tak długo, aż przestanie to pana bawić. Jakież dziś udzielił mi pan odpowiedzi na to samo pytanie?

— Mnie to ciągle jeszcze bawi. Bo wie pan, jestem przekonany, iż w gospodarce naszej można jeszcze dużo, bardzo dużo zrobić. Ot, choćby to, że pracując nad powołaniem spółki z kapitałem kontrahentów z Austrii i chcąc produkować materiały „dla odbiorcy zagranicznego, już świadczy o nieograniczonych możliwościach naszego przedsiębiorstwa. A więc mogę się jeszcze po-bawić.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

ODGŁOSY 7

Bohaterowie moich filmów nigdy nie są konformistami.

Trudna sztuka zacierania granic

Rozmowa z JANUSZEM KJOWSKIM — reżyserem, scenarzystą i pedagogiem.

szkoły filmowej byłem już na tyle dorosły, że ojcu nie wypadało ingerować w moje osobiste decyzje — byłem po studiach historycznych na Uniwersytecie Warszawskim, miałem już na utrzymaniu własną rodzinę, dziecko...

— Czy wybór historii był kompromisem wobec ojca?

— Nie, niezupełnie tak było. Po maturze byłem po prostu niedojrzały psychicznie i intelektualnie do wykonywania zawodu reżysera. Wiedziałem to. Odczuwałem potrzebę zdobycia wiedzy ogólnej, przeczytania kilku książek, a także przeżywania czegoś ważnego: pierwszych miłości, pierwszych zawodów, pierwszych wyborów politycznych i moralnych — a to może zapewnić tylko uniwersytet. Szkoła filmowa jest „zawodówką”. I zdarzyła się rzecz nieoczekiwana — to, co miało stanowić przegrodę intelektualną, zbieranie sił i doświadczeń przed egzaminem wstępnym do szkoły filmowej, zafascynowało mnie do tego stopnia, że ciłkiem poważnie zacząłem myśleć o pracy naukowej.

Po dwóch latach studiowania historii wychodziłem do Paryża, gdzie przeszedłem roczny staż w „Ecole Pratique des Hautes Etudes” pod opieką profesorów Jacques le Goffa i Pierre Francastella. Pod ich wpływem coraz bardziej zbliżałem się do moich nowych zainteresowań — historii średniowiecza. Gdy wróciłem do Warszawy w 1970 r. — z tym, przedmiotem moich studiów okazała się historia sztuki. Po ukończeniu uniwersytetu zaproponowano mi otworzenie przewodu doktorskiego...

Przez rok byłem słuchaczem dziennego studium doktoranckiego w Instytucie Historii PAN i dziwiło mnie tylko, że nie otrzymuję stypendium naukowego — tak jak inni. Okazało się, że moje papiery nie mogą w komplecie trafić pod odpowiedni adres... Ukłękły w urzędach o zupełnie nienaukowym statusie. Poczułem się oszukany, więc trzasnąłem szczerymi, zabytkowymi drzwiami.

Paradoks zrazilił, że zaraz potem zostałem nauczycielem „Propedeutyki Nauki o Społeczeństwie” w warszawskim Liceum Ogólnokształcącym im. Klementyny Hoffmanowej — tej pracy byłem godny. Naukowej — nie! Z góry założyłem, że w szkole popracuję nie dłużej niż rok, dwa. Zależało mi teraz na rzetelnym przekazaniu młodzieży swojej wiedzy i swoich przemyśleń z pogranicza historii, filozofii i nauk społecznych. Solidnie przygotowałem się do zajęć. Udało mi się sprowokować uczniów do sporej aktywności. Dziś znów jestem nauczycielem, tyle że w szkole filmowej. Ale przedtem, w 1974, zostałem przyjęty do szkoły filmowej w Łodzi.

— Jaka była ta szkoła za pana czasów?

— Nie wspominam szkoły z sentymentem... Była fatalna, wyprana z wszelkiej tradycji i odarta z ducha poprzedniej atmosfery pełnej wzlotów, kontynuacji „szkoły polskiej”, szkoły Jerzego Topolitzana...

zykiem filmowym. Wspólnie z Jerzym Bossakiem włożyli wiele wysiłku i wykazali ogromną pomysłowość, abym mógł już na drugim roku studiów, w zespole „Przymat”, przystąpić do realizacji profesjonalnego, pełnometrażowego filmu fabularnego, według własnego scenariusza. Tak powstał „Indeks”. Wygrałem los na loterii. Po zrobieniu „Indeksu” wyszliśmy wszelkie inne działania... Zostałem tylko filmowcem.

— Wygrany „los” okazał się „bronią obosieczną”. „Indeks” powędrował na półki, zespół „Przymat” rozwiązano a pana dyplom stał pod znakiem zapytania przez dwa lata. Jak dalej potoczyły się pańskie losy?

— Tak, to prawda... Jedno, podziękuję ministerstwu, reżyser Janusz Wilhelmowi wprowadził w zakłopotanie kilka osób w tym kraju. Jednak w końcu 1978 r. uzyskałem dyplom, w uroczystej atmosferze, może nawet lekko triumfalnej. Na mojej obronie obecny był Andrzej Wajda; zaproponował mi etat w zespole „X”. Poszedłem tam ze wszystkimi swoimi aktywami, a więc także ze scenariuszem „Samobrony” późniejszego „Kung-fu”.

Ten film też miał kłopoty z otrzymaniem skierowania do realizacji. A potem — rozpowszechniania. Siła perswazji i nieustępliwość Andrzeja Wajdy — wspaniałego szefa zespołu — sprawiły, że scenariusz uzyskał w końcu akceptację nowego ministra. Później zrobiłem jeszcze „Głosy”. I nadszedł czas wielkiego solidarnościowego wzburzenia. Otrzymałem od belgijskiego producenta zamówienie na realizację filmu dokumentalnego o Polsce tamtego czasu. Choć nigdy nie czułem dokumentalnej kamery i nie widziałem siebie w roli faceta rejestrującego podpatrzoną rzeczywistość, to jednak ze względu na wagę wydarzeń przyjąłem to propozycję. Była to też forma ucieczki przed „fabułą”, która wzbliłał wóbec rzeczywistości. Tułałem się z kamerą po Polsce, w końcu powstał niezbyt czysty, bo fabularyzowany dokument czasu ogólnego oczami autentycznego emigranta z 1968 roku. Wierzę, że powrót do „marca” do mojego uniwersytetu. Nie byłem z siebie zbytnio zadowolony. Musiałem pojechać do Belgii, zmontować i udzielić wóbec prawd i zjawisk niepopularnych. No tego, że nie zawsze można by sobie radzić ze sobą. Jak bohater „Maskarady”.

— Czy do swoich filmów wybiera pan aktorów, których życiorysy w pewnym stopniu są zbliżone z losami filmowych bohaterów?

— Nie, ale jeśli tak bywa to tworzy to pewną nadwartość. W „Maskaradzie” bardzo owocną okazała się współpraca z Bogusławem Lindą i Zbigniewem Zapisiewiczem — przypadkowe zbliżenie fikcji z prawdą znakomicie wpisywały się w scenariusz filmu. Ale to dopiero po skończeniu zdjęć Bogusław Linda stał się „aktorem roku” i ulubionym publiczności. Poznał smak bycia na

formą zachowania twarzy w sytuacjach konfliktowych z moralno-etycznego punktu widzenia, w podejmowaniu trudnych decyzji nadających sens życiu ludzkiemu?

— Bohaterowie moich filmów nigdy nie są konformistami. Nawet jeśli grają różne role społeczne — to jasne, i nieprzekraczalne są granice tej gry. W „Indeksie” — Krzysztof Zaleski odtwarza postać przypominającą w swoim działaniu od początku do końca bohatera „Maskarady” granego przez Bogusława Lindę. Obaj wywołują konsternację otoczenia. Zdziwienie, sprzeczność wobec swojego zachowania... Kolo się zamyka. A weźmy „Kung-fu”, czyli „Samobronę”. Film krótko przesłano było często dość wulgarnie interpretowane przez krytyków. Przecież ci bohaterowie, moi rówieśnicy, Daniel Olbrychski, Piotr Fronczewski, Andrzej Seweryn, Teresa Sawicka na końcu filmu stanęli tyłem do widowni, tworząc tym samym jej pierwszy rząd. Ubrani w zielone kurtki, bo takie się wtedy nosiło — przyglądali się małej łódce... A już za rok od wejścia filmu na ekrany, stało za nimi 9 milionów Polaków i to przed wielkimi statkami. W imię tych samych ideałów: samobrony, solidności...

W „Głosach” bohaterowie nie znajdujący dla siebie miejsca w nudzie i szarżynie codziennej odwołują się do zjawisk metafizycznych, parapsychologicznych, które umożliwiłyby zrozumienie siebie i otaczającej rzeczywistości. W ostatniej scenie Ewa Dalkowska i Krzysztof Zaleski siedzą na ławce w parku i wstępują się we własne głosy. Dookoła stoi jeszcze kilka ławek pustych — zapraszają one widzów do medytacji, do ponownego zastanowienia się... Z tego, co wiem, film wyprzedził o kilka lat fale zainteresowania Polaków radiestezją i biotroniką. No i „Maskarada” — film o wielowarstwowej strukturze i wielu znaczeniach. A ja nie mam zamiaru interpretować własnych filmów — zresztą czynię to teraz w sposób bardzo tendencyjny, trochę nawet kaleczący głębokie intencje i bardziej skomplikowane przesłania adresowane do publiczności. Zapewniał pania tylko, że w moich filmach nie ma błaż... (nie ma taryfy ulgowej). Nawet wobec prawd i zjawisk niepopularnych. No tego, że nie zawsze można by sobie radzić ze sobą. Jak bohater „Maskarady”.

— Czy do swoich filmów wybiera pan aktorów, których życiorysy w pewnym stopniu są zbliżone z losami filmowych bohaterów?

— Nie, ale jeśli tak bywa to tworzy to pewną nadwartość. W „Maskaradzie” bardzo owocną okazała się współpraca z Bogusławem Lindą i Zbigniewem Zapisiewiczem — przypadkowe zbliżenie fikcji z prawdą znakomicie wpisywały się w scenariusz filmu. Ale to dopiero po skończeniu zdjęć Bogusław Linda stał się „aktorem roku” i ulubionym publiczności. Poznał smak bycia na

Rozmawiała: IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Cień pary

widziałam pojedynczy cień pary
pnący się po ścianie
uciekł w zapach herbaty
teraz ta miałam dwa cienie
niosąc między księżycem
a lampką
parującą wrzaski

z pierwszym tykiem
znów byłam pojedyncza
w szwie okiennej
bez cienia leku
choć skroplone pecherzyki parły
spływały po kieszce
także blaski

Półka z książkami

TEN KPIARZ CHOROMAŃSKI

To już drugie wydanie tej dziwnej, a przecież pełnej ironii i zjadliwości książki. Mówię o „Różowych krowach i szarych skandalach” Michała Choromańskiego. Oto małe miasteczko, w którym mur uprzedzeń, zawiści i strachu oddziela mieszczan od małomieszczan. A nad tym wszystkim wznosi się wszechpotężna plotka, zastępująca źródło informacji i będąca jednocześnie organem opiniotwórczym.

Zachęcam serdecznie do lektury, bo to i zabawa, relaks, ale i niewątpliwa nauka.

Michał Choromański: Różowe krowy i szare skandale. Czytelnik 1983. Str. 384. Cena 570 zł.

PALAC

Książka, która weszła do kanonu lektur współczesnego Polaka. To „Palac” Wiesława Myśliwskiego, rzecz, która chyba nie do końca „rozpracowała” naszą krytykę. Nie miejsce tu na omawianie jej treści, wspomnę jedynie, że symbolika opowiedzianych zdarzeń jest tyleż wymowna co budząca wciąż nowe i nowe ich odczytanie. Tytułowy pasterz wędrujący po królestwie wyobraźni przecież nie dociera do celu, bo tak naprawdę, to nigdy nie można uwolnić się od przeszłości i od imaginacji.

Wiesław Myśliwski: Palac. Glob 1985. Str. 195. Cena 600 zł.

DWAJ MEŻCZYŹNI

Współczesny pisarz serbski, Slobodan Selenić, zajmujący się teorią dramatu i dramaturgii (wydaje na ten temat kilka rozpraw) jest także prozaikiem, który zyskał już pewien rozgłos. Nie tak dawno ukazała się u nas jego powieść pt. „Ci dwaj mężczyźni”, będąca próbą ukazania ścierania się dwóch świadomości narodowych: Serbów i Albańczyków z Kosowa. A więc — znając zamieszki na tle narodowościowym w Kosowie — powieść Selenića jest ilustracją do trudnych, nie do rozwiązania problemów mniejszości narodowych Jugostawii.

Slobodan Selenić: Ci dwaj mężczyźni. PIW 1985. Str. 282. Cena 550 zł.

Oprac. E. IW.

Łódzka scena obchodzi stulecie

W nowszej historii Łodzi liczonej od chwili odzyskania praw miejskich, stulecie stanowi ogromny szmat czasu. Jeszcze więcej waży ono w dziejach polskiej kultury na tle wielonarodowej niegdyś tutejszej społeczności, która zwróciła tu dla swoich celów przemysł i handel. Narodziny stały się sceny polskiej w owym jak mawiano „nieodrodnym mieście” było widoma oznaka kulturalnej emancypacji tutejszego żywiołu polskiego. Zresztą teatrowi u nas przypadała wyjątkowa rola w historii narodu, głównie za sprawą twórczości dramatycznej wielkich romantyków.

Nie oznacza to wcale, że stały zespół, który pod dyrekcją Lucjana Kościelickiego dał się poznać łódzkiej publiczności w dniu 6 października 1888 r. na scenie hotelu „Victoria” sięgał wyłącznie po tak wspaniałą repertuar, dominowały utwory mniej wzniosłe, lecz przystępne dla niezbyt wyrobionego ogółu. Ale fakt wystawienia przez zespół aż 125 premier świadczy dowodnie, iż uformowało się wówczas miejsce, gdzie polskie środowisko teatralne sztuka teatru stała się bliska i potrzebna.

Te szacowne rocznice postanowiono uczcić najgodniej czyli na roboczo zapoczątkowując w dniach 5 i 6 października jubileuszowe obchody w salach Muzeum Historii w Łodzi zdominowane przypomnieniem stulecia teatru im. Jaracza jako wprost linii spadkobiercy tamtej pierwszej sceny. Program sesji objął tematycznie teatralne dokonania nie tylko placówki przy dawnym ul. Cegielińskiej (dziś Jaracza), nie uwzględnił jednak dzieł wszystkich pozostałych, które być może oczekiwały także obojętnościowej uwagi.

Obrady, które przebiegały liczne grono ludzi teatru i jego sympatyków wypełniły referaty o wielkich ludzich scenach łódzkiej — dyrektorach i aktorach: Aleksandrze Zelwerowiczu, Leonie

Schillerze, Kazimierzu Dejmku, Karolu Adwentowiczu Stanisławie Łapińskim Feliksie Żukowskim w opracowaniu kompetentnych znawców przedmiotu. Omawiano też analitycznie trzy spośród przedstawień, które przetrwały do historii polskiej sceny: „Elektra”, „Krakowiaków i Górali” i „Dialogus de passione” podjęto próby charakterystyki łódzkiej publiczności w całym minionym stuleciu.

Godnym uwagi przedsięwzięciem ze względu na swe walory poznawcze i estetyczne jest czynna obecnie wystawa okolicznościowa „Łódź teatralna 1888—1988” w salach muzeum, a uzupełnił główny nurt obchodów przegląd filmowy w Domu Słodowskich Artystycznych przy al. Kościuszki, pt. „Łódź artystyczna w filmie” będący dokumentalną prezentacją artystów działających w Łodzi i ich sztuki.

W programie rocznicowych ob-

chodów przewiduje się jeszcze w dniach 12—19 marca przyszłego roku przypomnienie na obu scenach teatru im. Jaracza najwybitniejszych premier, które do niedawna były lub jeszcze pozostały w bieżącym repertuarze oraz przegląd spektakli zarejestrowanych przez telewizję a także wystawę obrazującą repertuar ostatnich dziesięciu lat. Informacji o teatrze i sympatykom „Jaracza” nie zabraknie więc artystycznych doznań.

Bieżący okazuje się zawężony, utrwala i zachowuje przed zniszczeniem, ślad działalności, należy więc ufać, iż wszystkie referaty minionej sesji w lipcu 13 zostaną ogłoszone in extenso w specjalnej publikacji.

J. K.



wet jeśli obiera się w tym celu drogą sprzeczną z przyjętą pospolitą obywatelnością.

I jeśli w tym punkcie autor z rozmysłem zmierza do polemiki i podejmując przynajmniej niebyty popularny dyskurs o całej diadzie fabularnej książki, utrzymamy oczywiście w granicach możliwej rzeczywistości winien zostać odczytany pretekstowo z przymiśleniem oka nie — poważnie choć nie obraża on bynajmniej w jakimś sensie prawdy — dopodobiństwa życiowego. Tego żąda od nas narrator, między wierszami podkpiwający sobie z poszczególnych postaci egzaltowanych i pełnych pretensji, obojętnie relacjonujący kolejne przypra-

Awantury i wybryki

piero na progu dojrzałości psychicznej, niepewni i nieposłuszeni na wzór charakterów de Sade'a rozpaczyliwie poszukujący nieznanego jeszcze podniekt i zabronionych uciech, mogących nasycić ich łapczywą ciekawość świata, dopomóc w zamaskowaniu duchowego ubóstwa czy impotencji twórczej, lub umożliwić jaskrawe zrozumienie własnych potrzeb i pragnień, antynomicznie prowadzących do odnalezienia bezpiecznego miejsca w świecie, z którym młodym banitą niełatwo przyjdzie się pogodzić. Opowieść oparta wokół centralnej postaci debiutującego tancerza Dawida, osadzona we współczesnych, niezmieszanych realiach, obfituje w niekonwencjonalne sceny erotyczne i uciążliwe nie tylko w planie wydarzeń, lecz także w myślowej warstwie utworu, odważnie dyskutującą z czytelnikiem na temat zasadności akceptacji panujących norm i nakazów, przynajmniej prawo wyborcu postępowania (a w konsekwencji życia) w zgodzie z samym sobą, na-

wione ostro zdarzenia, służące ilustracji określonego światopoglądu i egzemplifikacji postaw, a nie jarmarcznej sensacji.

Odkąd fabuła w prozie powróciła do łask, przyciąganie czytelnika smakowitymi wątkami powieści przestało być wykończonym a stało się niekwestionowaną zaletą kulturowej homogenizacji. Zapewne niektórzy krytycy chętnie poparliby autora wraz z książką za rozmaite przestępstwa, ale jak zawsze najlepszym kryterium oceny pozostała obojętna na spory księgarska lada.

MACIEJ SWIERKOCKI

Witold Jabłoński — „Gorące uczynki”. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985, wrd. I, nakład 10 000 egz.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

BYŁ NA TO ZBYT INTELIWENTNY

Oto fragmenty wywiadu, jakiego udzieliła wieloletnia pomoc domowa rodziną Freudów 86-letnia Paula Fichtl na temat Zygmunta Freuda. Wywiad opublikowała „La Stampa”.

...Po śmierci profesora zabrała mnie na pewien czas do Anglii jego córka, Anna. Ale kiedy w 1982 r. ona też zmarła, wyrzuciła mnie z domu, który był przecież trochę i moim domem. Nie byłam już potrzebna. A teraz kiedy mam 86 lat żyję sobie tu sama tak palec (w domu starców). „Profesor był powściągliwy i małomówny. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że trudno mu było mówić ponieważ, jak pan wie, cierpiał na raka ust. (Freud nosił w ustach protezę zapobiegającą ubytkowi po operacji usunięcia nowotworu). Był raczej mały i chudy...”. Podobno kobiety się nim zachwycały? — Zachwycały się nie tyle nim, ile jego teorią — mówi Paula Fichtl. Na pytanie: czy wśród jego pacjentów było więcej kobiet czy mężczyzn? — odpowiada: — Powiedźmy raczej, że było więcej niż kobiet niż księżniczek. Nie każdego było stać na wizytę...”

Na pytanie: Kto z odwiedzających profesora robił lepsze wrażenie — Tomasz Mann czy Stefan Zweig? — mówi: — „Chyba Mann mimo że zachowywał się dość wyniosło. Był zawsze elegancki i wytwornie ubrany. A Zweig pamiętam jako mężczyźni niepozornego, który nie wyróżniał się niczym szczególnym...”. Czy często przyjmował w domu? — „Rzadko. Pani profesorowa była dość skąpa, bardziej niż mąż, a poza tym profesor musiał się oszczędzać, przecież miał trudności z mówieniem...”. Na pytanie: dlaczego, mieszkając w dziewiętnastopiętowym mieszkaniu Freudów musiała spać na drewnianej ławie, odpowiedziała: — „Nie przywazywałam do tego wagi! Wystarczyło mi to, co miałam, iakość to było. Proszę nie zapominać, że byłam służącą a służące w ówczesnym Wiedniu traktowano jak przedmiot. Najważniejszą było to, kim się człowiek urodził. Może dziś jest inaczej...”. Wymazanie nie było wysokie, raczej niższe niż dawano za to sama prace w innych miejscach. Na gwiazdki i na urodziny dostawałam prezenty. Ale muszę uważać na to co mówię bo jeszcze wielu krewnych i przyjaciół Freuda czyta wszystko co się o nim pisze...”

Co sądzi o tym, że Freudowi nie udało się dostać tytułu profesora zwyczajnego? — „Może był na to zbyt inteligentny...”. I wreszcie na pytanie: czy to prawda, że umarł od zastrzyku morfiny Paula Fichtl odpowiada: — „Inni też mnie o to pytali, ale ja choć byłam w domu przy śmierci Freuda nieczemu takiego nie pamiętam. Zastrzyki z morfiny robił Freudowi tylko dla usmierzania bólu...”. Mówę o erzebowa wyzwoleń! Stefan Zweig — dodaje na koniec — Zwiłto Freuda poddano kremacji...” („Forum” nr 35).

ADJANI WYGRAŁA PROCES

„Aujourd'hui Madame”, które wydrukowało postłoske na temat choroby Isabelle Adjani, zapłacił aktorze odszkodowanie w wysokości 2.250 tys. franków, czyli 430 tys. dol. Choć aktorka wielokrotnie zaprzeczała plotce, także i przed kamerami telewizyjnymi, pismo wydrukowało postłoske, iakob Adjani cierpiała na AIDS. Sąd orzekł, że publikacja ta była naruszeniem prawa do ochrony życia prywatnego.

JOAN MIRÓ O SOBIE

O zmarłym przed paru laty, jednym z najwybitniejszych malarzy naszego wieku Joanie Miró powiedział w „L'Espresso” równie wybitny rzeźbiarz współczesny, Alberto Giacometti: „... jest to tego stopnia malarzem ze wstarczym teściu robi na północy trzy plamy, aby stało się ono obrazem”. Jakże cudownie tajemniczą sztuką jest malarstwo, a szczególnie malarstwo Joana Miró magiczne i zaskakujące, będące zwierciadłem — jak określił Prévert — świata tak innego, sekretne.

A oto tekst samego Joana Miró, który po raz pierwszy ukazał się w 1959 r., a jest powtórzony obecnie w „L'Espresso”.

„Jestem człowiekiem z natury skłonny do trązizmu milczącym. Jeszcze w młodości miałem okresy gorzkiej melancholii. Teraz jestem dosyć zrównoważonym ale nie mi się nie podoba: życie wydaje mi się absurdalne. Nie ma to nie wspólnego z moim sposobem myślenia, czuję to w środku od wewnątrz; jestem pesymistą. Wciąż wydaje mi się, że wszystko idzie ku gorszeniu. Jeśli w moich obrazach jest coś zabawnego, to

PESTKI DYNI

W „Szpilkach”, na rozkładówce duże story o pierściach żeńskich oczywście czyli o Danucie Lato, której to naturalne osiągnięcia porównywane są przez spora część cywilizowanego świata do chopinowskich; chodzi oczywiście o wkład w sferę kultury. Rzecz cała jest ilustrowana, bo z ciałem dziewczęcym, zwłaszcza gołym, jest jak z dziełem sztuki pięknej — bez osobistego oglądu lub reprodukcji obyć się nie może, tym bardziej że piękne ciało — to też dzieło sztuki. To że ukształtowane przez naturę, a nie przez artystę — to tym lepiej; pozostaje czysta forma, nie skażona żadnymi tam pokrętnymi filozofiami i artystycznymi doświadczeniami.

Natura jest anonimowa i tworzy dzieła doskonałe i wysoce funkcjonalne. Danuta Lato obdarzona została przez nią przyjemnym i zdrowym głosem — piękne ciało udźwiękowione jest sio raz ciekawsze i sympatyczniejsze od ciała niemeżo albo takiego, które jeno domaga się forsy wrzucić monetę... wrzucić monetę... wrzucić monetę...

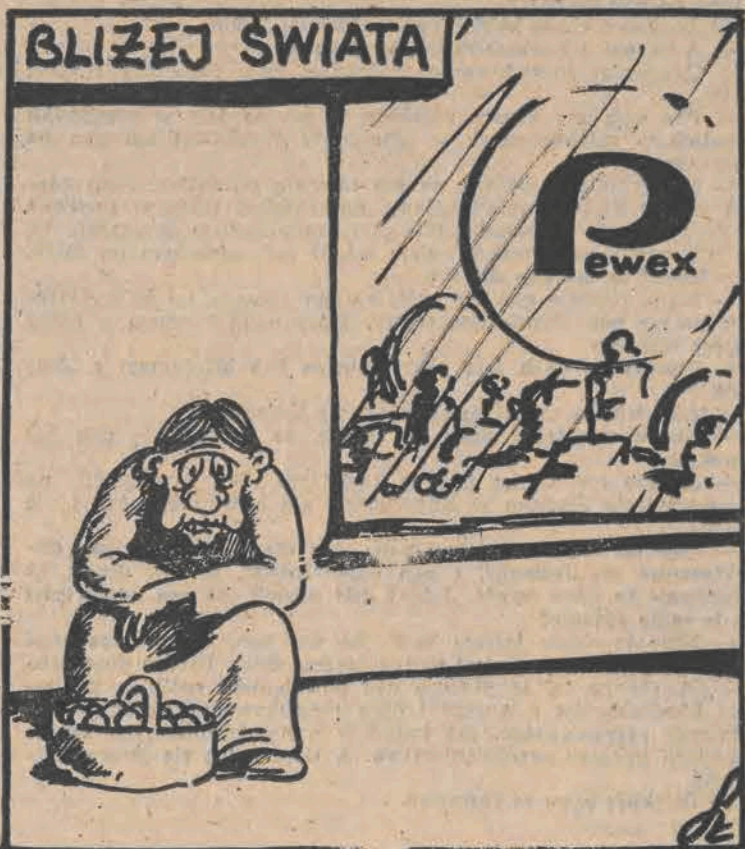
Zagraniczne sukcesy pani Danuty i jej szczere wyznania o swoim ciele i swoim charakterze są dla mnie tym bardziej mile, że pochodzą z kraju, który do tej pory zadziwia świat nadmiarem pruderii (między innymi rzecz jasna) zakłamania w pewnych oczywistych dla innych nacji sprawach. Z kraju gdzie nie dopuszczają się do uświadamiania seksualnego; gdzie pokazanie gołej panienki w telewizyjnym programie „Bliżej świata” przez Jerzego Klechta i jego rozgadane koleżki wywołuje protesty ojców i matek rodzin; gdzie przystość naturalny wreszcie jest o wiele za wysoki tak na aktualne potrzeby i możliwości, zaś środki antykoncepcyjne są towarami wysoce deficytowym lubo też nie znanym wcale... Mile jest również to, że sławna i dzielna Polka nie wypiera się swojej narodowości. Przeciwnie — gdzie może podkreśla, że urodziła się między Wisłą a Odrą, między Bałtykiem a Tatrami; szczególnie podkreśla, że w Republice Federalnej Niemiec, gdzie największą zdobyła swoimi wdziękami, popularność...

Sympatyczne jest i to, że pani Danuta sama zadbała o promocję (co za słowo!) samej siebie za granicą — w przeciwnieństwie do wielu innych — nie liczyła na przykład na ministra kultury i sztuki Aleksandra Krawczuka albo na jakąś inną instytucję promującą (co za słowo!) polską sztukę polskich artystów i polskie towary w szerokim świecie...

A z promocją (co za słowo!) naszej sztuki i naszych artystów — bo jednak przy tym zostaliśmy — za granicą jest bardziej niż ile: jest wola fatalna. Niech zatem nie dąży się pani Rita Golebiowska w „Szpilkach” że znany prezenter telewizyjny hiszpańskiej z Polską znał jeno Chopina, papieża i Danutę Lato z jej pierściami i jej piosenką. Odpłaćmy mu teraz piękny, za nadobne i powiemy, że ze sławnych Hiszpanów znamy jeno Domenico Theotocopuli zwanego El Greco, który urodził się na Krecie... Niech ma nieuk jeden za swoje!

Ala cała sprawa jest o wiele bardziej przykra. Przeciwnie wykształcony Polak zna naprawdę więcej nazwisk sławnych Hiszpanów, Włochów, Francuzów... itd. Oni zaś nie znają nas. Wciąż — my sami nie znamy naszych... Oczywiście, nożka Chopinem, panielem i — dzięki „Szpilkom” teraz — Danutą Lato...

ANDRZEJ GRUN



Rys. Sławomir Łuczyski

Lódzki festiwal organowo - oratoryjny

W Polsce mamy festiwal muzycznych sporo, może nawet coraz więcej. A im jest ich więcej, tym — rzecz jasna — wymagania w stosunku do nich są wyższe. W szerszym, ogólnokrajowym kontekście liczyć się mogą tylko przedsięwzięcia najciekawsze, imprezy odrębne treściowo i formalnie, posiadające indywidualny charakter i przemyślaną dramaturgię (przytoczę postulat, by każdy festiwal był jak gdyby kompozycją wyższego rzędu). Oczywiście o ostatecznym kształcie takich zjawisk decyduje wiele czynników. Do najważniejszych należą sprawne, pomysłowe kierownictwo artystyczne i organizacyjne.

Filharmonia Łódzka od lat urządza wrześniowe Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej. Imprezy te łączyła i łączy, wyjątkowo cennie, na tym zaplanowane ewangelickie koncerty w kościele św. Mateusza, w którym odbywały się koncerty. W tym roku „Dni” trwały od 27 września do 1 października. Czy się udało? Czy spełniły w jakimś sensie przytoczone powyżej wymagania?

Wydało mi się, że można na te pytania odpowiedzieć twierdząco. Festiwal, mimo iż zakrojony na niewielką skalę, wypadł całkiem interesująco pod względem programowym i wykonawczym, dał też wernym mu słuchaczom poczucie pewnej logicznej ciągłości. Podstawowym czynnikiem spajającym występy stał się religijny charakter większości kompozycji. Pochodziły one wszakże z różnych epok i ośrodków narodowych i należały do odmiennych gatunków. W sensie gatunkowym prezentacje uporządkowane zostały zgodnie z zasadą swoistej symetrii. Oś stanowił koncert „Concerto Avenna” z 1840 roku, a w jego otoczeniu, jakby w otoczeniu, znalazły się dwa wieczory organowe, natomiast jako zewnętrzne obramowania za-

planowano wielkie formy wokalo-instrumentalne. Te formy to — niezawodnie prowadzone batuta szefa łódzkiej filharmonii, Tomasza Bugaja — Msza gregoriańska L. Janaczka oraz, zamykająca festiwal, II Symfonia c-moll G. Mahlera. Oba dzieła odtwarzane już były z powodzeniem w Łodzi podczas minionych dwu sezonów. Wtedy też recenzowałem je na łamach prasy codziennej.

A zatem teraz tylko słowo o pozostałych występach. W wieczorze nowej muzyki organowej i kameralnej rolę współwykonawców przyjęli w kilku wypadkach autorzy prezentowanych kompozycji: organista Stanisław Moryto i Wiesław Rentowski oraz akordeonista Krzysztof Olezak. Moryto „Canto polonica” na organy, jak i „Conducus” na 2 akordeony i organy okazały się najbardziej dojrzałe i przekonujące z punktu widzenia klarowności formy oraz techniki budowania napięcia. Kolorystyczne zalety można było odkryć w kole „Por dia de anos” Rentowskiego, również na 2 akordeony i organy. Pieśni E. Sielickiego i A. Kurylewicz z towarzyszeniem organów dały tego dnia pole do popisu odznaczającemu się szlachetnością brzmienia barytonowi Andrzejowi Niemierowiczowi z łódzkiego TW. W nielicznych tylko momentach jego głos nie za skutecznie przebiegał się przez warstwę instrumentalnego akompaniamentu.

Za bezsporny atut specjalizującego się w muzyce barokowej, warszawskiego zespołu „Concerto Avenna” pod kier. Andrzeja Mysińskiego, uważać trzeba stylowość. Przejawia się ona m.in. w zredukowanej do minimum vibracji instrumentów smykowych, co nie umniejsza wszakże urody dźwięku. W koncertach Corelliego oraz Haendla ansambl zachwycał archaizującymi pianami,



II Symfonia G. Mahlera. Śpiewają: Bożena Betley i Jadwiga Teresa Stępień.

Ladnie wypadł ponadto koncert obojowy d-moll Albiniego z solistą Krzysztofem Wronisewskim. Aż doznawać można było wrażenia, że w tym czasie w naszym mieście, sopranistka Henryka Januszewska wywołała Bachowską kantatą solową „Weicht nur betrübte Seelen” niedosyt. W wysokim rejestrze czuło się wreszcie, że cała partia pozabawiona była spodziewanego blasku. Może był to po prostu „zły dzień” artystki?

Wiele radości i satysfakcji sprawił organowy recital Joachima Grubicha. Grę jego cechuje precyzja i duża wyobraźnia kolorystyczna. Walory te ujawniały się zarówno w dziełach Bacha (może jedynie przepojony mistycyzmem chorał „Jesus blei-

bet meine Freude” nie okazał się dość skupiony), jak i współczesnych — Messiaena i Sawy. Szybko minęły tegoroczne „Dni”, dobra muzyka skondensowana w nich była jak w odywowej pi-guice. Oby tylko rozpoczęty dynamicznie sezon nie utracił wkrótce swego wstępnego „przyspieszenia”.

JANUSZ JANYST

— Od początku swej drogi artystycznej oparł się pan wszelkim modom obowiązującym w show-businesie, nie zabiegał pan o uczestnictwo na festiwalach piosenek, ani o miejsce na listach przebojów. Czy to świadomy pański wybór?

— Pobocza — to okolice, w których czuję się najwygodniej. W tej branży nigdy nie potrafiłem być w środku. Początkowo działałem tak zapewne instynktownie, może trochę przez moją nieumiejętność. Po jakimś czasie, kiedy przyjrzałem się i przeanalizowałem funkcjonowanie ogromnej maszyny show-businessu, postanowiłem nie dać się w to wciągnąć. I tak zostało... Pośród piosenkarzy czuję się niezbyt swój, bo jednak trochę inny, lekko stroniący. A wśród tzw. „czystych poetów” — też nie, bo pokalany łatwizną i estradą... Powiem nieskromnie: ten status odpowiada mi.

— Jakie były początki pańskiego śpiewania?

— W czasach studenckich czasem zaglądałem do Klubu akademickiego i tam właśnie trochę sobie

śpiewałem, nie paląc papierosów, więc może także rzucać pisanie piosenek...

— Jest pan autorem tekstów, kompozytorem i wykonawcą własnych piosenek. Czy taka samo-wystarczalność pomaga w pracy?

— W naszych warunkach trudna jest sytuacja kogoś, kto jest „samowystarczalny”. Nie ułatwia życia ożywianie się bez sztabu kompozytorów, autorów tekstów. A jeszcze — bez tzw. podopiecznych ze strony rozmaitych chorągwi, instytucji, organizacji. W takich okolicznościach wywołanie sobie prawa do reżyserskiej, do zaznaczenia swojej obecności to ciężko wyrabianie się z szeregu. Ta działalność wymaga ogromnego uporu i cierpliwości.

— Czyż nie są to główne cechy pańskiego charakteru? Obok działalności reżyserskiej, nagrał pan trzy płyty dialogujące (jedną we francuskiej wersji językowej), opublikował cztery tomiki poezji i śpiewnik ilustrowany...

pomimo wszystko, nie wyrządzają sobie tyle zła, ile mogłyby. To taki szczególny rodzaj optymizmu.

— Wiele z pańskich piosenek mówi o szczęściu. Czym jest dla pana szczęście?

— To bardzo trudne pytanie. Myślę, że czymś, czego nigdy nie dogonię. Z czasem wiele pojęć zmienia się. Rzeczy, sprawy, na których kiedyś bardzo mi zależało, z których rezygnowałem z czasem — dzisiaj wcale mnie nie obchodzi. Inne mam marzenia, inne sprawy mnie prowokują, mobilizują do działania. Bez wątpienia, wydaje mi się, że dla mnie szczęściem jest potrzeba samorealizacji i akceptacji... Szczęście — to stan bardzo krótkotrwały, nie powinno mieć charakteru roz-szku.

— Czy ma pan poczucie sukcesu zawodowego?

— W dyscyplinie, którą ja reprezentuję, uważam sukcesem — to kwestia indywidualnej hierarchii wartości. Dla każdego sukcesem jest akurat to, na osiągnięciu czego temu komus zależy. Wy-czystałem, że Giotto był niesłychanie dumny z faktu, że między rówieśnikami, pomiędzy „konkurencją” potrafił odrębnie narysować koło, najbardziej zadowolony z siebie.

Wracając do pańskich pytań — Bilans wypadł rozmaicie (w zależności od chandry, czy właśnie dobrego nastroju). Jednego nie udaje mi się pod-wziąć — spędziłem w ten sposób sporo ciekawych, żywych lat. Były okresy wspaniałe, niezapomniane. Nie „dorobiłem się” na tym — całym „interesie” nie zostałem nikim innym niż byłem na początku... Byłem w wielu miejscach, poznalem wspaniałych ludzi, zaznałem wiele serdeczności i wiele dowodów pamięci i uznania dla tego, co robię. Świadczy o tym stóg listów, które starannie „przechowywałem na starość”. Tyle słów pięknych, wzruszających, jakże rzeczowych analiz mojej pracy, dowodów podobnego odbioru świata. Mogę powiedzieć sobie: warto było!

— W dalszym ciągu istnieje zapotrzebowanie na pańskie piosenki. Krag sympatyków stale poszerza się. Coraz młodsi zalegają za kulisami, prosząc o autograf na pańskiej płytce, którą specjalnie przyniesli z domu.

— To bardzo miłe dowody pamięci. Jednakże ciągle zastanawiam się, czy nie należałoby już o-dejść. Lepiej w porę zwinąć się, zanim spostrze-że się, że się samemu pozostało na balu, pod-czas gdy bal przenosił się do innej sali...

— Dziękuję za rozmowę.

Opracowała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Fraszki niektóre

ANDRZEJ JEDRZEJEWSKI

FRASZKA NA CZASIE

Sprawdza się, zaiste, prawda o tym, że: Jak nie chce minister, „ustąpią” ministrowie.

FRASZKOPISARZOWI

Gdy fraszkopisowi przyjdzie dybać z głodu — niech to wliczy sobie... W ryzyko zawodu.

HAMLET

Są rzeczy na ziemi i niebie, o których... Winien się dowiedzieć, ktoś z prokuratury!

DO ADAMA MICKIEWICZA W ZWIĄZKU Z PROJEKTEM UMIESZCZENIA JEGO PODOBIZNY NA DWUDZIESIOTYSIĘCZNYM NOMINALE...

Z panteonu chwaty, zszedł na nominaly... By zasięgnąć rady, jak się tworzy „DZIADY”!

Opracował: JAK

„Samotność długodystansowca”

Rozmowa z LESZKIEM DŁUGOSZEM, poetą, kompozytorem, piosenkarzem i aktorem.

podgrywałem i podśpiewywałem, ale nigdy nie od-ważałem się robić tego publicznie. Nie zarządzałem się z własną produkcją. Ktoś słysząc wcześniej moje trele, zaproponował mi abym zaśpiewał na balu organizowanym przez Wydział Filologiczny UJ, którego byłem studentem. Zaspiewałem tekst Wincentego Habera pt. „Słodką przygodą piratów”. Wiersz wydrukowany był w „Świeterczyku” i miał 24 zwrotki. Śpiewając owa „Słodką przy-godę” pod akompaniament Adama Matyszkowicz, obecnego Makowicza doznałem do 12 i utknąłem... Taki był mój prawdziwy debiut... Wkrót-ce zostałem członkiem Teatru Piosenki „Hetaj-tos” — dziś zupełnie zapomnianego zespołu, ale wtedy gromadzącego wielu ciekawych ludzi: Aleksandra Moczulskiego, Wincentego Habera, Andrzeja Zarzyckiego, który później pisał piosenki dla Ewy Demarczyk, Andrzeja Zielińskiego, za-łożyciela „Skaldów” i parę innych osób. Jak na mały zespół studencki, to myśle, że parę intere-sujących ludzi tam się znalazło i odnalazło. Zaspiewałem własnej kompozycji zarzykowane na ja-kimś Konkursie Piosenek Studenckich, potem była już „Piwnica pod Baranami” i tak nie moge w sobie zważyć tej manii pisania i śpiewania pio-senek. Mam nadzieję, że już niedługo. Od mie-

— Być może coś w tym jest, ale wydaje mi się, że w mojej ponaddwudziestoletniej działalności nie jestem zbyt ekspansywny... Mogło być tego więcej...

— Jaki kierunek poszukiwań tematycznych jest panu szczególnie bliski?

— Opracowując tomik pt. „Pewnego dnia” dla PWM, napisałem zdanie, które pozwoliło sobie za-cytować: „prymat osoby przed rzeczami, etyki przed techniką, więcej być przed miłością przed sprawiedliwością”. Wydaje mi się, że te treści są łatwe do odczytania w moich piosenkach. Mimo świadomości historii (mimo tzw. lekcji), mimo klęsk i goryczy, jakie każdemu nie są obce, nie potrafię pozbyć się wiary w oczywistość tego cy-tatu. Pomimo wszystko, nie potrafię zrezygnować z przekonania, że istnieje w ludziach jakaś natu-ralna skłonność do poszukiwania wewnętrznej ja-sności... w kierunku Dobra — mówiąc patetycznie. Jeżeli nie zawsze w działaniu, to w intencji.

— Czy ma pan ulubioną maksymę życiową?

— Zapamiętałem zdanie z Montherlanta: „Ludzie,

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

dzieje się tak bez mojego świadomego udziału. Ta humorystyczna ich właściwość bierze się być może z mojej potrzeby ucieczki od tragicznej strony mojego usposobienia. Jest to swoista reakcja, ale reakcja niedobrowolna, niezamierzona.

Dobrowolne, zamierzone jest natomiast umysłowe napięcie, w jakim żyję. Uważam jednak, że tego rodzaju stanu umysłowego napięcia nie powinno się wywoływać przy pomocy środków chemicznych, takich, jak alkohol i narkotyki. Powstaniu takiego napięcia sprzyja atmosfera, jaka ja sam znajduję w poezji, muzyce, architekturze (taki Gaudi na przykład jest nadzwyczajny) w moich codziennych spacerach, w niektórych dźwiękach: w głosie końskich kopyt, w skrzypieniu toczących się wiejska droga wozów na drewnianych kołach, w odgłosie ludzkich kroków, w rozlegających się nocą krzykach, w granii świerszczy...

Inspiracji dostarczała mi zawsze rzecz najprostsza. Talerz, z którego prosty człowiek je swoją zupę, interesuje mnie o wiele bardziej niż śmiesznie bogate talerze ludzi bogatych. Sztuka ludowa zawsze głęboko mnie wzrusza. W tej sztuce — nie ma żadnych sztuczek, żadnego oszukaństwa. Zmierza ona prosto do

sedna sprawy. Zaskakuje i jest tak bardzo różnorodna. Na początku swej artystycznej drogi byłem pod silnym wpływem Van Gogha, Cezanne’a i Celnika Rousseau. Od chwili kiedy spodobali mi się Rousseau polubiłem też sztukę ludową...

„NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI” W MODZIE

Trwa moda na adaptację „Nie-bezpiecznych związków” Choder-losa de Laclos. Wersje sceniczna opracowana przez Christophera Hamptona ośmiadła widzowie w kilkudziesięciu krajach. Obecnie pracuje on nad adaptacją filmową, której realizacją podjął się brytyjski reżyser Stephen Fe-ars. W kluczowej roli markiz de Martheuil wystąpi Glenn Close, która w ub. roku otrzymała cze-szczyk nominacje do Oscara za tytułową rolę w „Fatal attraction”.

Ekipa Stephena Fearsa korzy-scia z siedziby Izby Handlu w Wersalu, która niegdyś była pałacykiem madame du Barry. Nad kolejną wersją XVIII-wiecznej powieści jednocześnie pracuje w okolicach Paryża Miłosz Forman.

PAZERNOŚĆ NIE POPLACA

Nowa ustawa o kinematogra-

fu umożliwiła instytucjom roz-powszechniania filmów przekazywanie kin w prywatne ręce agentów. Niestety, warunki, jak-że zaproponowano kandydatom na agentów sprawiły, że wszyscy wycofali się. Złagodzono więc zasady, obiekty przekazywane są agentom w użytkowa-nie nieodpłatnie za pierwszy rok, tak jak i aparaturę pro-jeekcyjną wypożycza się nieod-płatnie na ten czas, zapewnia-jąc sobie 25 proc. zysku od bi-letów.

„Dlaczego to, co oplaca się prywatnym osobom — zapytuje dziennikarz PAP — nie oplaca się OIRF? Przecież ulgi finan-sowe skończą się po roku, a więc agent będzie ponosił pełne koszty prowadzenia placówki. Okazuje się, że choć pełne, to jednak zdecydowanie mniejsze. Jedną z najwyższych pozycji w wydatkach OIRF na prowadze-nie kin są koszty osobowe, czy-li płace, u agentów zaś ta pozycja jest ograniczona do mini-mum.

„Dlaczego to, co oplaca się prywatnym osobom — zapytuje dziennikarz PAP — nie oplaca się OIRF? Przecież ulgi finan-sowe skończą się po roku, a więc agent będzie ponosił pełne koszty prowadzenia placówki. Okazuje się, że choć pełne, to jednak zdecydowanie mniejsze. Jedną z najwyższych pozycji w wydatkach OIRF na prowadze-nie kin są koszty osobowe, czy-li płace, u agentów zaś ta pozycja jest ograniczona do mini-mum.

„Dlaczego to, co oplaca się prywatnym osobom — zapytuje dziennikarz PAP — nie oplaca się OIRF? Przecież ulgi finan-sowe skończą się po roku, a więc agent będzie ponosił pełne koszty prowadzenia placówki. Okazuje się, że choć pełne, to jednak zdecydowanie mniejsze. Jedną z najwyższych pozycji w wydatkach OIRF na prowadze-nie kin są koszty osobowe, czy-li płace, u agentów zaś ta pozycja jest ograniczona do mini-mum.

„Dlaczego to, co oplaca się prywatnym osobom — zapytuje dziennikarz PAP — nie oplaca się OIRF? Przecież ulgi finan-sowe skończą się po roku, a więc agent będzie ponosił pełne koszty prowadzenia placówki. Okazuje się, że choć pełne, to jednak zdecydowanie mniejsze. Jedną z najwyższych pozycji w wydatkach OIRF na prowadze-nie kin są koszty osobowe, czy-li płace, u agentów zaś ta pozycja jest ograniczona do mini-mum.

„Dlaczego to, co oplaca się prywatnym osobom — zapytuje dziennikarz PAP — nie oplaca się OIRF? Przecież ulgi finan-sowe skończą się po roku, a więc agent będzie ponosił pełne koszty prowadzenia placówki. Okazuje się, że choć pełne, to jednak zdecydowanie mniejsze. Jedną z najwyższych pozycji w wydatkach OIRF na prowadze-nie kin są koszty osobowe, czy-li płace, u agentów zaś ta pozycja jest ograniczona do mini-mum.

Jeszcze tylko dwóch, panie doktorze — policjant przyłożył lekko dwa palce do daszka, manifestując wobec kogoś spoza władzy więziennej służbistość najwyraźniej nonszalancką.

— Niech ich pan wprowadzi pojedynczo — powiedział. Był całkowicie wyprany fizycznie i nerwowo. Odruchowo spojrzął na zegarek. Trzecia. Trzecia w nocy. Od południa poprzedniego dnia to już pełny piętnastu godzin beznadziejnie krętych wysiłku.

Niemcy zarządzili, by każdy ze skierowanych na wysiedlenie był przebadany przez lekarza. Niektórzy w tym fakcie doszukiwali się jakiegoś optymistycznego prognozy. Wiedzieli, że optymizm to niczym nie usprawiedliwiony. Co miał powiedzieć wszystkim tym nieszczęślikom, którzy wpatrywali mu się w oczy, milcząc, wstrząsając odczucie, która oznaczający dla nich życie? Niechże polegała na tym, że trzykrotnie bodaj ostatnimi czasy Niemcy zażądali od władz getta, by do wysiedlenia skierowano wyłącznie osoby zdrowe i sprawne fizycznie. Okazało się później, że grupy tych Żydów wysyłano do pracy gdzieś poza miastem, a nawet w ogóle daleko od Łodzi. Z drugiej strony władze niemieckie coraz częściej zapowiadały, że w getcie pozostaną tylko ci, którzy zdolni będą do pracy w resortach. Kiedy więc ogłoszono, że ma być wyładowano, o kogo władzom niemieckim chodzi. Czy o ludzi zdolnych do pracy poza gettem, czy o ludzi niezdolnych do pracy w getcie? Niemcy nie kwapili się, by swoje zamiary wyjaśnić, a jakby los wysiedlonych w ostatnim wypadku, niemiłosiernie było się domyślić. Lekarze asystujący przy wysiedleniu, oceniający stan zdrowia i sprawność przeznaczonych do wysiedlenia, byli jedynie kamulazem. Zresztą sami często nie wiedzieli, czy kwalifikując badanego jako niezdolnego do pracy fizycznej, albo chorego, ratują go przed wysyłką do jakiegoś katorżniczego pracy poza gettem, czy też skazują na wysiedlenie, a więc na śmierć. Po odjeździe transportu wiadano, kogo Niemcy wybrali, a kogo zostawili, choć bynajmniej nie byli w tej mierze pedantami. Najważniejszą dla nich rzeczą było umieszczenie w celiach samochodów ciężarowych założonej z góry liczby wysiedlonych. Rachunek musiał się zgadzać. Jakosć — była sprawa drugorzędna. Zresztą ludność getta łatwo poddawała się tej metodzie. Przed prawdą o losie obywateli wielkości wysiedlonych broniła się przy pomocy plotek i pogłoszek mówiących o istnieniu gdzieś w Rzeszy, gdzieś pod Krakowem, gdzieś w Rosji obozów pracy, do których kieruje się wszystkich wysiedlonych. Niewykluczone, że sami Niemcy rozpuszczali tego rodzaju pogłoski, nie chcąc narażać się ze strony wysiedlanych na jakieś rozpaczyliwie akty samobrony. O takich aktach mowy zresztą nie było. Między katami a ofiarami istniała dziwna, niepisana umowa. Spokój w getcie był dla zarządzających nim władz niemieckich argumentem pozwalającym bez specjalnych obaw utrzymywać nadal dające gigantyczne zyski jedno z ostatnich skupisk żydowskich w Polsce. A o to tylko Żydom chodziło. Spokój dawał im szansę na przetrwanie. Pozwalał im liczyć na cud...

„Organizacja miała na szczęście własne dokładne źródła informacji. Wiedziała, jaki jest kierunek każdego wysiedlenia, a więc tego — tego — też, i dlatego znalazł się tutaj. Inaczej mówiąc, ktoś gdzieś załatwił, by ktoś gdzieś wytypował właśnie tego i tego drugiego lekarza do tej obrzydliwej roboty. Mieli ratować przed wysiedleniem niektórych spośród wyznaczonych do transportu przez władze żydowskie, kwalifikując ich jako zdolnych do pracy fizycznej w warunkach gettowych. Innych zaś... Nawet w myślach nie chciał formułować tego dokładnie. Chociaż przynajmniej przed sobą mógł się usprawiedliwić faktem, iż niezależnie od tego, czy znalazłby się tutaj, czy nie, i tak przeznaczono by ośmiuset ludzi na samochodową śmierć... Nie usłyszał, kiedy drzwi się otworzyły i do więziennej celi zamienionej na gabinet lekarski policjant kogoś wprowadził. — Dzień dobry — mężczyzna, który stał w drzwiach, powiedział to po niemiecku. — Dzień dobry. Proszę bliżej. Nazwisko pana? — Kohen. — Imię? — Albert. — Machinalnie wypełniał rubryki w powielanym kwestionariuszu. — Wiek? — Czterdzieści osiem lat. — Z jakiego pan transportu? — użył terminologii stosowanej wobec przesiedlonych z zachodu. — Z praskiego. — Niech się pan rozbierze. Kiedy mężczyzna sięgnął z siebie zniszczoną marynarkę z dobrej wełny, koszulę i spodnie, przyłożył mu do piersi stetoskop. Nawet nie musiał się przyglądać badanemu, by domyślić się ciała wyniszczonego, wychudzonego, z pokrzytą płamami skórą i zwiotczalnymi mięśniami, z wkleśniętą klatką piersiową i prawdopodobnie obrzękniętymi z głodu nogami. — Przepraszam, panie doktorze... — głos mężczyzny brzmiał miękko i miał miłe, dzwienne brzmienie. — Zaczyna się — pomyślał. Odłożył słuchawkę, by jednak przyrządzić się dokładnie stojącemu przed nim mężczyźnie. Był gładko ogolony. Nosił binokle. Zza szkieł wpatrywały się w niego duże, czarne, myślowe oczy, które zupełnie, ale to zupełnie nie pasowały do wygolonej na zero głowy. — Słucham pana. — Czy może mi pan udzielić uczciwej odpowiedzi? — Co to znaczy? — zapytał zniecierpliwiony. — To znaczy, czy stać pana na powiedzenie mi prawdy? — Było to prowokujące. Zamierzał odpowiedzieć ostro, ale opanował się. — Spróbuję.

Przez chwilę w celi zapanowało milczenie. Spoglądali na siebie nic nie mówiąc. Te czarne, duże, niepokojące oczy. Doktor Mabuze — przypomniał sobie ni stąd ni zowąd, film sprzed lat. Nie, Student z Pragi — z Conradem Veidem. Z Pragi...

— Czy my jedziemy do pracy, czy na śmierć? — Drgnął. Przez kilka chwil milczał, szukając odpowiednich słów. — Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

— Pan wie, doktorze. Pan przecież wie kogo Niemcy skierują do wysiłku, a kogo zostawia w getcie. Opierają się przecież na opinii lekarzy. — No to co z tego? — rzucił arogancko to pytanie i od razu tego pożałował. — Bo widzi pan, panie doktorze, ja wiem. Cały ten transport jedzie na śmierć. Może to dziwne, ale chciałem to usłyszeć od pana.

— Dlaczego to takie ważne, abym ja panu...? — Kiedy zaczął mówić, zorientował się, że potwierdza tym samym przypuszczenie stojącego przed nim mężczyzny. Było to z wielu względów nieostrożne, a nawet niebezpieczne. Niemcy w takich wypadkach nie patyczkowali się i już kilkakrotnie zapowiadali, że włączają do transportu każdego, kto naruszy ustalony

ARNOLD MOSTOWICZ

Przedostatni

przez nich regulamin. Dodał więc szybko: — Gdyby cały transport szedł na śmierć nie rozdzielano by wśród wyznaczonych na wyjazd (zaakcentował to „na wyjazd”) — dodatkowego przydziału chleba i kiełbasy.

— To przekonuje. Czterdzieści deka chleba i pięć deka kiełbasy — w głosie mężczyzny zabrzmiała nie ukrywana ironia. — Znowu zamilkł, patrząc na siebie nieprzyjaźnie.

— Tak... Jeśli pan pozwoli, to ja teraz z kolei chciałbym pana o coś zapytać.

— Proszę bardzo.

— Kim jest pan z zawodu?

— Z zawodu? Do wczoraj byłem tu śmieciarzem. Upamiętnię... Kiedyś, o ile w ogóle to kiedyś istniało, miałem stopień adiunkta na Uniwersytecie Praskim. Jestem doktorem filozofii.

— Publikował pan jakieś prace naukowe? — Mężczyzna rozejrział się dookoła.

— O dziwne rzeczy mnie pan pyta... W tych okolicznościach. Co to ma za znaczenie? Ale jeśli panu to jest potrzebne dla jakichś powodów... Zawsze szanowałem cudze zainteresowania. Opublikowałem kilka prac o Schopenhauerze. A doktoryzowałem się z Marxa Nordauna.

— Nie wiedział, jak ma powiedzieć to, co chciał powiedzieć.

— Jeśli... Gdyby... No, jakby zależało panu, aby zostać w getcie i ewentualnie uniknąć wysiedlenia... — natychmiast wyczuł, że żle to sformułował. W ogóle wdał się w niepotrzebna rozmowa.

— Nie chcę tu zostać... Nie chcę uniknąć wysiedlenia.

— Nie rozumiem... O co panu chodzi? Przecież to pan zaczął to rozmowę. Czy pan ma w getcie jakąś rodzinę? Żonę? Dzieci?

— Nie mam żadnej rodziny. Jestem samotny. Moja matka w momencie wysiedlenia z Pragi popełniła samobójstwo.

Rozmowa denerwowała go coraz bardziej. Był zmęczony. Zły na siedzącego naprzeciwko mężczyznę i jeszcze bardziej zły na siebie. Wstał, zrobił kilka kroków od jednej brudnej ściany do drugiej, obok której stała przykryta ceratą kanapka, mająca tej celi nadać charakter gabinetu lekarskiego... Wzięcie nosiło nazwę „centralnego”. Może w ten sposób zapokojo ono jakąś manię wielkości. Ponownie usiadł. Milczenie przerwał mężczyzna.

— Pan uważa, że moje pytanie nie miało sensu? A to, że pan siedzi tutaj i wysyła ludzi na śmierć, ma sens?

— Pan dobrze wie, że nie wysyła ludzi na śmierć!

— Jeżeli łaska... A mnie nie wysyła pan na śmierć?

— Czy muszę panu tłumaczyć, że to Niemcy ustalają listę osób przeznaczonych do wysyłki?

— W zależności od lekarskich wniosków.

— Jeśli pan tyle wie, to chyba rozumie pan, że niezależnie od lekarskich wniosków czy ustaleni Niemcy wysyła, skierują do wysyłki określoną liczbę mieszkańców getta. Poza tym proponowałem przecież, że uznaję pana za zdolnego do pracy fizycznej, a pan odmówił...

— Można powiedzieć, że sam siebie skierowałem na wysiedlenie i na śmierć. Czy pan nie zastanowił się, panie doktorze, dlaczego odrzuciłem pańską propozycję?

— Skąd mógł wiedzieć...

— Niech pan posłucha. Odmówiłem dla dwóch przyczyn. Widzi pan, tutaj, w getcie zdechne, — na tyfus, z głodu, na gruźlicę... Każda z tych śmierci jest obrzydliwa. Zdażyłem się im wszystkim przyjrzeć. Wolę umrzeć zagazowany. Do końca, do ostatniej chwili będę w pełni rozporządzał swoją wolą... A w ostatniej minucie zrobię to, co zrobiła moja matka. Jestem do tego przygotowany. A obrzydliwa śmierć gettowa może mi takie świadome postępowanie uniemożliwić... Czy pan jest wierzący?

— Nie.

— Ja też nie... Ale jestem ciekawy, jak to jest... Zamiast więc umrzeć w barłogu, gnijąc z brudu, wypływając z siebie rozpadające się płucą, będę starał się jak najdłużej mieć otwarte moje żydowskie oczy, by to przejście w nicie, jakie zaplanowali Niemcy dla Alberta Kohena z Pragi, odbyło się w sposób możliwie godny. Już dawno doszedłem do wniosku, że jest to w każdym razie godniejsze niż umrzeć śmiercią, która ma dyżur tutaj, w getcie...

Mężczyzna zamilkł. Widać było, że żałuje, iż się uniósł.

— A ta druga przyczyna?

— Dziwię się, że jej pan się nie domyślił z przebiegu tej naszej rozmowy. Przecież jeśli mnie nie wysyłacie, to ktoś inny znajdzie się na moim miejscu. Samochody nie odjadą puste. Ilu nas potrzeba, by je wypełnić? Pięćuset? Tysiąc? Nie chcę, nie życzę sobie, by ktoś umierał za mnie!

— U Schopenhauera pan się chyba tego nie nauczył? — zapytał zgryźliwie i znowu natychmiast tego pożałował.

— Nie, panie doktorze, u Greków... Tylko kiedy się tego nauczyłem, nie przypuszczałem, w jakich okolicznościach przyjdzie mi z tych nauk korzystać.

Milczenie. Cisza. Przez ściany celi dochodził

z daleka głuchy szum zgromadzonych w innych pomieszczeniach ludzi.

— Skończmy tę rozmowę — powiedział cicho, jak gdyby przynajmniej się do porażki.

— Oczywiście, to zależy od pana... Tylko jeszcze, jeszcze jedno... wie pan, dlaczego zapytałem pana, czy ten transport jedzie na śmierć? Chciałem z pańskiej odpowiedzi, z jej tonu, albo może z pańskich oczu zorientować się, czy pan z całą świadomością robi to, co robi... Pan wie, że transport jest skazany... Tylko błagam, niech pan nie mówi, że wszyscy jesteśmy skazani... Chciał to powiedzieć.

— To za banalne... Nie wypada. Otrzymał pan polecenie, a może nawet rozkaz. Pozkazał to rozkaz. Życzę panu, aby nie musiał pan więcej w życiu wykonywać podobnych rozkazów. Ale nawet takie polecenie pana nie usprawiedliwia. To, że pan wie, że jak iś czeka wysiedlonych, jednych pozostawia w getcie, a wysyła na śmierć drugich, to, proszę pana, jest niewybaczalne!

Milczenie. Chyba padną tu ze zmęczenia — pomyślał, a głośno powiedział: — Skąd pan o tym wie?

— Takie rzeczy się wie... A może — roześmiał się — ludzie przed śmiercią posiadają zdolność lepszego widzenia i rozumienia niż za życia... Nie, nie. Mówiąc poważnie, tam w poczekalni siedziało kilku pańskich... Kilku z pańskich, jak ja tam, organizacji. Czuli się na tyle pewnie, że z ich rozmowy można się było wszystkiego domyślić... Cóż, młodzie! Zresztą naprawdę bardzo mił i sympatyczny...

Zachnął się i chciał mu przerwać.

— Niech się pan uspokoi. Nie wydam pana. Gdybym to zrobił, uczyniłbym to wyłącznie dla samej przyjemności donosu... Korzyści z tego nie miałbym żadnych... Pan jest jak Bóg. Jednym życiem, drugim śmiercią. Według listy. Skoczył na równe nogi.

— Pan jest bezczelny! To wszystko nieprawda! Zresztą...

— Jak to nieprawda? Przecież i mnie pan to proponował?

Milczenie. Piasek pod powiekami. Zza okna celi głośno rozmowy w języku niemieckim. Głowa ciężko jakby przyciskała do szyi sufitem.

— Panie Kohen... — poprawił się — panie doktorze Kohen... Czy nie zdarzyło się panu działać w imię pewnych wyższych racji, które nakazywały stosować inne reguły moralne?

— Wyższe racje w posyłaniu ludzi na śmierć? — Nie, na Boga, nie! Racje nakazujące zostawić w getcie ludzi specjalnie wartościowych.

To zabrzmiało tępo i fałszywie. Szczególnie w obliczu postawy tego człowieka.

— Pan to ocenia?

— Nie, nie ja. Ale opieram się na zdaniu ludzi, na opiniach, w które nie mam powodu powątpiewać.

— Ciekawi mnie, jak to się ocenia. Przy pomocy jakich odczynników sprawdza się wartość ludzi, których pan ma swoim świadectwem ratować, i jak się porównuje ich wartość z wartością tych ludzi, których pan zamiast nich kieruje na śmierć... Nie wiem, czy pan przeżyje wojnę, Niemców, getto, ale nie zazdroścąc panu. Pan, wydaje mi się, jest uczciwym człowiekiem. Do końca życia będzie się pan zastanawiał, czy aby nie popełnił pan żadnej pomyłki — ratując jednych kosztem drugich... Bo usprawiedliwiał siebie nieomyślnością innych, którzy te listy ułożyli...

Drzwi się otworzyły i służbiste się meldując stanął w nich policjant, rześki, jakby sobie odważył miłą drzemkę.

— Czy mogę odprowadzić badanego? — Proszę jeszcze poczekać.

Policjant trochę zdziwiony spojrzął na ciągle jeszcze rozebranego mężczyznę i wzruszając ramionami wyszedł z celi. Teraz i on spostrzegł, że mężczyzna jest prawie nagi. Był nagi i jakby dumny ze swej nędznej nagości, gotowej na spotkanie z losem, który sobie wybrał.

— Wie pan, jestem pewny swoich racji, inaczej bym tu zresztą nie siedział. Ale nie czuję się na siłach, by... Zresztą pan do takiej dyskusji jest z pewnością lepiej przygotowany.

— Możliwe. Natomiast z całą pewnością wiem, że na słuszność moich argumentów złożyły się tysiące lat kultury i cywilizacji.

Nagle dostrzegł przed sobą szansę.

— Czy nie sądzi pan, że to wszystko, co się dookoła dzieje, świadczy, iż te tysiące lat kultury i cywilizacji zostały zeznaczone, zbrukane... Ze w tej walce o przetrwanie zdadzą się na tyle, co zdada we współczesnej wojnie?

— Może i ma pan rację, ale co pan proponuje w miejsce kultury, która nie obroniła Europy przed zdziczeniem?

— Myślę, że inną moralność... Inne wartości... Nie, może te same wartości, tylko inaczej broniące...

— Dajmy temu spokój. Nie widzi pan, że ten pojedynek na słowa w tym miejscu i w takiej sytuacji jest śmieszny? — Czy mogę się ubrać?

— Tak, tak, oczywiście.

Patrzył na leżący przed nim kwestionariusz. Tego człowieka mógł albo wbrew niemu ratować, albo wbrew sobie posłać na śmierć. Zanim uczynił to drugie, spojrzął na ubierającego się szybko mężczyznę. Ten dostrzegł to i w jego wzroku zapaliła się jak gdyby prośba o wybaczenie.

— Zegnam, panie doktorze.

— Chwileczkę... Mam jeszcze jedno pytanie. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby mi pan na nie odpowiedział... Czy nie ma pan żadnych wątpliwości co do losów całego getta?

Tamten wyczuł pułapkę. Od drzwi podszedł z powrotem do stołu i ważąc każde słowo powiedział:

— Rozumiem. Gdyby usłyszał pan ode mnie... Gdybym panu powiedział, że nie mam wątpliwości co do końca tej imprezy... To znaczy, że jestem pewien, iż wszystkich tutaj czeka taki sam los jak mnie i ten... i ten transport wysiedlonych, wówczas moja decyzja byłaby tylko przyspieszeniem tego, co nieuchronne. Nie, nie zrzucę z pana ciężaru odpowiedzialności za to, co pan tutaj robi, doktorze. Nie można wykluczyć, że Niemcy nie zlikwidują tego getta. Może nie zdają? Może zechcą je zachować dla jakichś tam powodów? Przecież tylko na to możemy — powtórzył wyraźnie to słowo, dając do zrozumienia, że jego to już nie dotyczy — możecie liczyć.

Przerwał mu. — Gdyby pan znajdował się w getcie w chwili, kiedy... kiedy przyjdzie moment jego likwidacji, to jak by pan postąpił? Próbowalby pan uciec? Rzuciłby się pan z gołymi rękami na esesmanów?

Milczenie.

— Nie wiem... Chyba ani jedno, ani drugie. Przecież mam zapewnioną rychłą śmierć dzięki jednej małej, łatwej do ukrycia pastylce...

— A może ci, których dzisiaj ratowałem kosztem innych, rzucił się, właśnie oni? — Z gołymi rękami? A może, jeśli getto przetrwa, jeśli oni w jakiś sposób przeżyją... to w przyszłości, w przyszłych warunkach będą bardziej potrzebni?

Milczenie. Przeciagające się milczenie.

— Powiem panu prawdę, panie doktorze... Pan będzie tym zszerszony, ale jest mi to całkiem obojętne. Może tu tkwi najistotniejsza między nami różnica. Pan dzieli ludzi według swoich jakichś tam kryteriów... Stawia pan stopnie. A jeśli idzie o mnie, to nie, nie uwolnię się od ciężaru, jaki stanowiłaby świadomość, że ktoś kiedyś postanowił zostać za mnie na śmierć... Zarówno śmieciarz Albert Kohen z getta, jak i zdolny filozof Albert Kohen z Pragi nie są godni tego, by ktokolwiek za nich umierał...

Wydawało mu się, że może jeszcze coś dopowiedzieć.

— Czy nie sądzi pan, że nasze argumenty to dwie strony tego samego dziedzictwa duchowego?

Zabrzmiało to fałszywie. Nie podniósł oczu znad leżącego przed nim kwestionariusza. Słyszal, jak tamten otwiera drzwi i coś jeszcze od progu mówi. Docierało to do niego jakby głos z innego świata, innej przestrzeni.

— Powiedzmy, że pan przeżyje getto... Byłoby to cud... I pańskie dzisiejsze decyzje, może nie tylko dzisiejsze, będą chwalone... Może nawet przeżyje ktoś z tych przez pana uratowanych kosztem innych... Będzie pana wielbił, nasłucha się pan komplementów... A ci, których wysłano za innych na śmierć, nie wniosą żadnych pretensji, żadnych pretensji, żadnych pretensji...

Uniósł głowę. W celi nikogo nie było. Nie-dobrze — pomyślał — mając...

W drzwiach stanął policjant. Tak samo nonszalancko jak poprzednim razem przyłożył dwa palce do daszka.

— No i ostatni dzisiaj, panie doktorze. Chwała Bogu!

C.D.N.

Powyższy odcinek jest kolejnym fragmentem książki Arnolda Mostowicza „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż”, która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbelecryzowane wspomnienia autora z czasów kiedy autor był więziony w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych III Rzeszy.

Byla już połowa września i ani śladu azylu. „Kultura” opublikowała wypowiedź Jana Ducha, zatytułowaną „Krzyk z mroku”, i Duch miał nadzieję, że to przeważnie szale, zmniejszy opór ostrożnych w Komitecie do Spraw Uchodźców i poprosi sprawę u Sekretarza. Duch i Georgia byli już wezwani przez niego na rozmowę. Na biurku leżały dwa dość grube tomy zeznań i opinii. Od interpretacji tego materiału zależało, czy Duchowie otrzymają azyl.

Oprócz tego przed sekretarzem, a właściwie Wysokim Komisarzem Komisji do Spraw Uchodźców przy ONZ — bo tak brzmiał jego pełny tytuł — leżałateczka, której zawartości pan Uxkull nie starał się ukryć.

Korzystając z pomocy Merly, jako tłumacza, wyjaśnił:

— Tateczka zawiera donosy, które na państwa, a szczególnie na pana Ducha, wpłynęły z różnych stron świata. Są to listy podpisane pełnymi nazwiskami, a także anonimowe. Co do tych, które są podpisane, wcale nie mamy pewności, czy nazwiska są prawdziwe. Jednak musimy każdy z nich brać pod uwagę. Proszę zrozumieć, panie Duch, że cieszył się pan w swoim kraju popularnością i pańska działalność tam nie była obojętna wielu osobom. Nie jest też obojętna nam, ponieważ azyl polityczny przysługuje komuś, kto swoją działalnością udowodni, że jest przeciwnikiem ustroju czy rządu swego kraju. Pan dotychczas nie przejawiał antyrządowej ani antyustrojowej działalności. Przeciwnie, korzystał pan z wszystkich przywilejów, jakie władza mogła panu zaoferować. Pańskie warunki życia w żadnym przypadku nie przylegały do sytuacji przeciętnego Polaka. Miał pan własny apartament, doskonały zachodni samochód i dom letni nad jeziorem. Podróżował pan po świecie na koszt wydawców, którzy są przecież wydawcami pod nadzorem władz państwowych. Wydawano pana książki w setkach tysięcy egzemplarzy, szczególnie te książki, które miały charakter w znacznym stopniu polityczny, w tym znaczeniu, że niedużo wcześniej popierały politykę partii komunistycznej. Publikował pan wiersze satyryczne, wymierzane przeciw ośrodkom stawiającym zapórę działaniom reżimu w Polsce, ośrodkom takim, jak radio Free Europe... Panie Duch, istnieją bardzo poważne powody, dla których musimy, niestety, znowu się na zwłokę, proponowaną przez Komisję. Mam nadzieję, że otrzyma pan azyl, mimo uszusku, ale sprawa musi być zbadana niesłychanie dokładnie.

— Proszę postawić mi konkretne zarzuty — powiedział Duch — postaram się odpowiedzieć na nie zgodnie z prawdą. Nie mogę brać odpowiedzialności za to, co pisało o mnie i mówią ludzie, których nie znam, i którzy mnie nie znają. Nie wiem zresztą, co pisało i mówią, bo nie jestem o niczym informowany.

— Pan Merlo w tajemniczy pan z grubsza w treść akt, a kiedy spotkamy się następnym razem, będę pana prosił o ustosunkowanie się do głównych zarzutów.

Po rozmowie z komisarzem Merlo zaprosił Ducha do restauracji. Nie był zbyt szczodry, stanął więc przed nim skromny posiłek i dwa kieliszki wina. Ale nie o biesiadę teraz chodziło.

— Ma pan wielu wrogów, panie Janie — powiedział przyszywanym głosem Merlo, rozglądając się przy tym konfidencjonalnie, jak to było w jego zwyczajach.

— Jakich wrogów? Nie jestem do nikogo wrogo nastawiony, dlaczego ktoś miałby...

— Gdzie pan był w marcu sześćdziesiątego ósmego?

— W Niemczech. We wschodnich, oczywiście. Wyjechałem na początku stycznia, wróciłem w końcu maja.

— Więc nie brał pan bezpośredniego udziału... — pokiwał Merlo z zadowoleniem głową. — To jest dobry argument.

— Bezpośredniego udziału w czym?

— W wypędzaniu Żydów z Polski — wyrzucił z siebie Merlo z wysiłkiem i zacerwieńnięciem się, jakby to temu stawiano ten zarzut.

Jan Duch oniemiał. Przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Napił się wina, potem wody mineralnej.

— Zaraz. Chwileczkę. Panie Stanisławie, niech mi pan powie szczerze, o co tu w ogóle chodzi?

— Pan chyba zdaje sobie sprawę — mówił Merlo jeszcze cichszym głosem, pochylając się nisko nad stołkiem — że Żydzi są bardzo mocni. Oni są wszędzie, proszę pana. Nawet pan nie przypuszcza... Nie pan nie może wiedzieć, człowiek spoza żelaznej kurtyny nie ma pojęcia o potęgach tej grupy, o ich sile opinotwórczej. Wystarczy, że jeden z nich powie drugiemu, że jest pan antysemitą, i po tygodniu będzie o tym wiedział cały świat. Gdziekolwiek pan się pojawił, czy w Paryżu, czy w Niemczech, czy w Nowym Jorku, wszędzie zatrząsa panu drzewi przed nosem. Owszem, może pan egzystować w jakimś mało znaczącym zawodzie, ale jako pisarz, moim zdaniem, jest pan załatwiony.

— Jak to? Nie rozumiem. Niech pan mówi dalej.

— Napłynęły listy, wiele listów, z całego świata. Panie Janie, ci wszyscy profesoro wie, literaci, malarze, krytycy, reżyserzy i inni fil mowcy, dziennikarze, sam pan ich znał prze-

cież... Wszyscy, którzy wyjechali z Polski, i zdążyli się już usadowić w tutejszym świecie, teraz na wiadomość, że pan poprosił o azyl, zapłoneli gniewem i oburzeniem.

— Mówi pan o tych, co wyjechali do Izraela?

— Tak, tylko że oni do Izraela nie pojechali. Mały procent tam wyładował. Reszta sprytnie uplasowała się w krajach Europy i w Ameryce. Wcale się im nie dziwię. Ile mieliście tam Żydów, panie Janie?

— A bo ja wiem? Co mnie to obchodzi... Czego oni ode mnie chcą, panie Stanisławie?

— Prasa na całym świecie i radio podały wiadomość, że pan poprosił o azyl. To się rozniosło błyskawicznie. Oni uważają, że pan był jednym z ideologów grupy partyzantów, że był pan osobistym przyjacielem generała Mocząra...

— Nigdy tego człowieka nie spotkałem.

Merlo uniósł brwi do góry. Na jego twarzy odmalowało się uczucie nieprzyjemności, które dąłoby się oddać słowami: „no, już komu, jak komu, ale mnie to bracie nie powinieś kłamać...”

— Żebym tu skończył, panie Stanisławie, nie spotkałem nigdy tego Mocząra.

Duch nie potrafił znaleźć lepszego zaklęcia niż „żebym tu skończył”, ale jakoś tam trafił do Merly.

— Naprawdę nie znał go pan? Nie było przyjaźni między wami?

— Jak mogła być przyjaźń, skoro go nie znałem?

— Pańska publicystyka w tamtym okresie

Orły, hieny i węże

wyrażała lansowaną przez moczarystów linię. Teraz ci poszkodowani upadają, że był pan na jego usługach.

— Rozumiem. Stracili możliwość pobytu w kraju, do którego się przyzwyczaili. Niech mi jednak udowodnią, czarno na białym, że występowałem przeciwko nim. Niech pokażą palcem fragmenty moich artykułów, które w jakikolwiek sposób nawołują do wysiedlenia ich z Polski. To absolutnie nieporozumienie...

Jan Duch bronił się, jak mógł, ale była to walka z wiatrakami. Wiatraki znajdowały się poza jego zasięgiem, gdzieś tam w mroku zachodniej cywilizacji, wiatraki już dość głęboko wrosnięte korzeniami w nową glebę. Te wiatraki miały wiatr, mocno i szybko, ten wiatr miał porwać biednego Ducha i odrzucić go na bezpieczną odległość, najlepiej znów poza żelazną kurtynę.

Znam to, znam! O, jak dobrze to znam! Przeżywałem w owym czasie podobne kłopoty. Jan Duch nie był wyjątkiem. Mój tomik reportaży pt. „Raport z Monachium”, wydany w 1967 roku, spopularyzowany poprzez telewizyjny monodram znakomitego Ryszarda Filipskiego, stał się przyczyną gwałtownej nienawiści osób pochodzenia żydowskiego do mojej skromnej osoby. Zupełnie nie wiadomo, dlaczego — reportaż bowiem wymierzony był przeciw odradzającą się w Niemczech ruchom faszyzmem, a przecież to Żydzi byli jedynymi z najbardziej poszkodowanych ofiar faszyzmu! Jan Duch proponował wskazanie antysemickich ustępów w jego artykułach, ja też mogłem o to samo prosić: gdzie w tekście „Raportu” znajduje się choćby jedno zdanie, emitujące nienawiść do Żydów, nawołujące do wydalenia ich z Polski? W swoim zacietrzewieniu dawni właściciele Polski Ludowej rzucili się na mnie, tak samo, jak rzucili się na Jana Ducha i na wielu innych ludzi z kręgów piersarsko-dziennikarskich.

Pomyślmy: w owym czasie w Polsce zamieszkiwało — jak obecnie wyczytałem w prasie — około trzydziestu tysięcy Żydów. Od czasu zakończenia wojny osoby te zajmowały wysokie stanowiska w aparacie partyjnym, w KC, w Biurze Politycznym, w ministerstwach i zarządach, nie mówiąc już o aparacie bezpieczeństwa, który na szczeblach zarządzania w całości tym ludziom podlegał. Większość redaktorów w gazetach, tygodnikach i miesięcznikach — to byli Żydzi. Cały film w Polsce oparty był przez nich, szkolnictwo artystyczne i wiele innych dziedzin związanych z masowym przekazem: estrada, telewizja, radio... Pomyślmy: dzięki polityce i nakazowi Stalina Żydzi w okresie stalinu nie rzadzili Polską! Tworzyli tak silną grupę, że nawet po śmierci Stalina, po październiku 1956 roku, po ujawnieniu zbrodni Światły, Romkowskiego, Fejgina, Brystygierowej i całej masy krwawych sadyzów — nawet po ujawnieniu sporej części ich zbrodni, pozostali trzymali się mocno, zasiadając jak gdyby nigdy nie na stołkach ministrów, członków KC i wciąż władając tym głupim, niefrasobliwym społeczeństwem Polaków...

I oto w marcu 1968 roku, kiedy rozsądni ludzie próbowali przywrócić należyta proporcję (bo gdzie jeszcze na świecie 30-tysięczna mniejszość mogłaby być dopuszczona do dyktatorskiego rządzenia prawie czterdziestomilionowym narodem?) — kiedy próbowali odsunąć od władzy tę skompromitowaną i skorumpowaną mniejszość, to wtedy podniósł się krzyk na ca-

ły świat, krzyk uciśnionych, odsuwanych od władzy nad Polakami stalinowskich najemników!

Wyjechali obrażeni, odrzucając propozycje objęcia innych stanowisk, zgodnie z ich zawodowymi kwalifikacjami. Pewnie, że łatwiej i przyjemniej wykonywać „zawód” sekretarza jakiegoś komitetu niż zawód, który w końcu miesiąca przynosi określoną sumę na utrzymanie rodziny, bez przywilejów, bez służbowego samochodu z kierowcą. Jakież ci zawodowi zarządcy innego narodu mieli kwalifikacje? Okazało się, kiedy już zamiast do swego państwa Izrael, znajdującego się w trudnych warunkach, pojechali do Francji, Szwecji, Anglii, Ameryki — okazało się wtedy, że każdy z nich jest znakomitym filozofem, wspaniałym ekonomistą, profesorem od wszystkiego, wtórcą niedocenionym u komunistów (komuniści to byli ci, którzy zostali w kraju, a więc Polacy), byli znawcami literatury słowiańskiej, niezastąpionymi socjologami, specjalistami od problemów rodzinnych — słowem, kilkanaście tysięcy geniuszy w każdej możliwej dziedzinie. Tylko dlatego, mając tyle geniuszy, ta biedna Polska była tak biedna?!

Merlo starał się wytłumaczyć Janowi Duchowi jasno:

— Panie Janku, pan nie wie, na co się pan naraża. Powiem prawdę, na pana miejscu w ogóle bym z Polski nie wyjeżdżał. Miał pan tam swoją pozycję, mógł pan podróżować, o co więcej chodziło?

— O to, żeby stać się kimś innym. Żeby mieć dwa osobne życia, biegnące równoległe.

— Nie rozumiem — powiedział Merlo. — To jest już pańska sprawa. Mnie chodzi o to, że gdzie pan nie pójdzie, to pana przepędzą. Pan wie, że dostałem wczoraj propozycję dla pana

z pewnego ośrodka polonijnego w Anglii, żeby pana przysłał na występ poetycki? Ale razem z tym zaproszeniem, w drugiej kopercie przysłało anulowanie tego zaproszenia.

— Dlaczego?

— Ze względu na to, że komitet organizacyjny otrzymał dodatkowe informacje, dotyczące pana osoby, podające w wątpliwość pana sylwetkę moralną. Rozumie pan?

— Doskonale.

— Już jakiś z okolicy poleciał do nich z donosem, jak tylko usłyszał, że pan będzie wygłaszał w Londynie swoje wiersze.

— Jak można takie donosy brać poważnie?!

— Jedyna rzecz, którą się bierze poważnie, to są donosy. Wszędzie na świecie, a najbardziej w naszym, polskim środowisku. Od święta to my jesteśmy orły, ale na co dzień zamieniamy się w hieny i węże. Każdy cwaniak koluje nas, jak chce. Wie pan, jeżeli jakiś na pana nagadał, to ja bym zażądał dowodów, a jeśli ich nie ma, to faceta za drzwi. Mam rację?

— Absolutnie. Dlaczego tak nie zrobiono?

— Kto wie? Może członkowie tego komitetu to też...

Duch machnął ręką.

— Panie Stanisławie, co ja mam się przejmować głupstwami. Chyba mi nie przeszkadzą w utrzymaniu azylu.

— I to się może zdarzyć — pokiwał głową Merlo w zaskoczeniu. Trząskło się, bo za pozytywne przeprowadzenie sprawy uchodźczej otrzymywał kilkaset dolarów. Z tego żył. Musiał załatwić kilka azylów co miesiąc, żeby pokryć swoje życiowe potrzeby. Jak się trafiło kilkanaście, to chodził po chmurach. Teraz sięgnął za siebie, położył na stole papierową teczkę.

— Proszę, niech pan sam zobaczy.

Podał Duchowi plik wycinków z gazet.

— Niech pan sobie to weźmie i w spokoju przeczyta. I proszę pamiętać, że kopie tych artykułów znajdują się w pańskiej teczkę u komisarza. Każde oszczerstwo powinno się spotkać z kontrargumentem z pańskiej strony.

— Jak można wysuwać argumenty przeciw oszczerstwom?

— Na pańskim miejscu podałbym autorów tych rzeczy do sądu. Powinien pan żądać milionowego odszkodowania. To, co oni piszą, zlamie panu karierę na zawsze. Powinien pan...

— Mam to głęboko w dupie, panie Stanisławie. Słabi szukają obrony u sędzie. Silni sami wymierzają sprawiedliwość.

— Tak się panu tylko wydaje. Pan jeszcze nie wie, jak źle się tu żyje bez pieniędzy. Mogłby pan wytrzasnąć z tej okazji sporo forsy, otworzyć sobie kawiarnię albo sklep. Z literatury pan się nie utrzyma.

— A niby dlaczego?

— Wszystkie gazety, wszystkie wydawnictwa

są ich. Pan jest na czarnej liście. Bezterminowo, znaczy, na zawsze. Kto raz ma przypiętą etykietkę antysemity, zawsze będzie traktowany jako wróg.

— Ta nazwa obejmuje także Arabów. Nie mam nic przeciw Arabom, przeciwnie, popieram walkę Palestyńczyków o własną ojczyznę.

Merlo machnął ręką.

— Mnie chodzi o Żydów, pał diabli, czy oni Semici, czy Chamiści. Z Żydami nikt nie wygra.

— Nie gram z nimi. Z nikim nie gram. Chcę tylko dostać ten azyl i spieprzać stąd.

— Dokąd pan, za przepraszaniem...?

— Do Kanady, do puszczy, na pustkowie. Będę wycinał lasy, budował autostrady, prowadził wielkie ciężarówki transkontynentalne, wie pan, takie, co mają trzydzieści sześć kół...

— Pan chyba zwariował.

— Nie, proszę pana. Moje życie to jest to, czym oddycham, na co patrzę, co czuję. Moje życie to jest moje ciśnienie krwi, i ja chcę trzymać je w granicach sto dwadzieścia na osiemdziesiąt. Moje życie to są moje mięśnie i ja chcę, żeby były mocne, elastyczne i wytrzymałe. Przegadywanie się z jakimś śmieszakiem nie mieści się w obszarze mojego życia. To bardzo poniżające. W ogóle zależność od kogokolwiek jest poniżająca, a co dopiero jakaś głupia rola petenta literackiego... Chodź do jakichś zer po uznanie, po forszę... Do szmaciarzy, którymi się gardzi... Wie pan, dla mnie człowiek, to piękne cięło, sprawność, siła, odwaga. Umiejętność koncentracji, skłonność do refleksji, do długich stanów milczenia. Kreatury myślące o władzy, handlu i kłaniu reszty świata napawają mnie takim samym obrzydzeniem. Jak glisty i wszy. Panie Stanisławie, nie chcę mieć nic wspólnego z tym nędznym światem. Jestem pewien, że znajdzie masę wspaniałych ludzi gdzieś daleko stąd. Tylko muszę wreszcie wyrwać się z tego koszmarnego snu.

Merlo przypatrzył mu się uważnie.

— Nie rozumiem jednego — powiedział tonem pełnym zastanowienia. — Jeżeli te Żydki wyjechały z Polski trzy lata przed panem... to czy w ogóle musiały pan wyjeżdżać? Już przecież zrobiło się luźniej...

Jan Duch roześmiał się z naiwności Merly.

— Panie Stanisławie, co mnie jacyś tam polamańcy obchodzą? Pan mnie źle rozumiał. Oni też mają swoje problemy, może większe niż moje. Każdy ma problemy, nie o to chodzi. Pan myśli, że ja myślę, że każdy Żyd to zły człowiek? Pan się myli. Dla mnie tak samo Jobry Niemiec, jeżeli uczynny, otwarty, ja, ny, tak samo Żyd czy Murzyn, co za różnica? Ja nie jestem rasistą, ja jestem antyskurwysynem, antychórsem, jestem przeciwko stado hien, atakujących nocą... I żeby pana, przed wojennego nacjonalistę, mocno rozczarować, powiem panu gorzką prawdę: polski cham jest gorszy niż żydowski oszust... Żyd, jaki by nie był, ma w sobie coś, inteligencję, spryt, coś, co pozwalało mu przetrwać w wielu wypadkach, dogadać się. Nasz rodzimy cham to kamień, mur, beton: trzasnął łbem i umrze, raz na zawsze. I kiedy Żydzi ze stalinowskiego aparatu wyjechali, na opróżnionych krzesłach zasiadł polski cham. Zrobiło się tak, jakby zapadła noc. Wiesz pan? Bo nie było inteligencji polskiej, większość wybił Niemiec, reszta dokończył Stalin, wiadomo, czytamy reklamy. Polski wieśniak po trzyletnim kursie filozofii politycznej wypełnił biura, dotąd przesycone smrodem czosnku i krwi, swoim gnojnym, gnuśnym zapachem. Obok wieśniaka stanął o choczko podmiejski cwaniaczek, gotowy na wszystko. Gdyby mógł ten Sapiak czy Kowalski, to by w piwnicach na Rakowieckiej robił to samo, co Światło i Romkowski. Pan nie wie, do czego jest zdolny bezrozumny, upojony władzą cham, uzbrojony w dogmat i bandę kumppli.

— Wiem, proszę pana — przerwał Merlo energicznie — znam Polskę przedwojenną, byłem oficerem wywiadu. Zetknąłem się ze sprawami, o których pan nie ma pojęcia. Niech pan nie myśli, że kazamaty policyjne to były sypialnie dla grzesznych paniątek. Krew się lała tak, że można by w niej pływać. Byłem temu przeciwny, ale co mogłem zrobić? Każdy ma swoje plany i perspektywy. Ja już niczego nie życzę, już wtedy się nie dziwiłem.

— Jaż też się nie dziwię.

— Nie — zaprotestował Merlo z ostrym gestem dłoni. — Pan się wciąż dziwi. Pan się dziwi tym stalinowcom, pan ich potępia. A ja pana zapytałem, tak obiektywnie: co mieli robić? Wierzyli w to, szli na catego. Każdy człowiek na świecie w tej sytuacji...

Jan Duch zwiesił głowę. Już miał dość tej rozmowy, był zmęczony. Nagle poczuł, że jest daleko stąd, bardzo daleko. Widział siebie z ogromnego dystansu, wśród innych drobinek ludzkich, poruszających się niemiernymi starającymi się ocalić swoje istnienie na jeszcze kilka chwil, robiących wszystko, co tylko możliwe, żeby żyć jeszcze te kilka chwil... Czy ma znaczenie to, że to drobinki nieszczerze czynią, że sobie wzajemnie robią, powodowane małymi pasjami, małymi strachem? Z bezpiecznej odległości czuł do nich wszystkich sympatię, współczuł im, był ich bratem w nędzy i radości. I jednocześnie wiedział, że największą sztuką w życiu jest utrzymanie tego właśnie, wspaniałego dystansu.

C.D.N.

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

KARTKA Z SOPOTU I Z ZAKOPANEGO

Jestem na molo. Tym najdłuższym w Polsce, a może jeszcze wciąż najdłuższym nad Bałtykiem. Plakatów Sabriny już nie ma. Nie ma też Sabriny w Sopocie. Dostać można jeszcze kasety z jej nagraniami. Wciąż jest Halina mająca stale dwadzieścia lat. Miała podpisywać płyty. Fani byli zachwyceni, ale nie przyjechała. Rozczarowała fanów.

Wokół mola dużo łabędzie. Łabędzie są brudne. Brudna jest woda, w której pływają. Przyzwyczajają się do karmienia. Przyjmują to jako rzecz im należną.

Nie ma hipisów i punków. Nie ma miejsca na ich luzne niechlujstwo. Świat jest tu kolorowy, wyprasowany, wygolony, pachnący dobrymi, drogiemi perfumami i dezodorantami. Tak jakby wszyscy ubierali się na co dzień w „Pewexach” i Rembertowie. Jakby kryzys gospodarczy i materialne troski do Sopotu jeszcze nie dotarły.

Na molo „Słoneczny jarmark”. Błaznawy zagarki, baloniki na drucikach — wszystko na sprzedaż. Początkujący kochankowie mają możliwość dzięki zakupionej broszurce: „Pozycje współżycia” poszerzyć swój miłosny repertuar.

Atrakcją jest starszy mężczyzna z długą siwą brodą, w szarym cylindrze. Ma ciemne okulary, czarną koszulę, aktówkę i czarny parasol pod pachą. Oryginał. Dzieci robią sobie z nim zdjęcia, jak kiedyś z kucykiem czy z białym misiem.

Przy wyjściu z mola rozłożyli się kolekcjonerzy znaczków. Sencją dnia są serie wietnamskie, idą podobno jak woda.

Zjeść można w barze „Fregata”. Kanapka z lososem (czy państwo jeszcze pamiętają, co to jest losos?) kosztuje tyle co butelka pepsi-coli, prawie dwieście złotych.

Mają swój kramik przedstawiciele Świeckiego Ruchu Misyjnego „Epifania”, demaskatorzy Szatana i Satanizmu. Jest w Sopocie amerykański Kaznodzieja Mark Finley zapewniający, że szczęście jest w naszych rękach i że nie tak trudno przetrwać kryzys ekonomiczny i porządek sobie ze zmęczeniem fizycznym. Kto nie wierzy, tego uśmiechnięty adwentysta zaprasza do namiotu, rozbitego obok Hali „Olivia”.

JAROSŁAW DĄBROWSKI

Kolejny sezon letnich urlopów mamy za sobą i, jak co roku, podejmowane są różne rodzaje podsumowań. Omawiany jest stan sanitarny stołówek, komfort domków campingowych i wiele innych rzeczy. A mnie zmartwiła jedna sprawa. Przytoczę jednak krótką historię.

Część swoich wakacji tegorocznych spędziłam w Zakopanem. Pominię kwestię możliwości odpoczynku w tym bądź co bądź kurorcie. Przypadkowo już pierwszego dnia pobytu w Tatrach zetknęłam się z grupą zagranicznych turystów, którzy, mówiąc po polsku, swoje wakacje zorganizowali wyłącznie we własnym zakresie. Pewnego dnia, podczas wycieczki, dwójce jej uczestników odłączyło się od grupy. Mieli pecha i zgubili się. Byli to włoscy turyści, posługiwali się biegle także językiem francuskim i angielskim, dlatego problem powrotu do domu w pierwszej chwili dla nich nie istniał. Jednak było to tylko pierwsze, złudne wrażenie. Okazało się bowiem, że nikt nie może im udzielić pomocy w odnalezieniu kwatery, ponieważ wszystkie zapytane o drogę osoby rozkładały ręce z wyrazem oczu, wskazującym na kompletny brak zrozumienia. Dwójce turystów w depresji postanowiono odnaleźć posterunkowi milicji w przekonaniu, że tam ich kłopoty się skończą. Te poszukiwania odniosły skutek, ponieważ słowo „police” rozumieli już wszyscy. Ale co znaleźli obokrajowcy na posterunku milicji? (być może był to tylko pojedynczy milicjant). Sformułowanie „kompletny brak zrozumienia”, którego użyłam wyżej, jest bardzo łagodne w stosunku do postawy zaprezentowanej przez naszych stróżów bezpieczeństwa.

Oto cała historia. W pierwszej chwili ogarnął mnie śmiech, ale już w chwilę później uśmiech zastąpił, a na policzki wpłynął ognisty rumieniec wstydu.

I tak, niestety, jest wszędzie w Zakopanem.

Nie wymagam znajomości języków obcych od sprzedawczyń w sklepach, ale chyba posługiwanie się biegle angielskim czy francuskim powinno być podstawowym wymogiem kelnerów w renomowanych hotelach, kawiarniach, restauracjach i we wszystkich miejscach w Zakopanem, które dla tych gości są głównie przeznaczone. Nie oszukujmy się, na śniadaniu, obiedzie czy kolacji w restauracji „Giewontu” spotkać można głównie obcokrajowców, a tylko garstkę Polaków i to tylko tych bardzo dobrze sytuowanych.

Wracam do głównego tematu.

Menu w tych lokalach jest zaopatrzone w obcojęzyczne nazwy potraw i to nawet w dwóch językach. Cóż z tego, kiedy kelnerka nie może zrozumieć tego i gość musi pokazać palcem w karcie, o którą z potraw prosi.

Uważam, że sytuacja ta jest nienormalna, a nawet upokarzająca dla nas, Polaków. A zagraniczni turyści nie mogą zrozumieć, dlaczego w lokalu takiej klasy personel może rozmawiać tylko w języku polskim. Przecież od kilku dobrych lat kurorty górskie czy nadbałtyckie są odwiedzane przez gości z Europy Zachodniej, Południowej czy krajów arabskich (którzy mają dodatkowe problemy z wieprzowiną). To dla nich przeznaczone są najdroższe i najbardziej ekskluzywne lokale. Dlatego nie dba się w naszym kraju o tych turystów? I wreszcie, pomijając wszystko inne, to chyba dla nas wstyd: Sama będąc studentką Uniwersytetu Łódzkiego, wiedząc, jak wyglądała jej też uczelnia lektoraty języków obcych, nie chcę zastanawiać się, gdzie leży przyczyna tej naszej hańby. Gdybym sama nie pracowała nad moją angielszczyzną, nie mogłabym przytoczyć państwu tej historii o zagranicznych turystach i milicjancie.

Może byłoby korzystnie otworzyć więcej studiów hotelarskich w Polsce (obecnie są tylko dwie takie szkoły), większą uwagę zaszczycić lekcje języków obcych w szkołach średnich i lektoraty w wyższych uczelniach? Ten problem zostawiam dla ludzi mądrzejszych i bardziej kompetentnych ode mnie.

A.K.

„JĘZYK OJCZYSTY POLONUS”

W numerze 33 „Odgłosów” z dnia 13 sierpnia 1988 r. strona 15 w artykule pt. „Francuskie perfumy” autor tego artykułu Józef Retman zacytował takie zdanie: Jeśli Polak w naszych czasach wyjedzie za granicę, to już po dziesięciu latach zaczyna się snobować na śmieszny wola pęk polsko-obcojęzyczny. Po dziesięciu latach z jego polszczyzny zostaje już tylko karykatura.

Przynajmniej słuszną rację, jest to święta prawda nie tylko gorzka i bolesna, ale i wstydliva. Mówi się, że Polak kocha swoją ojczyznę i mowę ojczystą — jest to w wielu przypadkach nieprawdą. Polacy są jedynym narodem na świecie łatwiej się asymilującym w środowisku, w którym się znaleźli, jeśli to będą kraje zachodnie.

Kraży anegdota o Polaku — przepraszam o pewnym Amerykaninie polskiego pochodzenia, który po kilkuletnim pobycie w USA przyjechał do Polski w odwiedziny do swojego brata gospodarza na Mazowsze. Powitanie obu braci było czułe i gorące. Trudności sprawiało im porozumiewanie się ze sobą. Brat Amerykanin mówił niewyraźnie i mocno „szepelił” kalecząc mowę. Podczas oglądzin zabudowań gospodarczych zauważył w kacie stodół stojące grabie oparte o ścianę zębami odstającymi ku górze od ziemi. Amerykanin zapytał brata: „jak sze to po polsku nazywa” — wskazując je ręką. W tym nieopatrznie nadepnął na sterzące zęby, co spowodowało raptowny przechyl i został górnym styliskiem mocno uderzony w czoło raniąc się. Amerykanin zawył z bólu i krzyknął: ach te przekleste grabie! Brat nie potrze-

bował przypominać nazwy tego narzędzia. Przekonał się, że z tą mową u brata nie jest tak źle, i że tylko udawał Amerykanina jako świeżo upieczony. Świadczy to o tym, że od dzieciństwa nabyta mowa nieprędko wyszumia Polakom z głowy, chociaż sami do tego dążą, i to im się nieraz udaje.

Tylko pierwsze pokolenie, które znalazło się w krajach zachodnich i za oceanem, jako tako zachowuje swą mowę, ale w pokoleniu drugim i trzecim, trudno znaleźć osobnika mówiącego poprawnie po polsku — lub całkowicie zapomnieli lub się nie nauczyli mowy ojczystej swych przodków, niekiedy jeszcze żyjących.

Zdumienie ogarnęło mnie oglądając w telewizji wizytę generała Wojciecha Jaruzelskiego, jaką złożył w środowisku polskim na Litwie. Polacy świetnie rozmawiali z generałem po polsku, mimo upływu 50 lat nienależenia do młodości, i to młodego pokolenia.

Po roku 1936 w ramach łączenia rodzin — wielu Polaków i Polek powróciło do Polski z głębi ZSRR. Po raz pierwszy w kraju znaleźli się w kraju ojczystym, nie zatrzaśli mowy polskiej, mimo szalejącej rusyfikacji na przestrzeni dziejów. Zdradzał ich jedynie śpiwny akcent, lecz nie jest to wada — ważne jest to, że nie wyzyli się swojej mowy ojczystej, jak to czynią niektórzy rodacy w krajach zachodnich.

Przed wojną śpiewano popularny szlagier o smętnej melodii poświęcony wychodźstwu polskiemu, pt. „Polonii amerykańskiej”, a oto słowa:

Musiałem cię zostawić
Odjechać w kraj daleki
Przez ład morza rzeki
Może na wieki

Musiałem cię zostawić
Choć serce z bólu płacze itd.

Dziś Polakowi serce z bólu nie płacze, gdy udaje się za ocean i tam emigruje za chlebem. Z radością opuszcza kraj, sprzedaje wille i samochody i odpywa z rodziną w kraj daleki, za ocean, bo tam króluje „dolar”.

Gdyby był nasz wielki powieściopisarz Henryk Sienkiewicz, autor sławnej powieści „Za chlebem”, na pewno napisałby analogiczną powieść, nawiązującą do wychodźstwa obecných czasów, opatrzoną tytułem — „Za dolarem”. Jest to smutne, ale i prawdziwe. Pęd za dolarem powoduje utratę wielu wartościowych dusz, ale i również zagładę mowy ojczystej.

Na zakończenie życzę wszystkim naszym rodakom porzucającym z radością swoją ojczyznę, udającym się w kraje dalekie, za ład, morza, ocean i rzeki, aby szybko wyzyli się swą mową polską (a przyjdzie im to łatwo) i nie zapomnieli tylko o jednym — jak się nazywa grabie.

M.S.

Od redakcji: Autorem felietonu „Francuskie perfumy” jest Wiesław Krzemiński, a nie jak pisał autor listu Józef Retman.

KIEDY NA LISTĘ CZŁONKOWSKĄ?

Zwracam się do Waszej redakcji z bardzo ważną dla mnie a właściwie dla mego syna sprawą. Otóż w roku 1982 zarejestrowałam moich — wówczas 14-letniego i drugiego 11-letniego — synów jako kandydatów do Sp-ni Mieszkaniowej w Kozminie. Przez te 6 lat nie się nie działo, aż przyszedł rok 1988, i w Krotoszinie (gdzie pracujemy obydwoje z mężem) zaczęto przyjmować kandydatów zarejestrowanych przed grudniem 1982 roku na członków Sp-ni Mieszkaniowej na spełnienie warunków pełnoletniości i wkład na przysługujące M — to był styczni. Zwróciłam się krótko potem do Sp-ni Mieszkaniowej u nas w Kozminie z zapytaniem, kiedy będą przyjmować na członków — odpowiedziano, że w późniejszym terminie. Cierpliwie czekałam. Przyszedł maj i otrzymałam syn (ten starszy) pismo, aby stać się z książeczką w Sp-ni Mieszkaniowej. Zwróciłam się do PKO w Krotoszinie o dopisanie mu premii gwarancyjnej i procentu i udało mi się do Sp-ni w wyznaczonym terminie (syn studiuję w Poznaniu, musiałby się zwolnić na ten dzień).

Postrzyli na książeczkę, na druk otrzymaną z PKO, pospisywali i kazali czekać aż będą przyjmować na członków, a ja się głupia ludziłam. Raz po raz chodząc się pytać kiedy będą przyjmować na członków, i zawsze odpowiedź brzmiała, że w terminie późniejszym. Zaczęłam się denerwować, ale byłam mimo wszystko pełna wiary, że musza i tak w tym roku przyjąć na członka, gdyż w międzyczasie czytałam w jednym z Waszych numerów „Odgłosów”, że Sp-nie mają obowiązek zarejestrować na członków tych, którzy byli kandydatami zarejestrowanymi do grudnia 82, a obecnie spełniają warunki jak wyżej.

Nadzieja moja trwała do ubiegłego tygodnia, kiedy ponownie poszłam pytać o przyjmowanie (termin) na członków. I tu o mało szlag mnie nie rafił — dowiedziałam się, że prawdopodobnie w tym roku przyjmować na członków nie będą, gdyż nie się w Sp-ni nie buduje i o ile będą przyjmować to od nowego roku, a wtedy kawalerka będzie kosztować podobno około 210 tys. I tak można w nieskończoność odwiekać — nie się nie buduje od kilku latnych lat to fakt, ale czy to jest wina takich jak ja? Na zebraniach członków ten temat był przerażający w nieskończoność — jeżeli nie taka krytyka nie daje — to co my mamy zrobić. Tyle się mówi o zmianie prezesa i nie — nie wiem kto z nim stoi. Jeżeli jest Zarząd nieudolny, niech rozwiąza Sp-nie, przeniesiemy się do Krotoszy-na, tam się tyle buduje, ale u nas jest Sp-nia i nie przyjmują.

Bardzo proszę o odpisanie mi na list z podaniem zarządzenia, które mówi, że kandydaci zarejestrowani na grudzień 1982, a obecnie spełniający warunki powinni być przyjęci na członków.

WIESŁAWA BASTRYK

Od redakcji: Sądymy, że odpowiedź otrzyma zarówno p. Bastyk jak i redakcja od Spółdzielni Mieszkaniowej.

INSTYTUCJE WYJAŚNIAJĄ

Nawiązując do materiału krytycznego autorstwa Eugeniusza Iwanickiego pt. „Relacja z dyżuru telefonicznego” („Odgłosy” nr 36) PHAWM „DOMAR” w Łodzi informuje, że zakład usługowy branży radiowo-telewizyjnej nr 23 w Łodzi ul. Cwiklińskiej 22 był faktycznie wyłączony z działalności w okresach podanych przez klienta Ob. Zbigniewa Kosińskiego tj.:

— od 10.02.88 r. do 2.04.88 r. z powodu choroby (zabiegu operacyjnego kierownika zakładu),
— od 15.08.88 r. do 2.09.88 r. z powodu urlopu wypoczynkowego kierownika zakładu.

Zamknięcie zakładu w wyżej wymienionych okresach było koniecznością z uwagi na to, że kierownik jest jedyną osobą materialnie odpowiedzialną za mienie.

W okresie zamknięcia zakładu naprawy sprzętu z terenu Łódź-Widzew wykonywały pobliskie zakłady usługowe:

— zakład nr 13 Łódź, ul. Armii Czerwonej 58
— zakład nr 14 Łódź, ul. Armii Czerwonej 4/6
— zakład nr 25 Łódź, ul. B. Bartoka 25

o czym klienci byli powiadomieni poprzez informację umieszczoną na drzwiach zakładu na ul. Cwiklińskiej.

W obu przypadkach zamknięcia przedsiębiorstwo nasze uzyskało pisemną zgodę Urzędu Dzielnicowego Łódź-Widzew.

Zakład usługowy nr 23 Łódź, ul. Cwiklińskiej 22 ze względu na małą powierzchnię oraz trudności kadrowe został wytypowany w roku 1987 do przekazania w agencję, lecz brak było kandydatów. Brak odpowiednich kandydatów do pracy w zakładach usługowych jest nagminny i występuje w większości naszych zakładów usługowych.

W chwili obecnej zgłosił się poważny kandydat na objęcie wyżej wymienionego zakładu w agencję, co przy sfinalizowaniu sprawy spowoduje, że nastąpi poprawa sytuacji na odcinku wyłączania tego zakładu z działalności.

Dyrektor

mgr JERZY ROKOSZEWSKI

W związku z opublikowaniem w nr 37/1569/88 Tygodnika „Odgłosy” krytycznego artykułu „Pytamy: jaki był miniony tydzień? dotyczący biernego postawy mieszkańców wsi Rossoszyca obserwujących fakt utopienia się człowieka uprzejmie informuje, iż w odniesieniu do zarzutów stawianych funkcjonariuszowi MO tut. WUSW przeprowadził stosowne postępowanie wyjaśniające.

Z dokonanych ustaleń wynika, że na miejsce zdarzenia przybył samochodem prywatnym m-ki „Trabant” a nie rowerem, jak to wynika z treści artykułu funkcjonariusz PMO w Warcie, który w miejscowości Rossoszyca załatwiał interwencję związaną z kradzieżą roweru. Należy przy tym podkreślić, że funkcjonariusz ten nie był świadkiem topienia się ob. Józefa Justynskiego w miejscowym stawie, gdyż na miejscu wypadku znalazł się po wyłowieniu topielca z wody. Wstępne oględziny topielca dokonane przez funkcjonariusza MO (brak wyczuwalnego tętna i reakcji zrenic na światło) dały mu podstawę do stwierdzenia, że człowiek ten nie żyje. W tej sytuacji także przybyły po upływie około 4 min. lekarz z pogotowia ratunkowego.

Posądzenie funkcjonariusza o odmowę ratowania życia człowieka jest więc bezpodstawne. Z relacji świadków zdarzenia wynika, że topielec przed wyłowieniem go przez co najmniej 15 minut znajdował się bez ruchu w wodzie w pozycji plecami do góry. Fakt zgonu potwierdził także przybyły po upływie około 4 min. lekarz z pogotowia ratunkowego.

W toku przeprowadzonego postępowania nie stwierdzono uchybień ze strony dyżurnego RUSW w Sieradzu, który przyjął telefoniczne zgłoszenie, a także funkcjonariuszy przybyłych na miejsce zdarzenia w celu dokonania rutynowych czynności milicyjnych.

W świetle powyższego należy stwierdzić, iż treść artykułu została przedstawiona tendencyjnie i częściowo niegodziwie ze stanem faktycznym.

Rzecznik prasowy

szefa WUSW w Sieradzu

por. A. WOJTANIA

W odpowiedzi na list czytelnika zamieszczony na łamach tygodnika „Odgłosy” dot. wybudowania wiaty na przystanku autobusowym zlokalizowanym na ul. Zachodniej przy Limanowskiego, uprzejmie informujemy, że z uwagi na brak środków finansowych, przedsiębiorstwo nie wykonuje i nie ustawia nowych wiat na przystankach komunikacji miejskiej. Zgodnie z ustaleniami Urzędu Miasta Łodzi wiaty wykonują i ustawiają Zakłady Pracy i Przedsiębiorstwa na zlecenie Urzędów Dzielnicowych w uzgodnieniu i na podstawie dokumentacji znajdującej się w MPK.

Rzecznik prasowy MPK

mgr DANUTA SALAMACHA

Odpowiadając na treść notatki autorstwa Bogdy Madej pt. „Relacja z dyżuru telefonicznego w dn. 18 sierpnia” zamieszczonej w Waszym tygodniku nr 35 Zakład Sieci Ciepłej informuje, że w wyniku uruchomienia po przerwie letniej sieci ciepłowniczej ujawniono w rejonie osiedla mieszkaniowego Teofilów „A” awarię powodującą konieczność wyłączenia kilkunastu bloków z dostaw ciepłowni grzewczej.

Awaria powyższa zlokalizowana została na sieci ciepłowniczej rozdzielczej wzdłuż ulicy osiedlowej w szczytach bloków 9, 10, 12 i 13, co spowodowało konieczność dokonania odkrywek kontrolnych sieci i oceny stanu technicznego rurociągów.

W wyniku powyższego stwierdzono uszkodzenie przyłącza do bloku nr 10, do likwidacji którego przystąpiono natychmiast, by zmniejszyć do minimum utrudnienia mieszkańców tego rejonu.

Mimo wykonania naprawy uszkodzonego przyłącza do bloku nr 10 napiw wody w kanale sieci nie zmniejszył się zmuszając nas do powiększenia zakresu robót remontowych — awaryjnych i wymiany odcinka rurociągów pomiędzy blokami nr 12 i 13 o długości 52 m.

Stan techniczny rozkopanego odcinka rurociągów w szczytach bloków nr 9 i 10 pracującego od 30 lat wymaga też całkowitej wymiany.

W miejscu prowadzonych robót zakład nasz spotkał się z poważnymi kłopotami z sieciami energetycznymi, oświetleniem ulicznego, kanalizacją telefoniczną jak również posadowienia bezpośrednio na osi kanału sieci ciepłowniczej kiosku „Ruchu”.

Po usunięciu w/w kłopotów i usunięciu słupów oświetlenia ulicznego, przemieszczeniu kiosku, przełożeniu kabla energetycznego przystąpiono do prac mających na celu wymianę skorodowanego odcinka sieci bez wyłączeń dostawy ciepłej wody dla mieszkańców.

Wydłużenie czasu wykonawstwa robót remontowych w tym rejonie spowodowane jest dużą ilością awarii sieci ciepłych na terenie całego miasta w tym na wielu magistralnych-przesyłowych, których to niewykonanie może być zagrożeniem wyłączenia całych dzielnic z dostaw ciepłowni grzewczej. W pracy naszego zakładu decyduje kolejność ważności wykonywanych robót remontowych — awaryjnych jak również remontów planowych.

Za utrudnienia dla mieszkańców wynikające z pracy naszego Zakładu przepraszamy prosząc jednocześnie o większe zrozumienie dla ciężkiej pracy naszej nielicznej załogi.

Z-ca dyr. ds. technicznych

mgr inż. JERZY PIECHOTA

W odpowiedzi na notatkę prasową j.w. zamieszczoną w Waszej gazecie, odnośnie posesji Nawrot 34 informujemy, co następuje: przedsiębiorstwo nasze miało trudności z uzyskaniem dokumentacji technicznej, pierwszy termin 30.06. br. został nie dotrzymany przez biuro projektów, następną zawartą umową przewiduje termin 30.10. br.

Jednocześnie czynimy starania o zawarcie umowy z wykonawcą na wymianę instalacji gazowej, co również spotyka się z odmową ze strony specjalistycznych przedsiębiorstw.

Niemniej przepraszamy lokatorów za zaistniałe kłopoty. Komitet Domowy jest i będzie przez nas informowany na bieżąco o przebiegu prac.

Dyrektor

mgr WOJCIECH SZMIDT



SPÓŁKA Z O.O. W ŁODZI

Oferuje jednostkom
gospodarki uspołecznionej:

12-miesięczna gwarancja oraz
serwis

KALKULATORY:

- 10-cio i 12-sto miejscowe
- z taśmą lub bez
- kieszonkowe + zasilacze
TELEFAXY
TELEXY

Zapraszamy do filii naszego biura

tel. 33 98 00
w 208, 209
ŁDK ul. Traugutta 18

2571/k

ZAKŁADY PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO „BISTONA”

w Łodzi, ul. J. Dąbrowskiego 216

Z A T R U D N I A
natychmiast

* KOBIETY * * MĘŻCZYZN *

w zawodach:

— TEKSTUROWACZKA PRZĘDZY
— PRZEWIACZKA PRZĘDZY
— SZWACZKA MASZYNOWA

w zawodach:

— DRUKARZ
— APRETER
— DZIEWIARZ
— NASTAWIACZ MASZYN
WŁÓKIENNICZYCH

Przedsiębiorstwo dysponuje własnym hotelem robotniczym dla kobiet.
Proponujemy korzystne warunki placowe.

Szczegółowych informacji udziela dział spraw osobowych, VI piętro, pokój
nr 60, telefon bezpośredni 43-54-98 oraz centrala 43-53-01 wew. 213, 456.

Dojazd autobusami 69, 64, 72, 77, 82.

Nie przyjmujemy pracowników po porzuceniu pracy.

6427-K

ZAKŁADY PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO

IM. T. DURACZA

„DELTA”

w Łodzi

Z A T R U D N I A:

1. SPECJALISTĘ DS. ELEKTRONICZNYCH — wymagane wykształcenie wyższe elektryczne.
2. SPECJALISTĘ DS. EKONOMICZNYCH — wymagane wykształcenie wyższe ekonomiczne.
3. PRACOWNIKÓW BEZPOŚREDNIO PRODUKCYJNYCH FABIARNI w systemie pracy II i III zmiany (zatrudnienie, ul. Hutera 42 lub Kilińskiego 230) na stanowiskach: BARWIARZ, PRASER, DRAPACZ.
4. PRACOWNIKÓW BEZPOŚREDNIO PRODUKCYJNYCH WYDZIAŁU KONFEKCJI w systemie pracy II i III zmiany w zawodzie SZWACZA MASZYNOWEGO (zatrudnienie ul. Nowotki 40, ul. Matejki 9).
5. KIEROWNIKA MAGAZYNU PRZĘDZY
6. DYSPOZYTORA W DZIALE NADZORU PRODUKCJI

Przedsiębiorstwo nie zatrudnia pracowników po porzuceniu pracy.

Wszelkich informacji w przedmiocie warunków pracy i płacy udziela Dział
Kadr i Szkolenia Zawodowego, ul. Nowotki 65, tel. 33-57-07 wew. 208 lub 209.

6426 K

BIURO REZERWACJI I SPRZEDAŻY Łódź, ul. Piotrkowska 122

INFORMACJA, REZERWACJA — tel. 33-48-15
33-99-98
AIR TOURS — tel. 33-48-59
TLX 586153 LOT PL

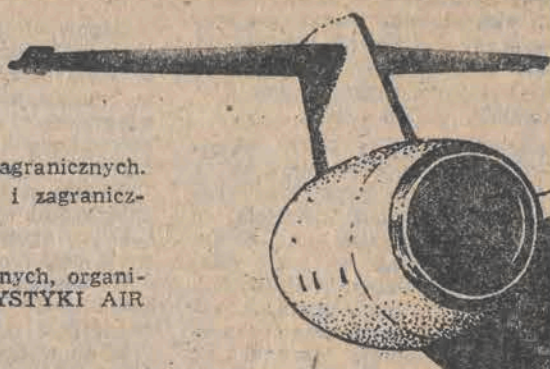
Z A P R A S Z A

codziennie w godz. 9—17, w soboty w godz. 10—14,
AIR TOURS w godz. 12—16.



Polecamy nasze usługi:

- Informacje na temat lotów krajowych i zagranicznych.
- Rezerwacje miejsc w samolotach polskich i zagranicznych liniach lotniczych.
- Bilety lotnicze na wszystkie trasy świata.
- Udział w atrakcyjnych imprezach turystycznych, organizowanych przez LOTNICZE BIURO TURYSTYKI AIR TOURS.



UWAGA FOTOAMATORZY!



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY,

jeżeli

z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co
najmniej 20 dobrych zdjęć!

- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych.
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych.
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
Z A P R A S Z A !

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.

POLISA ubezpieczeniowa to także towar

w „WEŚCIE”
zawsze zyskasz i zaoszczędzisz

PRZEDSTAWICIELSTWO SPÓŁDZIELCZEGO ZAKŁADU
UBEZPIECZEŃ „WESTA”
w Łodzi

UPRZEJMIE INFORMUJE,

że jego pośrednicy są upoważnieni do zawierania umów ubezpieczeń także na warunkach odpowiedzialności identycznej jak ogłoszone w Dzienniku Urzędowym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej „Monitor Polski” przez Prezesa Państwowego Zakładu Ubezpieczeń, ale według innych znacznie niższych składek.

♦ „WESTA” PROPONUJE ♦

poza tym inne rodzaje ubezpieczeń majątkowych i osobowych np.

- ubezpieczenie kredytów,
- ubezpieczenia kosztów leczenia i renty,
- ubezpieczenie następstw błędów w leczeniu
- ubezpieczenia młodzieży,
- ubezpieczenia pracowników w sektorze niepaństwowym,
- ubezpieczenia gospodarcze,
- ubezpieczenia niekonwencjonalne np: nóg sportowca, głosu śpiewaka, włosów aktorki, rąk pianisty lub chirurga oraz inne formy ubezpieczeń nie znanych dotąd w naszym kraju.

Nie zwlekaj z ubezpieczeniem

WESTA I PZU CZEKAJĄ NA CIEBIE

— Ty wybierasz!

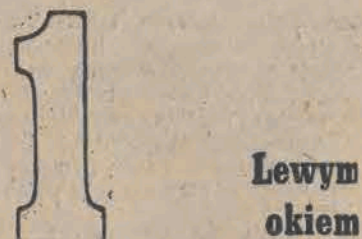
Informacji udzielają pośrednicy ubezpieczeniowi i Przedstawicielstwo „WESTY” w Łodzi, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

2727/K

Kiedy powróciłem w tym roku z dłuższego urlopu, stary zaległy czasopiśmiennictwo się tu, to tam i trzeba było coś z tym zrobić, więc zacząłem przeglądać. Ze szczególnym upodobaniem w „Życiu Literackim” czytam kolejne odcinki „Pięknych dwudziestolatków”. Czytam tę książkę już po raz trzeci i za każdym razem bawię się przy niej niezwykle. Powiem nawet, że „Piękni dwudziestolatkowie” są jedyną książką Marka Haski, do której tak często powracam.

Dobrze, że wreszcie ten utwór został udostępniony szerszej publiczności w naszym kraju, drukowany jest, co prawda z wielkimi skrótami, ale najważniejsze, że jest. Do tej pory fragmenty „Pięknych dwudziestolatków” ukazywały się jedynie w „Kaskaderach literatury”. A przecież w dorobku Haski to utwór bardzo ważny, w którym autor buduje własną legendę. Bo u niego życie jest literaturą i wygląda to czasami tak, jakby wszystko co dzieje się w życiu, działo się tylko w tym celu, by potem mogło stać się literaturą, albo, jak w przypadku „Pięknych dwudziestolatków”, wspomnieniem, ale wspomnieniem specyficznym, które za radą samego autora należałoby nazwać „prawdziwym zmysłem”. To książka, w której autor kreuje się na literacką postać i staje się nią, ale poza scenami z życia autora-bohatera, mniej lub bardziej ubarwionymi, co oczywiście wcale nie znaczy, że zmysłowymi, są w niej jeszcze bardzo precyzyjne komentarze dotyczące filmu, literatury i polityki.

Hasko tworzy świat, w którym sam jest bohaterem i jeśli wspomina ludzi mu w jakiś sposób bliskich, to w każdym z nich potrafi dostrzec nutkę prawdy i ciepła. Przykładem do najlepszym jest opisanie Władysława Broniewskiego. I trzeba mieć duży talent, by przyjąć tak do lektury czytelnika, aż ten oderwać się od niej nie może i wierzy, wierzy w każdą opisaną scenę. To jest dopiero życie, myśli ten i ów młody człowiek (bo dla młodych ludzi jest to głównie książka), tak żyć jak Marek Hasko, przynajmniej nie byłoby nudno. Wóz rozklekotany, hamulce ledwo sprawne, a tu z góry trzeba gnać na



Z czego by się jeszcze pośmiać?

Od kilkudziesięciu lat „Przekrój” drukuje na ostatniej stronie rubrykę pt. „Humor zeszytów szkolnych”. Są to zabawne sformułowania, zaczerpnięte z wypracowań kilkusetlatków, którzy nie zawsze doceniają wagę i prawdziwe znaczenie poszczególnych słów. Czasem wprawdzie podejrzewam, że część, zamieszczanych w tej rubryce dowcipów, nie jest autentycznie zaczerpnięta z zeszytów szkolnych, że jest plodem zawodowych humorystów, ale to ostatecznie nie bardzo ważne, skoro cytaty te i tak mają walor sztubackich, pretensjonalnych przejęczeń.

Niewiele młodsza od humoru zeszytów szkolnych jest, prowadzona przez „Kobiety i Życie”, „Satyra w krótkich majteczkach”. Tu z kolei publikuje się tak zwane powiedzonka dzieci, które ledwie zaczynają mówić, i zasyłane od dorosłych terminy, kojarzą czasem w przekomiczny sposób. Ostatnio wydaje się, że do tych dwóch skarbnic specyficznego, przasnego humoru dojdzie jeszcze kategoria trzecia, dość nieoczekiwana. Otóż piętnastego września w audycji „Między nami”, poświęconej sprawom młodzieży szkolnej, Polskie Radio zaczęło nadawać powiedzenia nauczycieli i nauczycielek, zanotowane przez uczniów podczas lekcji. Pierwsza seria tych powiedzeń zawierała wiele sentencji znanych od dziesięcioleci i nie wiem dlaczego, napiektowanych jako niepedagogiczne i w stosunku do małolatów nazbyt obcesowe. Na przykład „Gdybym miał pięciu takich uczniów jak ty, to wolałbym iść głębiej pasać”. Albo „Postawiejsz, a nie nauczysz się tego” albo „Marnuję tutaj tylko czas z takimi jak ty” itp.

Osobiście nie widzę w tego typu powiedzeniach wielkiego naruszenia szkolnego savoir-vivre'u i nie wydają mi się żeby trzeba było akurat takie zwroty stawiać pod przegięciem opinii publicznej i opatrywać komentarzem odnawiającym nauczycielom zdolności pedagogicznych. Zapamiętam tylko jedno powiedzenie, bardzo barwne i rzeczywiste trochę już nazbyt drastyczne, mianowicie: „Idź dziecko z Bogiem i pies cię drań”. W swojej nieuleczalnej podejrzliwości mniemam, że słowa te nadesłał chłopak, który sam je wymyślił.

Chodzi mi jednak o coś innego. Czy rzeczywiste pedagogiczne przedsięwzięcie będzie zbieranie i publikowanie nauczycielskich powiedzonek, do czego redakcja audycji „Między nami” na przyszłość swych młodych słuchaczy zaprosiła. Czy naprawdę będzie dobrze, kiedy uczniowie ci, w wieku najbardziej skłonny do przedrzeźniania, do przekręcania słów, do tak zwanego czipiania się i szukania dziury w całym, że ci uczniowie będą na lekcjach siedzieć z uszami postawionymi w sztorc i nasłuchiwać czy w przemówieniu nauczyciela nie zabrzmi jakieś powiedzenie, które by natychmiast warto zanotować i postać pani redaktor do Polskiego Radia?

Czy słusznym jest uruchamianie takiej zabawy, takie nieustanne nasłuchiwanie ze złośliwą intencją przysłuchania faceta na jakimś wykonywanym potknięciu? Nie chcę tu używać wielkich słów o naruszaniu autorytetu nauczyciela, o konieczności zachowania pewnego dystansu, to są duże słowa i przynajmniej czasami nadużywane. Nie podoba mi się jednakże takie z wysoka płynące wezwanie do dzieci szkolnych żeby, gdzie się tylko da, przycinały łapki swoim wychowawcom, żeby donosiły na nich, żeby nieustannie czuwały, kiedy tu się obrazi, kiedy by tu przygotować małego chłopa, żeby, przeciwnie panu od polskiego czy od innej specjalności.

Niedawno słyszałem również

w radio dyskusję na temat kodeksu ucznia. Nie znam tego arcyważnego dokumentu, bez którego obywatel się świat przez parę tysięcy lat, znanymi jednak było dla mnie, że w owej dyskusji wszyscy byli wobec kodeksu sceptyczni, zarówno nauczyciele jak i młodzież uznawali, że jest to dokument niepotrzebny i może spowodować więcej zła niż pożytku.

To osobny temat i nie będę go tu rozwijał. Póki co mam jednak nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy opracowywać kodeksu przedszkolaka, a także, że nikt nie zachęci naszej kochanej dziatwy do wyśmiewania własnych rodziców na przykład poprzez rozgłaszanie wszem i wobec ich, nie zawsze przecież parlamentarnych i nie zawsze mądrych, polajanek.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Nagle zastępstwo Noc w banku

Bank był długi — noc. Tylko strażnik drzemał w swojej dyżurce. Cisza, nie było żadnego...

— Nudno — powiedział szwedzka korona do swojej czechosłowackiej koleżanki — może zagramy w orla i reszke?

— Nie mogę nie mam orla tylko dwa. Może zagrasz ze złotówką?

— Nie ma mowy — złotówka obruszyła się — mam inne zajęcia. Wciąż spadam!

— Nie tylko ty — odzywał się osobiście dinar — Ja też wciąż spadam, koleśka lir włoski spada. Chociaż nie — chyba przestał?

— Pewnie że przestał. Jestem mimo wszystko dużo lżejszy od złotówki — dorzucił chętnie.

— Odcen się makaroniarzu od mojej koleżanki. Ona też wreszcie przestała. Musi się tylko nauczyć tak jak ja, trzymać się towarzysza rubla — dobitnie powiedział lew bułgarski.

— Tak toczno — zagrział basem rubel.

— Wy się trzymajcie złota doradził funt sterling — Bezdziesięć ladować jak ja. W końcu jestem najmocniejszą walutą świata. Understand?

— Byłbyś a może byśś kolego lordzie. Coś w tym jednak jest, że na całym świecie ja jestem najbardziej cenioną i poszukiwaną — zaprzeczył dolar.

— Tak naprawdę, to ja jestem najmocniejszy — dodał z kataru frank szwajcarski — nie bez powodu faceci całego świata lokują forsę w moim banku!

— Bank to bank, a forsę to forsę — dorzuciła rozsądnie marka zachodniemiecka — spróbujcie kogoś innego, tak naprawdę liczymy się tylko my — dolar i ja!

— O kurosawa! — zaklął szpetnie po japońsku jen — po pierwsze, nie dalecie spać. A ja już od rana muszę być w obrocie, my się nie lenimy tak jak w tej waszej Europie. Po drugie: dudy, smalone pleciecie, do stu tysięcy harakiri, a przecież wiadomo, że my jesteśmy najsilniejszą krają na świecie a więc i ja, jako oficjalna waluta mam największy autorytet wśród wszystkich jednostek monetarnych.

— Nie rozumiem, dlaczego pan tak przeklina. Zawsze byłem przekonany, że Japonczycy są nieszczęśliwie uprzejmi, doprawdy, zadziwia mnie pan — to był frank francuski — bon!

Jaki bon? Pewekowski czy baltonowski? — Zapytał bon dolarowy.

— Parwieniuszu, bon to po francusku „dobre” — lepiej już się nie odzywać, wcale nie jestem walutą — skarcił go lew bułgarski.

— Tak sądzisz? Zapytał zło-

tówki! Jestem w Polsce równie dobry jak dolar!

— W Polsce może jesteś kimś. Ale poza Polską jesteś nic frater dety, nul — odrzekł dolar.

— A podrabiaja mnie tak jak ciebie!

— Bzdura. Jestem nie do podrobienia... A na dodatek mnie jest najwięcej na świecie.

— O przepraszam — odezwał się milczący dotąd tuan chiński — jeśli jeszcze doliczyć tego zdrajcę, tuana tajwańskiego, to nas jest najwięcej!

Zaczął się tumult. Okazało się, że znów za łb się wzięli dinar iracki i rial irański.

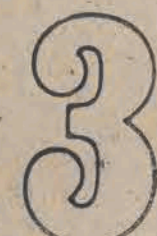
— Spokój tam! — huknęli jednocześnie rubel i dolar.

— Kiedys wreszcie przestaniecie? — A niech sobie dokopią, co im tam żałować! — zabrał nagle głos funt izraelski — ta cęła islamska hołota sama się kiedyś wybił. Prawda, kolego? — to do randa z Południowej Afryki.

— Słusznie, słusznie. Albo takie watoliwe waluty jak na przykład kwacha zambijska. Jak w ogóle normalny pieniądz może się tak nazywać? — Albo taki tuarik mongolski? Czysła kpina.

— Rece, recez od tugi! Poszli won! — zagrział rubel — Pilnować swego! — Bardzo słusznie — westchnęła złotówka — o Boże, znowu spadam!

ANDRZEJ KAROL



Ciepła woda

Niegdyś modna była piosenka o ciepłej wodzie, co to brzmięć rwie. Czy ktoś napisał piosenkę o ciepłej wodzie, której nie ma w kranie z ciepłą wodą? Jakoś nie słyszałem. A szkoda, bo problem ciepłej wody można uznać za problem pałacy. Pisa o ciepłej wodzie w gazetach, pisa felietoniści, a ciepłej wody tak nie było w kaloryferach, tak nie ma. Z „Expressu Ilustrowanego” dowiedziałem się, że naczelny dyrektor Zakładu Sieci Ciepłej w Łodzi — Paweł Walczak będzie musiał zapłacić 150 000 złotych kary, bo wcześniej puścił ciepłą wodę do rur centralnego ogrzewania niż jakiś urzędnik wyraził na to zgodę. Gdyby to ode mnie zależało dałbym Pawłowi Walczakowi 150 000 złotych nagrody za racjonalne i gospodarskie myślenie. Albo jest reforma, albo jej nie ma? Wedle obowiązujących przepisów reformy nie ma i... nie będzie.

Wróciłem z urlopu jesiennego. Biegalem po lesie, gdy padał deszcz, marzłem nad wodą, ale wróciłem cały i zdrowy, czego wszystkim z całego serca życzę. Niestety, już mam katar, kaszle jak wiekowy staruszek i lada dzień udam się do lekarza po „L-4”. Kogo nie spotkam, to albo temu cieknie z nosa, albo komuś z tego rodziny. Nie zdziwie się bo w ramach, mojego i innych, centralnego ogrzewania nie ma ciepłej wody. Ale żeby tylko w ramach centralnego ogrzewania.

Elektrycy remontowe naprawiały rury podczas letniej przerwy w naszym wymienniku ciepła na osiedlu „Czerwony Rynek” coś się psuie i zaczęła się kłopoty. Tak było i w tym roku.

Wróciłem pełen radości, że mo podroży weźmie ciepła kąpiel i ułożę się wygodnie na tapczanie, aby poczytać zaległą prasę, a tu nic z tego. Z kranu, z którego powinna ciec ciepła woda, za co w końcu płacę, cieknie coś, co przy bardzo dużej i dobrej woli można uznać za letnią. Kąpiel w takiej wodzie grozi utratą zdrowia na najbliższe kilka dni.

Sładam więc do telefonu i dzwonię do znajomych. Owszem

— mają ciepłą wodę. Dzwonie po sąsiadach z mezo bloku. W jednej połowie jest woda — prawie — ciepła w naszej — ledwie letnia. Dzwonie do Jasia W. — który pracuje w ZSC i jako fachowiec powinien mi udzielić wyczerpujących informacji. Nigdzie indziej zadzwonić już nie mogę bo to wieczór piątkowy i przez sobotę i niedzielę, miasto nie pracuje. Jasio W. spokojnie wstał mi „ciemnotę” że ludzie się kapia masowo, że ścigała ciepłą wodę i stąd taki jej stan. Nie uwierzyłem. W poniedziałek moja ukochana małżonka zrobiła karczemną awanturę — ona to umie — specem od konserwacji sieci ciepłej w naszym osiedlu.

Przyszedł dwóch. Jeden duży, drugi mały. Puszczili wodę z kranu, potrzymali w niej palec i oświadczyli: — No leci.

— Owszem — powiedział na to — nikt nie mówił, że nie leci, tylko jaka leci?

— No — powiada wyższy — ciepła.

Zmlełem w ustach to, co miałem mu powiedzieć, ale wolałem sprawy nie ograniczyć do słów.

— To nie jest ciepła woda — powiedziałem spokojnie. — Co by pan w niej umył? — No — zastanowił się mniejszy — chyba rece. Ale to nie nasza wina, bo to ciepłownia daje taką wodę.

— Takie baśnie — powiedział na to spokojnie — to może pan opowiadać dzieciom w przedszkolu i tak nie z tego nie zrozumieją. Proszę pójść do drugiej części bloku, gdzie jest inny wymiennik ciepła i zobaczyć jaka tam jest woda.

Poszli po godzinie mogliem się wykąpać. I bym o tym nie wspominał gdyby to nie była sytuacja powtarzająca się już od kilku lat. Co gdzieś naprawia to u nas w wymienniku pojawia się specjalista.

Albo przecież na tym nie koniec. Wykąpać się już mogę, tylko muszę szybko później uciekać z mieszkania bo zimno w nim i można suchot nabawić się albo jakiegoś innego, grypy. I tak jest co roku. Przypisy ktoś wymyślił że przez trzy kolejne dni po godzinie 19.00 ma być poniżej 10 stopni ciepła w skali Celsjusza. A tak nie ma to i ciepła woda nie płynie, do rur centralnego ogrzewania. Bo trzeba oszczędzać. Oszczędzamy, więc na ludzkim zdrowiu. To nie nie kosztuje. Zdrowie mamy za darmo. W każdym razie w rubrykach ciepłownictwa statystycy notują oszczędność.

Ci sami statystycy w rubrykach ochrona zdrowia, notują straty, podobnie w produkcji, i tak dalej, ale to są inne działy gospodarki i elektrociepłownie mogą dostać premie, gdy porobiły oszczędności.

Dawno temu ktoś wymyślił pojęcie „Trzeci Świat”, że niby to kraje rozwijające się. Mój znajomy wrócił właśnie z „Trzeciego Świata” i pyta: — Do jakiego my należymy? Ja też o to pytam. Słyszałem bowiem że na świecie już wymyślił różne urządzenia które potrafią regulować ciepło płynące do domów, że wymyślono jakieś komputery i tym podobne urządzenia sterujące ogrzewaniem. Ale u nas nadal robi się wszystko ręcznie. I w dodatku źle.

Ciekawym, czy oszczędności porobiło przez ciepłownictwo na nieogrzewaniu mieszkań, czy się na liczydłach, czy na komputerach? A wydane w tym okresie „L-4” przesyłabym odpowiednim urzędnikom, aby mieli podstawę do obliczenia premii za oszczędności.

A teraz napiję się kwiatu lipowego i położę mod pierzyna. Podobno pomaga. Tylko, co będzie później?

ZENON POROWATY

PS. Tekst ten napisałem w piątek (07.10.1988) i po południu — co za cud — pojawiła się ciepła woda w rurach centralnego ogrzewania. Mimo to tekstu nie wycofuję, bo nadal leżę pod pierzyną i piję napar z kwiatu lipowego, a sytuacja z grzaniem powtarza się co roku.

Romantyk socrealizmu

złamanie karku. Albo buszować po całym kraju, by zdobyć jakiś grosz, w różny zresztą sposób, z bronią w ręku także. Przecież przez granicę nocą na handel, wiatr koronami drzew porusza, ciemno jak cholera, tylko gdzieś dalej, bardziej czujnie niż widzisz, zarys gór. Idziesz i koty za pazuchą niesiesz, a gdy usłyszysz ujadanie psów, to znak, że patrol WOP już, tuż i koto by trzeba wypuścić, by psy się do ciebie nie dobrały. Sypiać po dworcach, znać dźwięki w miastach najprzeróżniejszych i pić, dużo pić, i bawić się w knajpach wielu po całym kraju rozrzuconych i mieć tę swoją ulubioną, „Kameralkę” zwaną, bo tam kompania najprzejrzystsza jak już pila to pila, czasem, wcale nie tak rzadko, milicja nie mogła sobie pozwolić. A później stać się nagle sekretarzem Broniewskiego, a jeszcze trochę później reporterem „Po prostu” i pisarzem.

Co by więc nie powiedzieć o latach pięćdziesiątych, to dla autora „Pierwszego kroku w ciemnościach” na pewno nie były one nudne. Bo Marek Hasko był romantykiem socrealizmu. W jego „Pięknych dwudziestolatkach”, książce krytycznej przecież w stosunku do tamtego czasu, można dopatrzeć się jakiegoś niezamierzonego sentymentu do przeszłości. Takie już prawa rządzą naszą pamięcią, że z przeszłości wyrzuca rzeczy złe, a zostawia dobre.

Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa nie są wcale okropni i żli, ale na kartkach książki Haski przybierają wygląd potulnych, trochę śmiesznych panów, którzy proszą naszego bohatera, by ten był taskaw donosy na swoich kolegów pisać, bo jak nie, to się pogniemy, grożą, choć nigdy swojej groźby nie spełniają. I na pewno takie akurat przedstawienie tych dzentelmenów nie było zamierzeniem autora, ale jakoś tak wyszło po latach. I zaczął pisać Hasko donosy, oczywiście tak, by krzywdy nikomu nie zrobić, a ponieważ sztuka to wcale nieprosta, bo tekst, mimo tego, że nieprawdziwy, musiał być przecież wiarygodny, pozytywne wynikiły z tej pisaniny taki, że ich autor pisarzem został. Ładne, prawda? Ale to oczywiście nie znaczy, że Marek Hasko uległ w trakcie pisania książki jakimś złudzeniom. Wręcz przeciwnie, wie przecież doskonale, jak było i pisze o tym. Wystarczy przeczytać dalsze fragmenty o Stefanie Łosiu i pułkowniku Różańskim.

I przyszedł rok 1957 i ten jeden z najlepiej zapowiadających się pisarzy opuścił kraj. Teraz zaczęły się liczne podróże po świecie. Jest Europa i Ameryka, ale nigdzie pisarz miejsca zagrzezać nie może, coś goni go po świecie, ciągle dalej i dalej. W dalszym ciągu nie ma jednak ani chwili na nudę, bo przecież przy okazji tych wояжów można trochę zwiedzić (zabawne są fragmenty książki, w których Hasko opisuje, gdzie, w jakim więzieniu jest najlepiej) i o dom wariatów nie zaskakująco zawiadzić i knajpy trzeba poszukać takiej, żeby choć trochę przypominała warszawską „Kameralkę”. Na dłuższą autorkę „Drugiego zabicia psa” zatrzymuje się tylko w Izraelu, gdzie pisze całą serię opowiadań. Tutaj też oczywiście nudno być nie może, bo, na przykład, sutenerstwo to zawód trudny i namęczyć się trzeba co niemiara, by dziwkę innemu sutenerowi oddać, ale gdy w wyniku niesamowitych wybiegów (trzeba mieć olbrzymie zdolności aktorskie) uda się wreszcie tej sztuki dokonać, to świat na jakiś czas staje się piękniejszy. Lepsze to przecież niż praca w hucie, a na pewno jeszcze lepsze, niż w ogóle pozostawać bez pracy i głodem przyłmierać.

Albo tak naprawdę Marek Hasko jest ciągle na warszawskich ulicach, wśród tamtejszych chuliganów, cwaniaków, także między pisarzami i dziennikarzami, którzy w kraju zostali i jeśli nawet pisze, że za Polską nie tęskni, że nie ma tam do kogo wracać, to miedzieli się to w ogólnej konwencji pokazania siebie jako silnego i twardego mężczyzny.

I jeszcze jedno, bardzo celne w „Pięknych dwudziestolatkach” są rozważania dotyczące totalizmu. Hasko dochodzi do wniosku, że totalizm nie można opisać że trzeba ratować się humorem. „Ucieczka w śmieśność i w groteskę stała się jedyną możliwością uniknięcia śmieśności”. I to w wielu momentach książki udało mu się znakomicie. Bo obok scen niebawale zabawnych są i całe fragmenty mówiące o koszmarnie lat pięćdziesiątych, o biedzie i rozczarowaniu, o cwaniactwie i strachu Hasko łączy humor i tragedię, i to wcale nie znaczy, że wyszła z tego tragikomedia. „Piękni dwudziestolatkowie” to jeszcze coś innego, to pamiętnik i nie pamiętnik zarazem, to w poszczególnych scenach prawda i literackie zmyślenie, albo może inaczej: przekoloryzowanie, które może posunąć się bardzo daleko. Nie, ta książka jest nieokreślona, ale właśnie to jest jej ogromną zaletą.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

Znowu usiadła obok niego Arne.

— Zostaw mnie samego — poprosił ją Fulko. — Nie należy do mnie. Nie już do mnie nie należy.

Odeszła, znowu odrzucona i nikomu niepotrzebna. Ale już nie płakała.

Do północy siedziała w lesie, oddalona od ognisk i pogwaru wojkowego obozu. Raptiem obok niej zaszeleściły liście, trzasnęła sucha gałązka i wiedziała, mimo ciemności, że jest przy niej Piastun. Milczący i nieruchomy stanął obok niej jak gdyby na coś czekając. Wiedziała że przyszedł tu po miłość. Wstała z ziemi i zaczęła pośpiesznie zrzucić z siebie odzież, przystuliła się do Piastuna, zarzucając mu ramiona na szyję.

Powiedział jej półgłosem: — Słyszałem od Fulki, że twój ojciec oszalał dla ciebie z miłości i wreszcie powiesił się. Słyszałem też, że pewien biskup stracił przez ciebie pastora i infule. Oszalał dla ciebie książę Hok i pozabijał swoje żony, ale ty wolałaś uciec w świat razem z tym awanturnikiem.

— To prawda, panie — całowała jego twarz, nie śmiejąc jednak dotknąć wargami jego ust, ponieważ wciąż mówił do niej: —

Przestrzegano mnie, że miłość może opanować człowieka tak samo mocno jak szaleństwo. Sądzę, że znasz sztukę miłosnych czarów. Uczyla mnie jednak olbrzymka Zely jak się przed takimi czarami obronić.

To powiedziawszy odwrócił ją tyłem i wszedł w jej zad w najbardziej obrzydliwy sposób, gardząc jej kobiecym sromem. Stęknęła z bólu, lecz on nie zwrócił na to uwagi, głaszcząc jej plecy o cieple tak delikatnym jak najszlachetniejsza materia z kraju Serów. A zaskoikiwszy żądzę odszedł tak samo cicho jak nadszedł. Ona zaś, naga i dygocąca od chłodu usiadła i położyła dłoń w miejscu, gdzie mocno biła jej serce. Nikt jej tak nigdy nie wiażył, nie obraził jej kobiecej dumy, a przecież nie umiała przed sobą skłamać, że sprawiło jej to zaskakującą przyjemność.

Rankiem nie zapomniała już Piastuna. Przed świtem przeprawił się ze Spicimirem i niewielkim oddziałem na lewy brzeg i po krótkim powitaniu z Paluką, pocwałował prosto do Gniazda. Tam, w nowym skrzydle dworu, które kazała zbudować Gedania, w komnacie zasłanej kobiercami zastał Herimę i kołyskę z dzieckiem oraz mamkę z cyckami jak krowa. Podniósł niemowlę do góry i wyrzekł:

— Nazywam cię Lestkiem i czynię swoim następcą.

Potem ostrożnie położył niemowlę do kołyski i przyjrzał się uważnie jego pomarszczonej twarzy, drobnym rączkom i malutkim palcom.

— Jeśli zechcesz mojej władzy, zanim dopełni się przeznaczenie, musisz mnie zabić — rzekł ledwo dostępalnie. — Uwaga, maly Lestku. Bo czy to w dzień, czy to w nocy, we śnie czy przy pierśi mamki, zawsze ci będzie ktoś groził śmiercią.

Następnie wysłuchał opowieści Herima o tym, jak to Czesław z Czestrami w tajemnicy udał się na Słężę i tam odbył spotkanie z przywódcami opołów Słężan. Nie zdołał ich jednak namówić do wojny z Piastunem, ponieważ dowiedzieli się, że książę Wielkiej Morawy nakłaniał Bohemów, aby przygotowali wyprawę przeciw Słężanom. Niebezpieczeństwo dla Słężan nadszła więc nie z północy, ale z południa, dlatego wrócił Czesław do Czestrami nie osiągnawszy celu.

— Co uczynimy z Czesławem? — zapytał Spicimir.

— Uprowadź go z Czestrami, gdyż chcę z nim porozmawiać zanim go ukarze.

A potem zaczął ze Spicimirem mówić o maly Lestku.

— Chciałbym — powiedział Piastun — aby do siódmego roku życia Lestka, twoja żona, Spicimirze, zamieszkała w Gnieździe i wychowywała mego syna. Jest niewidoma, ale piękna. Słyszałem, że przedziwną miękkością niewieście się odznacza i wielką dobrocią.

— Jak każesz, panie — skłonił się Spicimir.

— I jeszcze coś uczynisz, o czym nie muszę ci mówić, ponieważ słyszę twoje myśli.

Ala nie musiał Spicimir słyszeć myśli Piastuna. Widział jak powitał go lud, gdy przybył do Gniazda. Setki mieszkańców Gniazda wyciągnęły ku niemu ręce, setki garnały się ku niemu, aby ucałować albo dotknąć skraju jego wytartego płaszcza. Ze łzami w oczach błagano go,

aby przywrócił stare obyczaje, gdy wolno było człowiekowi mieć wiele kobiet. I nikt nie bał się, że jego możność przebiegów gwałtów za uprawianie rozpusty.

Zebrał Spicimir swoich czarnopłaszczowych wojowników i dziesięciu z nich powiesił na targowisku miejskim, gdyż będąc zbyt posłusznymi Gedani, wykazywali się niezwykłym okrucieństwem. Kiedy zaś ich wieszano, lud krzychał: „Zaprawdę, tylko Piastun jest sprawiedliwy”. Następnie na czele trzydziestu swoich czarnopłaszczowych żołnierzy przybył do Czestrami i niespodziewanie wjechał do grodu.

Bezbronnego i niczego nie spodziewającego się Czesława schwytano na podwórzu grodu w Czestrami w chwili, gdy karmił kapłony. Tak jak był ubrany, sierniecznie, przywieziono go związane do Gniazda i postawiono przed obliczem Piastuna. A ten wezwał do sali naradnej nie tylko Spicimira i

placu targowym jako zdrajcę i takiego, który nie wierzy w piastunową sprawiedliwość.

Następnie rozkazał Piastun, aby Herim i Spicimir wynaleźli mu pośród jego Lestków człowieka, który nigdy niczym się nie wyróżnił ani nie odznaczał. Po długich sporach ustalono, że takim osobnikiem jest Lestek imieniem Gostiwit.

— Czynię go grodzdziejcą na Czestrami — oświadczył uroczyście Piastun. — I niech władza ziemią między Obrą i Baryczą. A jeśli i jego najada Awdanica, ukarze ich wedle sprawiedliwości.

Spicimir przyjął ten rozkaz w milczeniu i posłusznie, ale Herim wyraził swoje zdumienie:

— Wywyższasz, panie, człowieka, który niczym się nie wyróżnił? Co powiedzą inni? Co pomyśla?

— Rozesłał się Piastun i tak im rzekł:

— Uczy „Księga Grzmotów i Byskawic”, że władca powinien wywyższać i nagradzać

rzę Fulki, których schwytano podczas rabowania bydła w jednej z przygranicznych wiossek. Domagał się Olt Powala, żeby ich Piastun osadził. Aż z pogranicza przyszedł też graf Fulko, nie chcąc dopuścić do sądu i skazania swoich ludzi.

Lecz Piastun zdecydował się na sąd na targowisku grodu w Gnieździe. Zebrał tłumy, aby widzieli jak jest sprawiedliwy i dbał o dobro swoich poddanych.

— Przyszedł nam, panie, dobry żółd i w bród żywności — bronił swoich żołnierzy graf Fulko. — To twoja wina, że rabowali z głodu.

— A czy po drugiej stronie granicy nie ma wiossek, gdzie na łakach pasa się cielęta i krowy? — zapytał go Piastun.

Odpowiedział Fulko:

— Na wieść, że zaołożyłmy warownie nad Nerem wszystkie wioski po drugiej stronie oba-

nienawidź ku tobie albo ku mojej osobie. Co wybierasz, Herimie?

EPONJA

— Powiadasz więc, Herimie, że tak naprawdę nie można powiedzieć, gdzie jest dokładna granica między nami a Ludźmi Skrzydlatymi? — zapytał Dago, podnosząc się z łóża wysłanego futrem białego północnego niedźwiedzia i społem rozłożonych na stole rulonów pergaminu, wyszukując wazę pełną dorodnych jabłek.

— Nie sposób tego uczynić, gdyż po tej i po tamtej stronie lud mówi naszym językiem. Najłatwiej ją znaleźć od strony Ziemi Łęczyckiej, ponieważ rzeka Ner odgracza nas od Skrzydlatych. Ale na przykład od strony Kalisii czy od Gniazda

nich zakupił książę Sandomir. Jego gród i dwór znajduje się powyżej ujścia Sanu do Wisły. Podobno jest potężny, władca zna wytworne obyczaje i otacza się zbytkiem. Nad Wisłą także Karak rozbudowuje swój gród Karakow. Nie mogę spać po nocach Herimie, gdy pomyślę, że cała górna Wisła jest w obcych rękach.

— Ale ty ich trzymasz jak za gardło, panie.

— Co z tego? — zerwał się z postania Piastun. — Wystarczy, że Karak najszybciej do wody albo w nią splunie, to samo zrobi Sandomir. A ja to muszę pić, jeśli chcę się napić wody z mojej rzeki.

— Gniazdo nie jest nad Wisłą.

— Nad Wisłą leży Włocław i Włocławia. Gdzie zaś mam Poznań?

— Nad Wartą.

— I czego wystarczy, że książę Sieradz najszybciej mi w rzekę, a w Poznaniu to wypija.

— Nie zamierzasz chyba, nasz panie, zaatakować Karaka albo Sandomira? Placą trybut potężnemu i wszechmocnemu księciu Rostislavowi i musiałbyś mieć pięć razy tyle wojska, co masz, aby choć jednego z nich tknąć. Przypłynie im z pomocą Wielka Morawa, a wówczas będziemy uciekać aż za morze. Nawet o kraju Ludzi Skrzydlatych trudno nam myśleć nie bez lęku.

— A jednak o nich myślę... — Znają potężne czary. Są nie tylko Skrzydlati, ale potrafią żyć po sto i więcej lat.

Pacholek wniósł dwa gliniane dzbanki z piwem i dwa szczyraki kubki. Piastun wypił kolejno dwa kubki, otarł rękawem koszuli usta i zapytał: — Skąd pochodzą ich sztuka czarów?

— Jest tak samo stara jak twoja Święta Andala. Od Celtów się wzięła i po nich pozostała.

— Chciałbym żyć sto lat — zakrzyknął Dago.

— To nie trudnego, panie — zakpił Herim. — Idź do nich w dniach zimowego przesilenia słońca albo też w pierwszym dniu miesiąca Trawień i poproś, aby cię zaprowadzili do tajemnej jaskini, którą wykuli w skałach nad granicą z Visulanami. Jaskinia ta zwie się Greine. Jeśli nie umiesz tam ze wstrętu i przerażenia, będziesz oddał żył sto lat.

— Skąd ci o tym wiadomo?

— Od jeńców, których torturowałem.

— Co jeszcze wiesz o Skrzydlatych, Herimie?

— Wierzą w Boginię Matkę Ziemi, której imienia już zapomnieli, lecz jako i ty ogłowił cię oddają. Wierzą w siłę ptaków, dlatego noszą płaszcze skrzydła w ramion. Nikomu u nich nie wolno zabijać bociana, gdyż to święty ptak, który oznacza płodność i urodzaj. To on przynosi dzieci. U nich nie rodzi kobieta, lecz mężczyzna.

— To niemożliwe.

— A jednak tak jest, panie. Gdy kobieta rodzi, mężczyzna wieje się z bólu i cierpi. Uznają pokrewieństwo tylko od strony matki, a nigdy ojca, ponieważ ojciec może być niewiadomy, a matka bywa zawsze znana.

— Nie wierzę, Jeńczy Kłamali.

— Może, panie. Lecz twój lud i twoje wojska boją się Ludzi Skrzydlatych, gdyż nasze konie ploszą się od szumu ich skrzydeł. Dlatego wiesz, choć są nieelzni, to przecież nikt ich dotąd nie pokonał. Czy słyszałeś kiedyś szum ich skrzydeł?

— Tak. Gdy znalazłem się blisko ich granicy. Szum ich skrzydeł spowodował, że nie mogliśmy opanować spłoszonych koni. Nawet Vindos był mi nieposłuszny.

— Dlatego zrezygnuj, panie, z najazdu na Ludzi Skrzydlatych. Zarządaj trybutu. Zaplać. Chyba, że znasz czary równie potężne jak te, którymi włada książę Sieradz.

— Lianka koszula Dragona prześlknęła polem. Zrzucił ją ze wstrętem, pozostawiając tylko w gaciach.

— Czy przybył już Awdanec? — zapytał.

— Tak, ale jego tarczownicy zjawiają się dopiero za tydzień, po zakończeniu żniw.

C.D.N

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glane

Herimę, ale także wielu swoich Lestków, pozwolił uwolnić Czesława z więzów i tak mu powiedział:

— Byłeś zwykłym kmieciem i chwyciłeś broń przeciw ciemnocielom, to znaczy stałeś się Lestkiem. W Kalisii walczyłeś tak dzielnie jak nikt oprócz ciebie. Za to uczyniłem cię grodzdziejcą w Czestrami, nakazując mieć baczenie na Słężan. A ty zacząłeś ich przeciw mnie podjudzać. Wyjaśnij mi, dlaczego tak się stało, bo to wydaje mi się przeciw naturze nawet u zwierząt. Pies liże rękę, która go karmi, ty zaś ją ukasiłeś.

Czesław czuł, że czeka go śmierć za zdradę. Ale nie skamlał o litość, tylko rzekł z godnością:

— Nie przeciwko tobie, panie, zmagam się z Słężanami, ale przeciw Awdancom. Kościół w gardle stoi im, mój gród w Czestrami i moje ziemie aż po rzekę Baryczę. Wspólnie ze swoim teściem, Stojmirem, synowie kowala Awdanica wielokrotnie najędzali moje ziemie, porwali moje stada, palili moje wioski, brali do niewoli moich ludzi. U Słężan szukałem pomocy, gdyż ty, panie, milujesz Awdanów.

— A nie słyszałeś o tym, że jestem Dawcą Sprawiedliwości? — zapytał Piastun.

— Ukaz, panie, Awdanów, a uwierz, że jesteś Dawcą Sprawiedliwości.

— Nie mogę ich ukarać, ponieważ to nie oni, ale ty zmusiałeś się ze Słężanami przeciw mojemu państwu. Dlatego zostaniesz ukarany śmiercią, aby wiedzieli, że nie ma innej sprawiedliwości poza moją, a kto chce w moim państwie, sam wymierzać innym sprawiedliwość jest jako ten, który chce mi odebrać część mojej władzy. To jednak wiedz przed swoją śmiercią, że nie otrzymasz Awdanica ani skrawka ziemi między Obrą i Baryczą.

Skłonił ręką Piastun na Spicimira, a ten wyprowadził z sali Czesława i powiesił go na

ludzi, którzy czynią się dla niego zastużą. Dobrze jest jednak także wywyższać za niego, człowieka nikiego, aby setki innych mogło się zastanawiać jakie to tajemne właściwości posiada ów nikły człowiek. Niechaj myśla: co też takiego uczynił, aby zasłużyć na tak wielką łaskę Piastuna? Co my czynimy złego, że nas łaskami nie obdarza. A poza tym Gostiwit mnie nie zdradzi.

— Skąd to wiesz, panie?

— Nigdy nie uczynił niczego dobrego, mądrego czy sławnego. Niktami zawsze pozostanie nikim. Dlatego władca powinien otaczać się nie tylko ludźmi wspaniałymi, ale i nikimi. Ludzie wspaniali będą poszerzać granice jego państwa i umacniać jego tron, ale bezbezpieczny może być jedynie porażenie jego mądrością.

Potem rozkazał Piastun, aby graf Fulko i jego czterdziestu najmitów z Jumna udali się nad rzekę Ner, która rozgraniczała Ziemię Łęczycką i kraj Ludzi Skrzydlatych. Polecił Fulce zaołożyć obóz warowny, ale ofiarował mu tylko tyle pieniędzy i żywności, żeby żołnierze nie pomarli z głodu.

Ostrzegł Herim, że takie skąpstwo może być przyczyną wielu awantur na pograniczu. Piastun jednak nie dawał mu posłuchu.

I nie minęły dwa tygodnie, gdy wojownicy Olt Powala przekali czarnopłaszczowym ludzom Spicimira trzech żołnie-

rych. Próbowaliśmy rabować w ich kraju, oni są jednak, jak wiesz, niezwykci. Straciłem, panie, aż pięciu swoich żołnierzy. Nie miał żalu do tych, którzy poszli rabować twoje wioski.

Powiedział Dago Pan i Piastun:

— Nie ma wojsk niezwykłych, a kto tak mówi, ten powtarza kłamstwa. Nie będę wam płacił żołdu, gdy wasze miecze rdzewieją w pochwach.

I rozkazał, aby każdy ze schwytanych na rabunku żołnierzy Fulki otrzymał na oczach tłumy po dwadzieścia batogów. Polecił też, aby tak czyniono wszędzie, gdzie się ich schwytano na rabunku.

Zabrał Fulko z Gniazda oba- tożonych żołnierzy i powrócił do obozowiska nad Nerem, aby wraz z nimi głodować. Odczyła w nim i rozrosła się nienawiść do Piastuna i to stało się przyczyną, że wysłał posłańca do Zytliki na Mazowie, ofiarując jej swoje tajne służby. Lecz o tym Piastun jeszcze nie wiedział.

— Czy jesteś, panie, pewien, że czynisz dobrze, nie dając żołnierzom Fulki żołdu i jednocześnie karząc za rabunek? — spytał Dagona Herim.

— Nie ustana rabunki, skoro są głodni.

— A czy ja o tym nie wiem? — wzruszył ramionami Piastun. — Może właśnie chcę, aby tak się działo. Odkąd nie stało Gedani, mój lud nie ma kogo nienawidzić. Jeśli zaś nie zacznie nienawidzić tych obcych z Jumna, zwróci swa

ciagną się lasy, puszcze i pola. Przechodzisz raptiem z jednej wioski do drugiej i tam powiadają ci: jesteś u Skrzydlatych, obcinają ci włosy i biorą w niewolę. Miejscowi kmiecie znają granicę, na pergaminie jej jednak nie zakreślił.

— Od południa z kim graniczą?

— Z Karakiem i Visulanami. Za grodem Ruda zaczyna się pasmo Wzgórz Białych, zwanych Wenedyjskimi z wapna zrobionych. Na owych wzgórzach Skrzydlati trzymają straż przeciw Visulanom.

— A od wschodu?

— Rzeka Pilica jest granicą między Skrzydlatymi i księciem Sandomirem. Za państwem Sandomira znajduje się państwo Lendzian oraz Czerwień i jej przesławne grody. Wszyscy oni władają naszą mową.

Był upalny początek miesiąca Sierpień. Przez otwarte okna napływał upał i w wysłanej skórami komnacie Piastuna w jego Gnieździe było bardzo gorąco. Piastun miał na sobie tylko linańską koszulę i białe gacie, podobnie jak Herim, ale i tak poccił się obficie. Nadgrzył dorodne jabłko, stwierdziwszy jednak, że jest robaczywe, że złością wyrzucił je przez okno na podwórcze warowni. Potem gniewnym gestem zrzucił ze stołu rozłożone przez Herimę pergaminy. Dago wciąż marzył o długowieczności, lecz żaden z pergaminów Herima nie mówił jak ją osiągnąć.

Herim zaklaskał w dłonie i do komnaty wbiegł pacholek.

— Każ nam podać zimnego piwa. Z piwnicy — rozkazał.

Dago znowu leżał na białym futrze i wyciągnął się jak długi. Mówił patrząc w drewniany poczerwiał sufit.

— Wiosną pierwszy raz od Greków, Sanem i Wisłą przypłynął kupec sarracenscy, judejszy i ascomanscy. Zatrzymali się w Plecku, u Włocławia, w Gedani, a potem ruszyli morzem do Kiedeby. Opowiadali, że wiele towarów od-